

Rebecca Haqan Lee

Babie lato

Dla Karen Marie Dunlap, prawdziwego Skarbu i pierwowzoru fikcyjnych. Dziękuję Ci za przyjaźń, wsparcie, zachętę, wiarę we mnie i bezgraniczny entuzjazm, z jakim od trzeciej klasy szkoły podstawowej aż do dziś czytasz moje opowieści - i znasz je wszystkie.

Mam nadzieję, że i tym razem Cię nie zawiodłam.

Oraz dla trzech „aniołów stróżów”, które do końca wierzyły w tę opowieść i sprawiły, że mogła zostać opublikowana: dla mojej przyjaciółki i mentorki Tere-sy Medeiros, agentki Laury Blake Peterson i dla redaktorki Cindy Hwang.

Pozostaję z wdzięcznością.

„Jak zrzec się grzechu jednak w zapale niestygnąć,
Jak kochać winowajcę a winą się wzdrygnąć?”*

Aleksander Pope (1688-1744)
angielski poeta satyryk

PROLOG

Hongkong, grudzień 1870

Pragnęła, aby jej wybaczył. Inaczej nie mogła żyć. On jednak jeszcze nie był do tego gotów. Potrzebował czasu. Czasu, który ukoł ból. Czasu, który wyleczy rany. Czasu, który pozwoli zapomnieć.

Ukryła się więc przed nim. Wyrzekła się śmiechu, radości, zabawy, miłości i słońca, które niegdyś stanowiły istotę jej dni. Odizolowała się, dopuszczając do siebie jedynie pokojówkę. Wyrzekła się widoku najdroższej twarzy mężczyzny, którego kochała.

Błagała o wybaczenie.

On jednak wybaczyć nie umiał.

Nigdy nawet słowem nie wspomniał o jej straszliwym występku.

* „Heloiza do Abejlarda" w „Wybór poezji Alexandra Pope'a wierszem z angielskiego przełożonych przez Ludwika Kamińskiego", Warszawa 1822, Zawadzki i Węcki.

Nie ukarał jej. Nie krzyczał, nie głodził jej. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, które zmniejszyłyby poczucie winy, przygniatające jej serce. Po prostu patrzył na nią, a w jego oczach błyszczały łzy. I milczał.

Nie umiała wrócić do dawnego życia. Zamknęła się w sobie, a każdy jej dzień i długie nocne godziny wypełniał płacz.

Gorzko szlochając, modliła się, by jej darował winę.

On zaś każdej nocy, leżąc samotnie w łóżku w pokoju obok jej sypialni, modlił się o siłę, aby spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, że ją rozgrzesza.

Bardzo tego chciał, chciał znów ją kochać. Tęsknił za tym, co ich łączyło. Kiedyś. Teraz jednak nie umiał niczego zmienić. Słowa przebaczenia nie chciały przejść mu przez gardło. A nie chciał kłamać. Znała go zbyt dobrze, zbyt długo kochała. Dostrzegłaby fałsz w jego oczach, usłyszała w jego głosie, wyczuła w dotyku rąk. Wiedział, że dopóki nie wyrzuci z pamięci jej postępu, nic się nie zmieni. Ale wiedział też, że do końca życia nie zapomni, co zrobiła.

Dzień po dniu, wsłuchując się w jej łkanie, prosił Boga, aby umiała sama sobie darować winę. I wreszcie przestała płakać.

Pewnej nocy w jej sypialni zapadła cisza.

1

San Francisco, Kalifornia, kwiecień 1873

Ze snu wyrwał Jamesa Craiga rozdzierający szloch. Mężczyzna od razu rozpoznał ten dźwięk. Otworzył oczy, wstał z łóżka i próbował odnaleźć w ciemnościach drzwi oddzielające ich sypialnie.

Po omacku sięgając do klamki, łagodnie wyszeptał:
- Mei Ling?

Żadnej odpowiedzi, wciąż tylko ten rozpaczliwy płacz. Dopiero po chwili James zorientował się, że na próżno szuka drzwi i klamki. Przed nim była tylko pokryta wzorzystą tapetą ściana.

Przytomniejąc, oparł o nią czoło. Powoli docierało do niego, że znajduje się w San Francisco, nie w Hongkongu. Obudził się w hotelu oddalonym o tysiące mil od sypialni, którą zobaczył we śnie. Od domu w Hongkongu dzieli go ocean. Poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa spływa mu strużka potu. Wziął głęboki oddech, próbując się jakoś pozbierać. W myślach porządkował wspomnienia wywołane kobiecym szlochem.

- Nic pani nie jest? - zapytał szeptem z ustami przy ścianie, choć pewien był, że kobieta po drugiej stronie i tak go nie usłyszy. Wiedział też, że tak płakać może jedynie ktoś, kto bezgranicznie cierpi.

James westchnął ciężko. Nie chciał znów myśleć

o nie przespanych nocach, kiedy godzinami wsłuchiwał się w głośne łkanie Mei Ling i bezskutecznie dobił się do drzwi dzielących ich sypialnie, pragnąc jakoś ją pocieszyć. W końcu zrezygnowany wracał do łóżka i nakrywał się kołdrą po uszy. Zamykał oczy i zmuszał się do snu. Uczył się ignorować jej ból.

Mimo to zawsze przedkładał serce nad rozum.

Nie zapalając światła, włożył spodnie i sięgnął po jedwabny szlafrok. Na podłodze odnalazł skórzaną torbę, z której wyciągnął czystą chusteczkę. Narzucił szlafrok na ramiona, zamknął drzwi, wsunął klucz do kieszeni i słabo oświetlonym korytarzem skierował się ku sąsiedniemu pokojowi.

Zapukał do drzwi i przyłożył ucho do zimnego drewna. Usłyszał urywany szloch. Zastukał ponownie.

- Proszę pani? - odezwał się przyciszonym głosem.

- Nic pani nie jest? Wszystko w porządku? Może mógłbym jakoś pomóc? Potrzebuje pani czegoś?

James wyrzucał sobie własną głupotę: oto w środku nocy stoi boso pod drzwiami pokoju hotelowego zajmowanego przez nieznaną kobietę tylko dlatego, że zbudził go jej płacz. Mimo to powtarzał cierpliwie:

- Proszę pani? Niechże się pani odezwie.

Sięgnął po klamkę, ale po chwili zastanowienia cofnął dłoń.

Która kobieta o tej porze otworzyłaby obcemu mężczyźnie?

Oparł czoło o framugę. O co mu właściwie chodzi? Dlaczego to robi? Zacisnął mocno oczy. Wszystko przez ten płacz. Zapukał znowu, tym razem głośniej.

- Proszę pani? Obiecuję, że zostawię panią w spokoju, jeśli powie pani, że nic jej nie jest. Proszę się odezwać.

Wydawało mu się, że za drzwiami ktoś się poruszył. Usłyszał nawet przyspieszony oddech.

- Czy mogę pani pomóc? - zapytał ponownie.

Nie spodziewał się odpowiedzi, tym bardziej zaskoczyło go, że kobieta uchyliła drzwi.

- Proszę odejść - wyszeptała. - Nikt nie może mi pomóc.

- A jednak chciałbym spróbować. - James przyglądał się nieznajomej uważnie, ale ona patrzyła w podłogę. Zatrzymał wzrok na jej gęstych ciemnych włosach, na których światło odbijało się jaśniejszymi pasmami, i nagle przypomniał mu się wzór tapety w jego pokoju w Hongkongu: mieszanina brązów i odcieni złota, zdobiących futro chińskiego lwa.

- Obiecał pan, że odejdzie - przypomniała mu. Cofnęła się, chcąc zamknąć drzwi.

James jednak przysunął się bliżej.

- Obiecałem, że odejdę, jeśli przekona mnie pani, że nie dzieje się nic złego.

- Proszę już iść - powtórzyła. - Dał pan słowo.

Rzeczywiście, dał słowo. Powinien odejść. A jednak coś go powstrzymywało. Po prostu nie mógł jej tak zostawić.

- Mam na imię James.

Kobieta wciąż nie podnosiła głowy.

- Mam na imię James - powtórzył. Odpowiedziało mu milczenie. Był tym naprawdę zirytowany. - Rozumiem, że jestem dla pani nikim. Ale jak jakiś idiota stoję w środku nocy przed pani drzwiami, bosi i zmarznięty, tylko dlatego, że usłyszałem, jak pani płacze - wziął głęboki wdech. - A płacz bardzo niepokoi... - przerwał nagle i pod wpływem impulsu koniuszkiem palca uniósł brodę nieznajomej, żeby spojrzeć jej w oczy. - Pani płacz mnie bardzo niepokoi.

Czuł, że serce wali mu jak oszalałe. Cofnął dłoń, odsunął się trochę i znów odetchnął głęboko. Dobry Boże! W tych oczach można się było zatracić. Nawet podkrążone i zapłakane, były niezwykle - dostrzegł w nich ciepło, przyzwolenie i ufność. Jamesowi wydało się, że mógłby z nich wyczytać wszystkie tajemnice tej kobiety.

Ona jednak mrugnęła i w ułamku sekundy jej twarz znów stała się nieprzenikniona. Widział, ile wysiłku włożyła, aby zmazać z twarzy kruchość i bezbronność, które jeszcze przed chwilą tak go zachwyciły. Prawie jej się udało. Gdyby sam nie obserwował tej przemiany, nie uwierzyłby, że jest w ogóle możliwa. Teraz niebieskozielone oczy kobiety przypominały parę błyszczących akwamaryn: pięknych, lecz zimnych.

James zrozumiał, że twarz, na którą teraz patrzył, to maska na użytek świata. Zdał sobie sprawę, że przed chwilą miał rzadką okazję zobaczenia głęboko skrywanych pragnień nieznajomej. Przyszło mu do głowy, że niejeden mężczyzna może przeżyć całe życie i nigdy nie doświadczyć czegoś podobnego. Teraz sąsiadka z hotelu robiła wrażenie opanowanej i rozsądnej. Miała duże oczy, jasną karnację, niewielki nosek i wyraźnie zarysowaną brodę. Nic nie wskazywało na niezwykle piękno, jakie w sobie kryła. Nic oprócz pełnych, kształtnych ust.

Pełnych, kształtnych, *kuszących* ust.

James nie mógł myśleć już o niczym innym. Zapragnął posmakować tych ust. Cofnął się o krok. Wiedział, że jeszcze chwila, a da się ponieść temu pragnieniu.

- Bardzo mi przykro - próbował się wycofać. - Przepraszam, że zakłóciłem pani prywatność. - Ukłonił się.
- Pani pozwoli, że się pożegnám i zostawię ją samą.

Odwrócił się i skierował do swojego pokoju.

- Nie.

James zatrzymał się zdumiony.

- Jak to: nie?

Zagryzła wargi, najwyraźniej zakłopotana swoim zachowaniem.

- Proszę mnie nie zostawiać samej. - Szerzej otworzyła drzwi do swego pokoju. - Proszę nie zostawiać mnie samej - powtórzyła.

James stał jak skamieniały, wpatrując się w jej oczy, niepewny, co ma zrobić. Twarz kobiety oblał gorący rumieniec.

- Proszę mi wybaczyć - jej głos się załamał. Cofnęła się do pokoju. - Nie chciałam pana zatrzymywać...

- Chwileczkę! - krzyknął James. - Wcale nie chcę zostawiać pani samej. Ja po prostu... - poczuł, że ogarnia go takie samo zakłopotanie, jakie odczuwał w obecności kobiet jako osiemnastolatek. - Po prostu nie ma pani powodu, żeby mi ufać - wyrzucił z siebie. - Nie zna mnie pani. Nawet pani nie wie, kim jestem.

Nieznajoma odzyskała nieco pewności siebie i potrząsnęła głową.

- Myli się pan. Znam pana. Jest pan dobry, miły i czuły. I ma na imię James.

- Ale...

- Mam na imię Elizabeth - powiedziała, naśladowując jego wcześniejszy ton. Drżącym głosem ciągnęła: - W środku nocy otwieram nieznajomemu tylko dlatego, że mówi mi, jak ma na imię, a jego dobre oczy i głos obiecują mi pocieszenie. I dlatego, że dziś po południu przyjechałam do San Francisco, żeby spotkać się z bratem, ale dowiedziałam się, że brat od dawna nie żyje. I jeszcze dlatego, że straciłam posadę nauczycielki w Providence.

I jeszcze dlatego, że nie mam dokąd pójść. I nie mam pieniędzy. Ale przede wszystkim dlatego, że w tej chwili bardziej boję się samotności niż zaczepek nieznajomego.

Wyrzuciwszy to z siebie, młoda kobieta oparła się o framugę. Jej twarz wykrzywił ból, a z oczu popłynęły łzy.

James zrobił coś, czego nie umiał zrobić dla Mei Ling: mocno przygarnął Elizabeth do siebie i barkiem zatrzasnął drzwi. Potem poprowadził ją na fotel przy kominku, wziął na kolana i delikatnie kołysał, przytuloną do piersi. Trzymał ją tak, dopóki się nie wypłakała, potem wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł łzy z jej policzków.

- Cicho, już cicho... - uspokajał. - Zamknij oczy i zaśnij. Zaopiekuję się tobą - obiecał. - Wszystkim się zajmę.

Przemawiał do Elizabeth jak do dziecka, próbował pocieszyć i uspokoić. Kołysał ją w ramionach i nucił niskim, chrapliwym barytonem, dopóki zmęczona nie zasnęła.

2

Elizabeth powoli otworzyła oczy. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że znajduje się w pokoju w Russ House. Miała ciężkie i spuchnięte powieki. Chciała się przeciągnąć, ale zorientowała się, że leży w mocnych i ciepłych objęciach. Przez chwilę rozkoszowała się tym ciepłem, wdychając leśny, ostry zapach unoszący się w powietrzu. Wsłuchiwała się w rytmiczne uderzenia serca, bijącego tuż nad jej uchem, i w miarowy oddech mężczyzny, pogrążonego w głębokim śnie.

Nie jakiegoś tam mężczyzny. Wsłuchiwała się w od-

dech Jamesa. Z minuty na minutę była coraz bardziej wystraszona, bo przypominały jej się wydarzenia ostatniej nocy. Poruszyła się i uderzyła głową w brodę Jamesa, Spadłaby na podłogę, gdyby nie jego ramiona i duże dłonie o długich, wąskich palcach splecionych na jej pośladkach. Czekała, aż się obudzi, poruszyła się w jego objęciach i roztarła bolące miejsce na czubku głowy. James tylko zaciśnił uścisk. Elizabeth westchnęła. Wiedziała, że nie powinna tak leżeć, że powinna co prędzej uwolnić się z jego objęć i udawać oburzoną. A jednak nie zrobiła tego. Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś się nią tak zaopiekował.

Czekała więc, wstrzymując oddech, aż James się przebudzi. On jednak spał w najlepsze z ustami w jej włosach, mruczając coś przez sen. Z trudem się opanowała, żeby nie wtulić się w niego jeszcze mocniej i ukryć przed całym światem. Noc jednak minęła, a świt uświadomił jej, że dawno już przestała być dzieckiem. Nie powinna oczekiwać, że zawsze ktoś będzie ją rozpieszczwał. W końcu jest dorosłą kobietą. Nigdy nie modliła się o taki cud, zrozumiała bowiem, że pragnienie, aby ktoś tulił ją w nocy, pocieszał, gdy tego potrzebuje, i chronił przed złem, jest tylko dziecinnym marzeniem. W swoim wieku nie mogła już liczyć na taką opiekę ze strony nieznajomych. Zwłaszcza tak dobrych i przyjaznych nieznajomych jak James.

Taki jak on mężczyzna zasługiwał na kobietę o nienagannej reputacji. Zasługiwał na wszystko co najlepsze. Ona zaś na pewno nie należała do najlepszych. Przestała do nich należeć. Mimo to miło jej było pomyśleć, że... Elizabeth stłumiła pełne tęsknoty westchnienie. Nie myśl o tym, zganiła sama siebie, po prostu rób, co do ciebie należy. Zaciśnęła usta i ostrożnie uwolniła się z objęć mężczyzny.

Chodząc na palcach, cichutko pozbierała swoje rzeczy. Nie mogła się jednak powstrzymać, aby od czasu do czasu nie zerknąć na Jamesa. W nocy, kiedy otworzyła mu drzwi, wydawało jej się, że ma on około trzydziestki, ale teraz, kiedy spał, wyglądał znacznie młodziej. Twarz miał spokojną, usta lekko rozchylone. Uwagę Elizabeth przyciągnęły jego czarne rzęsy. Były to rzęsy dziecka - gęste, wywinięte i niezwykle długie.

Nie mogąc oprzeć się pokusie, Elizabeth podeszła do śpiącego i delikatnie przeciągnęła kciukiem po jego brodzie. James był najbardziej niezwykłym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek dotknęła. Nie był tak klasycznie przystojny jak Owen. Miał zbyt nieregularne rysy, ale za to mnóstwo uroku. James emanował siłą i męską witalnością, nawet gdy spał. Elizabeth nie umiała pozostać na to obojętna.

Czuła jednak, że musi wyrzucić z pamięci gościnność jego ramion, ciepło przytulonego do niej ciała oraz poczucie bezpieczeństwa, które jej dawał. Musiała zwalczyć w sobie pokusę złożenia na jego barki wszystkich swoich problemów i pozwolenia mu, aby sam się z nimi uporał. Nie mogła sobie na to pozwolić. Nie miała prawa oczekiwać, że będzie dźwigał jej troski, nawet jeśli był dostatecznie silny, aby je unieść. Nie do końca rozumiała dlaczego, ale nie chciała, żeby James uznał ją za słabą i bezbronną. Nie chciała, żeby sądził, iż sama nie potrafi zadbać o siebie. Zwłaszcza że już widział ją taką roztrzęsioną. Co teraz o niej pomyśli? Jeśli wpuszczenie go do pokoju w środku nocy nie było zbyt rozsądne, to wypłakiwanie się w jego ramionach - wprost niewybaczalne. Przecież nigdy wcześniej tak nie płakała, nawet jak umarł tata albo odszedł Owen, albo kiedy babcia...

Elizabeth przygryzła wargę. Rozpamiętywanie przeszłości było ponad jej siły. Za nic nie chciała spojrzeć Jamesowi w twarz w świetle dnia. Bała się poddać odwiecznej kobiecej słabości; nie chciała zawierzyć swoich trosk mężczyźnie. Nie mogła znieść myśli, że dobroć w jego oczach zmienić się może w pogardę.

Dojrzało w niej postanowienie ucieczki, zabrała więc swoją torbę podróżną, pudło na kapelusz i klucz. Wyniosła bagaż z pokoju i na palcach podszła do śpiącego w fotelu Jamesa. Sięgnęła do kieszeni jego szlafroka i ostrożnie wyjęła z niej hotelowy klucz, który zaplątał się w chusteczkę. Tą chusteczką James ocierał jej łzy. Elizabeth uniosła jedwab do twarzy. Poczowała mocny zapach wody kolońskiej. Chciała odłożyć chusteczkę na miejsce razem ze swoim kluczem, ale coś ją powstrzymało. Przecież on nie zauważył braku jednej chusteczki. Zresztą już jej używała. Z pewnością nie miałaby nic przeciwko temu, żeby ją zatrzymała na pamiątkę. W domu i tak ma ich tuziny. Inaczej pozostanie jej tylko wspomnienie pewnej nocy, kiedy to wyjątkowy mężczyzna trzymał ją w ramionach i kołysał do snu.

Elizabeth schowała chusteczkę do kieszonki ukrytej w fałdach sukni. Nie chciała znowu sięgać do szlafroka Jamesa, więc otworzyła dłoń i upuściła klucz, pozwalając mu zsunąć się powoli i utknąć między udem Jamesa a oparciem fotela. Teraz nie tak łatwo będzie go znaleźć.

Podmieniła klucze, zrobiła to z pełną świadomością. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że za uprzejmość odpłaca zdradą, ale nie chciała pozwolić, żeby ją James odnalazł. Przeczowała, że będzie chciał jej szukać, choćby po to, żeby upewnić się, że nic jej nie jest. Nie chciała go zranić, ale nie chciała też spotkać go znowu.

Trzymając buty w ręce, Elizabeth otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Korytarz był pusty. Łokciem wypchnęła bagaż za próg i obejrzała się po raz ostatni. Niby chciała sprawdzić, czy wszystko zabrała, ale tak naprawdę patrzyła tylko na Jamesa. Pokój, który wczoraj wydawał jej się taki wielki i pusty, teraz, kiedy spał w nim mężczyzna, wyglądał znacznie przytulniej. Dopiero teraz zauważyła, jak mały był fotel, w którym spał James, i w jak niewygodnej pozycji spędził noc, tuląc ją do siebie. Zmarszczyła brwi. Nie mogła go tak zostawić.

Nim zdążyła pomyśleć, już była przy łóżku. Wzięła poduszkę i delikatnie włożyła ją Jamesowi pod głowę. Westchnął, jakby chciał podziękować. Pod wpływem impulsu Elizabeth dotknęła ustami jego włosów. Potem wyprostowała się i na palcach wyszła z pokoju.

Godzinę później, trzęsąc się z zimna pośród gęstej mgły, próbowała szczelnie otulić się szalem, mrużąc przy tym pod nosem nieprzystojące kobiecie przekleństwa. Wilgoć zdołała pokonać wszystkie warstwy jej ubrania, tak że chłód przenikał ją na wskroś. Zawinęła dłonie w końce szala i ruszyła po schodach prowadzących do budynku, przed którym wysiadła z taksówki. Nic nie mogło powstrzymać Elizabeth od osiągnięcia celu, który sobie wyznaczyła. Zbyt wiele już się natrudziła, aby teraz zrezygnować z odnalezienia grobu brata i rozwikłania zagadki jego przedwczesnej śmierci. Aby spełnić swój obowiązek wobec Owena, gotowa była przetrząsnąć całe miasto, gdyby okazało się to konieczne. Postanowiła zacząć od policji.

Otworzyła drzwi komisariatu. O tak wczesnej porze prawie nikogo tu nie było, więc Elizabeth skierowała się do pierwszego z brzegu biurka. Wzięła głęboki oddech, po czym wyrzuciła z siebie:

- Nazywam się Elizabeth Sadler. Byłam tu już wczoraj późnym popołudniem, bo próbuję dowiedzieć się czegoś o moim bracie, Owenie. Dziś wróciłam, aby...

- Proszę się cofnąć - przerwał jej głos dochodzący jakby z góry.

- Słucham?

Elizabeth nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Proszę się cofnąć, żebym panią widział - powiedział policjant siedzący za biurkiem.

- Ależ oczywiście - zgodziła się i cofnęła o kilka kroków.

- A teraz proszę powtórzyć, jak się pani nazywa i po co przychodzi.

Zaskoczona Elizabeth popatrzyła na policjanta.

- Już to zrobiłam.

Policjant wziął do ręki pióro i otworzył książkę raportów.

- Nie dosłyszałem pani nazwiska i nadal nie wiem, z czym pani przychodzi - oznajmił. - Proszę więc zacząć od początku.

- Nazywam się Elizabeth Sadler - powtórzyła powoli i wyraźnie. - Byłam tu wczoraj...

- Czy mogłaby pani przeliterować?

- Oczywiście - odrzekła. - W-C-Z-O-R...

- Nazwisko - przerwał. - Proszę przeliterować nazwisko.

Elizabeth spłonęła rumieńcem.

- Oczywiście. E-L-I-Z-A-B-E-T-H S-A-D-L-E-R - przeliterowała. Potem zamilkła i cierpliwie czekała, aby policjant też się przedstawił.

- O co chodzi?

- Nie przedstawił się pan.

Policjant odchrząknął.

- Nazywam się Darnell. Sierżant Terrence Darnell. Elizabeth kiwnęła głową i zaczęła od początku:

- Jak już mówiłam, nazywam się Elizabeth Sadler i byłam tu już wczoraj po południu.

- W jakim celu?

- Właścicielka domu, w którym mój brat wynajmował pokój, poradziła, żebym tu przyszła.

- Jak się nazywa pani brat?

- Owen - odpowiedziała Elizabeth, stając na palcach, aby zerknąć poza biurko. - O-W-E-N S-A-D-L-E-R.

- To pani starszy czy młodszy brat?

- Czemu pan pyta?

- Muszę podać w raporcie jego przybliżony wiek.

- Młodszy - wyjaśniła. - Owen ma dwadzieścia jeden lat. - Poczekała, aż sierżant Darnell zanotował.

- Już. Proszę kontynuować.

- Mój brat, Owen, wyjechał do San Francisco siedem miesięcy temu. Przybył tu dwa tygodnie po opuszczeniu Providence. - Elizabeth przerwała, zastanawiając się, czy będzie musiała przeliterować „Providence”. Ponieważ nie usłyszała takiej prośby, ciągnęła: - Providence na Rhode Island. Tam się wychowaliśmy. W każdym razie Owen przyjechał do San Francisco i wynajął pokój w pensjonacie Ordley's na ulicy Montgomery. Jeszcze dwa miesiące temu mieszkał u pani Ordley...

- I pani chce, żebyśmy odnaleźli pani brata - mówiąc to, policjant zerknął do swoich notatek - Owena Sadlera, dlatego że się wyprowadził, nie informując pani o tym.

- Tak - potwierdziła Elizabeth. - I nie.

Sierżant popatrzył na nią, nie kryjąc zniecierpliwienia. Elizabeth zaczęła wyjaśniać.

- Tak, chcę, żebyście pomogli mi odnaleźć brata, ale nie dlatego, że wyprowadził się od pani Ordley, ale dlatego, że... - jej głos załamał się i z trudem odzyskała nad nim kontrolę - dlatego, że nie żyje. - Na chwilę zamknęła oczy. - Owen nie żyje. Dlatego potrzebuję waszej pomocy. Widzi pan, przyjechałam do San Francisco zaledwie wczoraj. Chciałam z nim zamieszkać, ale kiedy odnalazłam panią Ordley, okazało się, że już wynajęła pokój Owena. Poradziła mi, żebym poszła na policję. Rozmawiałam z oficerem Andersonem. Twierdził, że Owen nie żyje prawie od dwóch miesięcy. Zmarł w palarni opium na ulicy Washingtona w Chinatown. Właściciel tego przybytku mówi, że Owen był stałym klientem.

- Bardzo mi przykro. - Twarz sierżanta Darnella wyrażała szczere współczucie.

- Dziękuję, sierżancie - odpowiedziała.

- Co możemy dla pani zrobić, pani Sadler?

- Chcę wiedzieć, gdzie mój brat został pochowany. Gotowa jestem przetrząsnąć całe miasto, jeśli będzie to konieczne.

- Czy pani brat zostawił jakieś pieniądze?

- Nie - zaprzeczyła. - Pracował w banku Wells Fargo na ulicy Montgomery, ale jego konto jest puste. Kiedy wczoraj przyjechałam, bank był jeszcze otwarty. Sądziłam, że Owen będzie w pracy, więc od razu tam poszłam. Pan Knight, dyrektor, stwierdził, że Owen nie przychodził do pracy od ponad dwóch miesięcy. Po prostu przestał przychodzić, więc uznali, że porzucił pracę. Pan Knight sugerował, żebym udała się do pensjonatu Ordley's.

Sierżant Darnell zastanawiał się przez chwilę.

- Jeśli pani brat nie zostawił żadnych pieniędzy,

prawdopodobnie pochowano go na jednym z cmentarzy komunalnych.

Elizabeth pokiwała głową.

- Sierżant Anderson powiedział to samo. Ale w San Francisco jest kilkanaście takich cmentarzy i nie wiedział, od którego powinnam zacząć. Wróciłam tu dziś po więcej informacji.

- Więc pani brat zmarł w Chinatown? - powtórzył sierżant Darnell. - W palarni na ulicy Washingtona?

- Tak.

Sierżant westchnął.

- Czyli prawdopodobnie w Lo Peng's. Powinna pani popytać w kościele Saint Mary. Proszę odszukać tam ojca Paula. Niedaleko kościoła jest kawałek ziemi, gdzie zrobiono cmentarz dla biedaków z Chinatown. Ojciec Paul sam grzebie ciała, po które nikt się nie zgłosił... - Darnell zamilkł.

- Czy to daleko stąd?

- Kilka przecznic.

- Jak tam dojdę?

- Proszę iść ulicą Market, potem skręcić w Kearney w kierunku placu Portsmouth... - Widząc niepewność na twarzy Elizabeth, sierżant nagle przerwał. - Narysuję to pani - powiedział i naszkicował plan na kartce papieru.

- Dziękuję panu, sierżancie! - Na twarzy Elizabeth pojawiła się wdzięczność.

Sierżant Darnell wstał i wychylił się zza biurka, aby podać jej kartkę.

- Powinna pani wziąć taksówkę - poradził. - Mgła jest zbyt gęsta. Łatwo się pani zgubi. Kościół Saint Mary jest zbyt blisko Chinatown, a Chinatown nie jest najlepszym miejscem dla samotnej białej kobiety. Nawet za dnia.

Mgła rzeczywiście była gęsta jak mleko. Elizabeth wypuściła z ręki jeden koniec szala, sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła plan naszkicowany przez sierżanta Darnella. Miał rację. Powinna była wziąć taksówkę, ale część gotówki już wydała i nie mogła pozwolić sobie na taki luksus. Zresztą miała do pokonania zaledwie kilka przecznic.

Przystanąła na chwilę pod latarnią, aby przyjrzeć się szkicowi. Lada chwila powinna dotrzeć do kościoła Saint Mary na obrzeżach owego tajemniczego Chinatown.

Za kościołem, na kawałku leżącej odłogiem ziemi pomiędzy placem Saint Mary a Portsmouth, znajdował się cmentarz dla biedoty, gdzie grzebano pijaków, włóczęgów i palaczy opium. Mimo że Owen był metodystą, nie katolikiem, Elizabeth odczuła ulgę na myśl, że pochowano go w obecności księdza.

Żałowała, że wcześniej nie wyjechała z Providence. Wyrzucała sobie, że od razu nie zrezygnowała z pracy w akademii wtedy, kiedy po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia brat oznajmił, że ma dosyć banku i rusza na zachód, do San Francisco, w poszukiwaniu szczęścia. Powinna była jechać razem z nim. Wiedziała, że jest w gorącej wodzie kąpany, zawsze szukał przygód i za wszelką cenę chciał poznać świat. Był marzycielem. Tylko dla świętego spokoju, na skutek nacisku rodziców, przyuczył się do pracy w banku.

Elizabeth przygryzła wargę, próbując powstrzymać łzy. Owen nie był złym chłopcem. Brakło mu tylko doświadczenia życiowego. Był uparty i czasami bardzo niemądry. Ona, jako starsza, lepiej od niego radziła sobie w życiu. Owen nienawidził obowiązków. Ona lubiła pracę w Akademii Lady Wimbly dla Dziewcząt i była zadowolona, że może tam uczyć. Dawniej, po-

dobnie jak brat, odczuwała potrzebę ucieczki z dwupiętrowego domu przy ulicy Hemlock, gdzie oboje dorastali. Elizabeth jednak, w przeciwieństwie do Owena, w pracy odnalazła poczucie bezpieczeństwa. Spokój opuścił ją dopiero przed dwoma tygodniami. Tyle że wtedy ciało Owena już od dwóch miesięcy spoczywało w grobie na cmentarzu dla biedoty.

Elizabeth starała się rozetrzeć dłonie, mocniej otuliła się szalem. Słyszała plotki o San Francisco. W „Providence Journal” czytała nawet o „siedlisku zła Barbary Coast”. Widziała szkice wnętrza palarni opium zamieszczane w „Harper's Weekly”. Powinna była wiedzieć, jakie pokusy czyhają na chłopców takich jak Owen, którzy pierwszy raz w życiu znaleźli się poza domem z dala od rodziny. Powinna była przypilnować, żeby nie wpadł w złe towarzystwo i nie uzależnił się od alkoholu lub opium. Elizabeth zacisnęła zęby. Oni ją jeszcze popamiętają w tym paskudnym miejscu, gdzie się żeruje na naiwnych młodych chłopcach!

Nagle, przestraszona, zatrzymała się, próbując wypatrzyć coś przez gęstą mgłę. Do jej uszu docierały nieznanne dźwięki. Stłumione, zniekształcone krzyki ulicznych sprzedawców i strzępy rozmów przestały być zrozumiałe. Rytm obcego języka i jego melodia intrygowały ją, ale i przerażały. Bezlitośnie przypominały, że znalazła się sama w obcym mieście, tonącym we mgle, i pośród ludzi, których język i zwyczaje były jej obce. Nagle ogarnęła ją tęsknota za ciepłym pokojem w Russ House, za poczuciem bezpieczeństwa odnalezionym w ramionach Jamesa. Dotknęła kieszeni spódnicy, w której ukryła dwa mosiężne klucze i jedwabną chusteczkę. Oprócz klucza Jamesa miała jeszcze duplikat, który wyłudziła

od recepcjonisty, wmawiając mu, że wolałaby nie budzić towarzyszącego jej w podróży *kuzyna*.

Elizabeth podniosła głowę. Nie chciała teraz myśleć o Jamesie. I wcale nie zamierzała płakać bez względu na to, jak bardzo czuła się smutna, zmęczona, zmarznięta czy przestraszona. Powtarzała sobie, że nie może poddawać się słabości, że przecież sama gardzi kobietami, które potrafią tylko rozpaczać, załamywać ręce i czekać, że ktoś im pomoże. A w końcu i tak kładą się do łóżka, złożone jakąś wyimaginowaną chorobą. Wmawiała sobie, że postąpiła właściwie. Sama poradzi sobie znacznie lepiej.

Noc smutku i słabości już minęła. Również James odszedł do przeszłości. Z całych sił starała się zapomnieć o tych jego niebieskich oczach. Postanowiła zatrzymać tylko jego chusteczkę, nawet jeśli stałaby się ona źródłem wyrzutów sumienia. Uznała, że ma prawo do tej jednej jedynej pamiątki. A poza tym akurat potrzebowała chusteczki.

Nawet nie starała się powstrzymywać łez. Z trudem posuwała się do przodu. Spojrzała w lewo i przez mgłę dostrzegła szary zarys kościoła. Nie spuszczała z niego wzroku od chwili, gdy skręciła z chodnika. Pocieszała się, że nic złego jej tu nie grozi. I że to nic nie szkodzi, że Chinatown, lokal Barbary Coast i palarnie opium są niedaleko. Nie szkodzi, że znalazła się pośród obcych ludzi, których mowy nie rozumiała. Nie szkodzi, że jest sama. I nic nie szkodzi, że uniemożliwiła Jamesowi odnalezienie jej. Była inteligentna i zaradna. Właśnie zbliżała się do kościoła. Cóż mogło jej się przytrafić? Elizabeth wyprostowała się, otworzyła masywne dębowe drzwi kościoła Saint Mary i weszła do środka. Teraz powinna odszukać księdza.

3

- A niech to wszyscy diabli! - James obudził się późno, strasznie obolały. Głowę trzymał na oparciu fotela, poduszka tylko w niewielkim stopniu łagodziła kąt, pod jakim zginał szyję. Wczoraj zbyt długo wpatrywał się w płomień na kominku, dlatego czuł piasek pod spuchniętymi powiekami. Nie musiał otwierać oczu, aby zrozumieć, że jest sam. Nie było już kobiety, przytulonej do jego piersi.

Z trudem się podniósł, ziewnął i przeciągnął. Rozejrzał się po pokoju, szukając jakiegoś śladu osoby, która go wynajmowała. Nie znalazł niczego, co by świadczyło o tym, że ktoś tu mieszkał. Łóżko porządnie zasłane. Pudło na kapelusz i torba podróżna, które jeszcze wczoraj stały na dywanie, zniknęły.

Może i uwierzyłby, że spotkanie ze śliczną Elizabeth mu się przyśniło, gdyby nie delikatny, fiołkowy zapach, unoszący się z jego jedwabnego szlafroka. James nigdy nie używał fiołkowych perfum. Wolał ostrzejsze, męskie zapachy. Elizabeth nie była więc wytworem jego wyobraźni, lecz kobietą z krwi i kości. Zamierzał ją odnaleźć, musi tylko wrócić do swojego pokoju, umyć się, ubrać i coś przekąsić.

Dziesięć minut później przekonał się, że Elizabeth nie tylko istniała naprawdę, ale do tego musiała być istotą diabła przebiegłą. Nie mógł mieć wątpliwości, że nie chciała,

by ją odnalazł. Gdy w końcu wyłowił klucz spod siedzenia fotela, okazało się, że nie jest to klucz do jego pokoju.

Dłuższą chwilę gmerał w zamku, ale bezskutecznie. Zrozumiał, że Elizabeth zamieniła klucze, gdy spał. Uśmiechnął się ponuro. Sprytnie to obmyśliła: zadbała, aby nie został bez noclegu, ale jednocześnie uniemożliwiła mu dostęp do osobistych rzeczy. James popatrzył na swoje bose stopy i gołą pierś. Nie da się ukryć, że przydałyby mu się skarpetki, buty i koszula. Poruszył palcami u nóg. Doceniał spryt Elizabeth. Po chwili zastanowienia uznał, że ma trzy wyjścia: może poczekać w pokoju Elizabeth na pokojówkę lub kogoś z obsługi, może włamać się do swojego pokoju albo zejść do recepcji w szlafroku i bez klucza. W każdym z tych przypadków będzie miał sporo kłopotów. Półnagi mężczyzna w pokoju samotnej kobiety nie uniknie przesłuchania. Trudno przypuszczać, aby udało mu się niezauważalnie włamać do pokoju lub nie zwracając niczyjej uwagi przemknąć przez główny hall jednego z najlepszych hoteli w San Francisco na bosaka i bez koszuli. Musiałby się tłumaczyć, a to z pewnością opóźniłoby jego wyjazd i zmniejszyłoby szanse na odnalezienie Elizabeth w mglistym San Francisco.

James ze złością zacisnął zęby. Oto jaka spotkała go zapłata za to, że próbował być miłosiernym Samarytaninem i starał się pocieszyć zrozpaczoną kobietę. Za to, że przez całą noc kulił swe prawie dwumetrowe ciało w niewygodnym fotelu.

Znacznie bardziej niż zniknięcie Elizabeth irytowała go perspektywa pokazania się w samym szlafroku w hotelu pełnym pracowników jego własnego przedsiębiorstwa kolejowego i konieczność złożenia wyjaśnień. W gruncie rzeczy Elizabeth nie miała wobec nie-

go żadnego długu. Sam zaoferował jej pomoc i słowa otuchy. O nic go nie prosiła. No, może tylko żeby nie odchodził. Nie chciała być sama. Pozwoliła mu jedynie ukołysać się do snu.

Potrząsnął głową. Nie mogła wiedzieć, że ośmielił się trochę pomarzyć, gdy leżała skulona w jego objęciach. Planował, że nazajutrz oderwie się od licznych obowiązków i spędzi z nią kilka godzin. Elizabeth nie mogła znać jego myśli. Nie mogła wiedzieć, że zamierzał zjeść z nią śniadanie, a później oprowadzić po mieście.

Wymknęła się, kiedy spał, jakby bała się spojrzeć mu w oczy. Może obawiała się, że będzie nią gardził, skoro należała do osób gotowych wypłakiwać się w mankiet nieznanego mężczyzny, a do tego spędzić z nim noc. W pierwszej chwili skłonny był przetrząsnąć miasto w poszukiwaniu Elizabeth. Uświadomił sobie jednak, że ona bardzo wyraźnie dała mu do zrozumienia, iż sobie tego nie życzy.

Ostatecznie James uznał, że dość ma swoich spraw, którymi powinien się zająć. Kierowanie przedsiębiorstwami kolejowymi i górniczymi było bardzo absorbujące. Brygadziści donieśli o zamieszkach w kopalniach, a przed powrotem do domu powinien jeszcze sfinalizować umowę z Central Pacific. A w Coryville czekały na niego jeszcze poważniejsze sprawy. Im szybciej zapomni o urażonej dumie i zejdzie na dół do recepcji, tym szybciej będzie mógł umyć się i ubrać, zająć interesami i wreszcie wrócić do rodziny, do Coryville.

Uznawszy, że to jedyne wyjście, James Craig boso i bez koszuli zszedł na dół do recepcji po zapasowy klucz. Ignorując pytania zaciekawionego recepcjonisty, postanowił zaczekać na dyrektora hotelu. Pan Pal-

mer był wysokim, otyłym mężczyzną z bokobrodami i postępującą łysiną. Poszukiwania zapasowego klucza zajęły mu tyle czasu, że James uznał, iż wolałby kupić cały ten hotel, pozbyć się niekompetentnego personelu i samemu poszukać klucza, niż wystawiać się na ciekawskie spojrzenia pracowników i gości hotelowych. Stojąc przy biurku recepcjonisty, rozglądał się wokół w nadziei, że może zobaczy Elizabeth spokojnie spożywającą śniadanie. Był rozczarowany, chociaż nie zdziwiony, że nigdzie jej nie ma. Zbyt wiele wysiłku włożyła w ucieczkę i powstrzymanie go przed wszczęciem poszukiwań, aby teraz mogła spokojnie jeść śniadanie. Mimo to bardzo chciał ją jeszcze zobaczyć.

Westchnął ciężko i odwrócił się, napotykając zdumiony wzrok swoich pracowników, popijających kawę. Przeczesał palcami włosy, wygładził szlafrok i mocniej zacisnął pasek, aby wyglądać choć trochę porządniej. Linie kolejowe i kopalnie, których był właścicielem, zatrudniały setki ludzi, z których większość nie miała powodów, aby narzekać na pracę. Wśród jego pracowników byli jednak i tacy, którzy chętnie dawali wiarę plotkom, które przywędrowały za nim z Hongkongu. Krótko mówiąc, James pracował z ludźmi, którzy nie do końca akceptowali go jako zwierzchnika, trudno im też było pogodzić się z faktem, że w Craig Capital Ltd pracowały setki Walijszczyków, Kornwalijczyków i Chińczyków.

- Przepraszam za zwłokę, panie Craig - wyrwał go z zamyślenia dyrektor hotelu - ale nie jesteśmy w stanie odnaleźć zapasowego klucza do pańskiego pokoju. Może powinien pan zapytać swoją towarzyszkę podróży - spojrzał znacząco na Jamesa. - Dziś rano po-

prosiła o dodatkowy klucz do pańskiego pokoju.

- Zapytać kogo? - podniesiony głos Jamesa zwrócił uwagę kilku gości.

- Młodą kobietę podróżującą z panem. Zajmuje sąsiedni pokój.

- Elizabeth?

Palmer kiwnął głową i zerknął do książki hotelowej.

- Tak. Panna Elizabeth Sadler. Jak rozumiem, to panna kuzynka - poinformował Jamesa.

James przełknął tę wiadomość i jeszcze raz rozejrzał się po hallu.

- Czy kuzynka wspomniała, dlaczego tak rano wychodzi?

- Wyjaśniła, że choć podróżuje z panem, chciałaby zrobić trochę zakupów, kiedy pan będzie zajęty sprawami służbowymi. Portier wezwał dla niej taksówkę.

- A co z jej pokojem? - zapytał James.

- Nie rozumiem.

- Wyjeżdżam... wyjeżdżamy z San Francisco dziś po południu - przypomniał kierownikowi. - Kuzynka uregulowała rachunek, czy zostawiła to dla mnie?

- Ależ nie, panie Craig - pospiesznie zapewnił Palmer. - Panna Sadler sama zapłaciła za pokój dziś rano.

- A gdzie jest jej bagaż? - dopytywał się James. - Osobiście wysłała go do biura przewozowego, czy ja mam to zrobić?

- Miała przecież tylko jedną torbę i pudło na kapelusz. - Kierownik spojrzął na Jamesa z rozbawieniem. - Wydawało mi się, że jej bagaż już odesłano.

- Do czego w takim razie potrzebny był jej klucz do mojego pokoju?

- Powiedziała, że zostawiła u pana kilka osobistych

drobiazgów. Nie chciała pana budzić tak rano, więc poprosiła recepcjonistę o zapasowy klucz.

- A on jej go dał? - James podniósł głos.

- Proszę mówić troszkę ciszej - upomniał go Palmer. - Goście nas słuchają.

- Ja też jestem gościem - przypomniał James, zniżając głos i z trudem cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

- A wyście dali klucz do mojego pokoju obcej osobie, nie pytając mnie o zdanie.

- Panna Sadler twierdziła, że podróżuje z panem, że jest pana kuzynką. Skąd mogliśmy wiedzieć, że nie powinniśmy wydawać jej klucza? Albo że pan tak nierozsądnie zgubi swój - dodał wyniośle Palmer.

Ton dyrektora zdenerwował Jamesa.

- Nie zgubiłem klucza. Ani przez brak rozsądku, ani z żadnego innego powodu.

- Cóż się więc stało? - spytał Palmer.

James ledwie się powstrzymał, by nie powiedzieć dyrektorowi, co stało się z jego kluczem. Bez względu na to, kim była Elizabeth, James wiedział, że to dama. Wystraszona, może nawet zdesperowana, ale dama. Nie chciał zrujnować jej reputacji. Temat zagubionego klucza uznał za zamknięty.

James spojrzał dyrektorowi prosto w oczy.

- Nie mam pojęcia. Muszę jednak pozałatwiać pewne ważne sprawy, a ponieważ moja kuzynka jest nieobecna, proszę wezwać ślusarza.

Palmer potrząsnął głową.

- To wbrew przepisom.

- Z pewnością przepisy nie mówią też nic o wyłamaniu drzwi.

- Nie może pan tego zrobić - przestraszył się Palmer.

- Owszem, mogę, i zaraz to zrobię.

- Ależ proszę pana... Panie Craig.

James zerknął na zegar wiszący na ścianie, aby dać Palmerowi do zrozumienia, że stracił już dość czasu.

- Ma pan dziesięć minut na znalezienie ślusarza.

James patrzył przed siebie, czekając na zbliżający się do nabrzeża prom, którym miał popłynąć do Oakland, do biura Central Pacific. Przemierzył handlowe dzielnice miasta w poszukiwaniu Elizabeth. Musiała przecieżyć być gdzieś w tej tętniącej życiem metropolii, sama i bezradna. Martwił się o nią, chociaż wiedział, że nie powinien. Robiła wrażenie delikatnej i kruchej. Parsknął z dezaprobatą: to tylko pozory. Ta krucha i delikatna istota z łatwością go przechytryła.

Został w mieście tak długo, jak to było możliwe, le-dwo zdążając na ostatni prom do Oakland. Wahał się nawet, czy nie zostać w San Francisco kilka dni dłużej, aby mieć czas na odszukanie dziewczyny, ale nie chciał rozczarować swoich bliskich. Obiecał, że wróci nazajutrz, i zamierzał dotrzymać słowa.

Patrzył, jak prom podpływa do mola i załoga rozkłada trapy. Wszedł na pokład i skierował się do swojego stolika w jadalni. Kiwnął głową na powitanie kilku znajomym. Po chwili dołączył do niego Will Keegan, jego zastępca w Craig Capital Ltd.

Will zdjął kapelusz i płaszcz i usiadł naprzeciwko. Nalał sobie kawy.

- Nie było cię na lunchu.

James odwrócił się od okna. Pograżony w myślach, spojrzął na Willa pustym wzrokiem i złapał się za głowę.

- Cholera jasna!

- Nic się nie stało - uspokoił go Keegan. - Chociaż nie było cię z nami, wszystko poszło zgodnie z planem. Dokumenty zostały podpisane, zabezpieczone i dostarczone bankowi na przechowanie. - Will sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął kopertę. - A tak przy okazji, ten list przyszedł do ciebie, kiedy byliśmy na spotkaniu - to mówiąc, wręczył Jamesowi kopertę.

James zmarszczył brwi. Nie mógł przestać myśleć o Elizabeth. Być może dlatego, że się z nią nie pożegnał. Nawet teraz, kiedy siedział naprzeciwko Willa, każde spojrzenie na błyszczącą wodę zatoki przypominało mu jej oczy. Przez nią zapomniał o interesach, cały dzień spacerując po nie kończących się uliczkach ze sklepami, w nadziei, że Elizabeth naprawdę wybrała się na zakupy.

- Nie wiem, jak to możliwe, że zapomniałem o spotkaniu z zarządem Central Pacific.

Will wzruszył ramionami.

- Nie przejmuj się tak. Umowa była przecież gotowa. Reszta to tylko formalność, a poza tym - spojrzał na Jamesa znad filiżanki - przydało mi się takie doświadczenie. A i ty powinieneś wiedzieć, że firma nie upadnie tylko dlatego, że opuściłeś jeden lunch. - Will odstawił filiżankę.

- A niech to diabli - zaklął James. - Nigdy nie zdarzyło mi się nic podobnego. To nie w moim stylu.

- Domyśliłem się, że musiało stać się coś ważnego. - Brązowe oczy Willa zabłysły wesoło. - Nie przejmuj się, Jamie. Nikt nie będzie miał ci za złe, że wolny dzień w San Francisco spędziłeś w miłym towarzystwie, nie wychodząc z łóżka. Masz do tego prawo.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - James podejrzliwie popatrzył na Willa.

- Słyszałem, że narobiłeś trochę... zamieszania dziś rano w Russ House.

James uniósł brwi.

- Zwykle puszczasz plotki mimo uszu.

- Oprócz tych, które dotyczą ciebie - odpowiedział Will, patrząc Jamesowi prosto w oczy. James wiedział, że Will ma na myśli również tamte plotki, jeszcze z Hongkongu. - Nie gniewaj się, Jamie. Wiesz, że na moim miejscu zachowałbyś się tak samo.

James westchnął. Will miał rację. Nie mógł mieć żalu do przyjaciela, że obchodzą go jego poczynania. Posiadali niemal jednakowe udziały w Craig Capital, więc wszystkie plotki na temat Jamesa, które mogły wpłynąć na działalność firmy, dotyczyły również Willa.

- Co słyszałeś? - spytał James. - Coś bardzo złego?

- Słyszałem, że nie udał ci się poranek. Nie dość że się zjawiłeś na śniadaniu w Russ House w samym szlafroku, to zrobiłeś karczemną awanturę kierownictwu hotelu z powodu prostytutki Lily Beth, która ukradła ci ubrania i pieniądze. Potem wyłamałeś drzwi do swojego pokoju, bo kierownik hotelu nie chciał ci wydać rzeczy, zanim nie zapłacisz całego rachunku - Will uśmiechnął się szeroko. - Jednym słowem mówią, że bajecznie bogaty James Craig w jednym z najbardziej ekskluzywnych hoteli w San Francisco dał się naciągnąć prostytutce od Barbary Coast. Ile w tym prawdy?

- Wyłamałem drzwi do pokoju.

- Dlaczego? - Will nie mógł powstrzymać ciekawości.

- Bo nie miałem klucza. A ten ślamazarny dyrektor za bardzo grzebał się ze znalezieniem ślusarza.

- Żadnej prostytutki o imieniu Lily Beth?

- Żadnej - odpowiedział James, przypominając sobie niewinne błękitnozielone oczy Elizabeth.

- A jedwabny szlafrok?

Po raz pierwszy, odkąd Will przysiadł się do jego stolika, James uśmiechnął się.

- Miałem na sobie jedwabny szlafrok, ale byłem w spodniach.

- No tak, wiedziałem, że to nie mogła być prawda.

- A więc? - niecierpliwiał się James.

- Co?

- Jak według ciebie ten rzekomy skandal wpłynie na firmę?

Will zachichotał.

- Och, myślę, że akurat z tej plotki będzie dużo pożytku.

- Jak to?

- Bo się nagle okazuje, że jesteś zwykłym facetem. Że i ty popełniasz błędy. Ludzie pomyślą, że jesteś taki sam jak oni, skoro i ciebie można przyłapać bez spodni. Każdemu wcześniej czy później się to przytrafia.

- Ale to nieprawda - upierał się James.

- To bez znaczenia - odrzekł Will.

James westchnął ciężko. Czemu tak musi być, zastanawiał się. Czemu ludzie tak chętnie widzą w innych to, co najgorsze? Dlaczego jego pracownikom miało by się podobać, że popełnia błędy? Przecież to od niego zależy ich dobrobyt, a czasem nawet życie.

Will poklepał Jamesa po ramieniu.

- Rozchmurz się, człowieku. Ludzie długo będą się rozsmakowywać w tej plotce.

- Wiem - odpowiedział przygnębiony James.

- Bardziej cię polubią.

- Nie zależy mi, żeby mnie lubili - odrzekł James. -
Wolałbym, żeby mi ufali.

- Na zaufanie trzeba zapracować.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - James utkwił wzrok w gładkiej powierzchni drewnianego stołu.

Will skończył kawę i zbierał się do wyjścia.

- Daj im czas, Jamie. My wciąż jesteśmy nowi w Kalifornii. Mamy inny styl prowadzenia interesów. Jestem pewien, że jak tylko nasi pracownicy przekonają się, że za tę samą pracę płacimy jednakowo bez względu na pochodzenie czy kolor skóry, uspokoją się. Jeszcze nauczą się razem pracować i ufać nam, jak tylko zrozumieją, że nikogo nie faworyzujesz. Wszystko się ułoży.

- Obyś miał rację - westchnął James.

- Oczywiście, że mam - odparł Will. - Sam się przekonasz. - Poklepał Jamesa po ramieniu. - Muszę przypilnować rozładunku nowej dostawy - powiedział, przygotowując się do powrotu na zimny pokład. - Nie zapomnij przeczytać telegramu.

- Coś ważnego? - spytał James, wiedząc, że pod jego nieobecność Will czyta każdy telegram wysłany do biura Craig Capital w San Francisco.

Will uśmiechnął się.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Na twoim miejscu uznałbym, że to tragedia. Twoja ostatnia guwernantka rzuciła posadę, a pani Glenross zapowiada, że zrobi to samo, chyba że znajdziesz kogoś do opieki nad Skarbami.

James przeczesał palcami gęste czarne włosy.

- Cholera. Gdybym wcześniej o tym wiedział, poszukałbym nowej guwernantki w mieście. W Coryville zostaną zaledwie jeden dzień przed powrotem do San Francisco.

- A może po prostu przenocowałbyś w Oakland i rannym promem wrócił do miasta? - zasugerował Will, chociaż wiedział, że James nie przystanie na tę propozycję.

- Nie mogę - odparł James. - Obiecałem Skarbowi, że jutro rano będę w domu, i nie mogę ich zawieść.

- Próbowałeś znaleźć kogoś w Coryville? - Will narzucił płaszcz i spojrzał na majaczące za oknem Oakland.

- Sam wiesz, że w zeszłym miesiącu przez nasz dom przewinęły się cztery guwernantki - powiedział James.

- Wszystkie z Coryville. Nie pamiętasz? Pierwsza była kiedyś krupierką, druga kelnerką w barze, trzecia, Chin-ka, praczką w obozie górniczym, a czwarta wdową po jednym z górników. Żadna nie miała kwalifikacji. Ale...

- Ale było ci ich żal i zaproponowałeś im lepiej płatną pracę - skończył za niego Will.

James kiwnął głową.

- Tak, ale tylko dlatego, że akurat było mi to na rękę.

- Zauważyłem, że żadna nie zagrzała długo miejsca, ale nigdy nie mówiłeś dlaczego.

- Krupierką miała zwyczaj spać całymi dniami. Zrezygnowała, bo nie lubiła wstawać rano. Kelnerkę musiałem zwolnić, bo popijała moją szkocką i brandy. Poza tym odkryłem, że kiedy zabierała Skarby na codzienny spacer, szła do centrum, zostawiała je w wózkach, a sama przesiadywała w barach przy piwie. Praczką w ogóle nie rozumiała, po co mi te Skarby. Namawiała mnie, żebym je sprzedał i kupił sobie synów. Musiałem więc ją oddalić. A ta ostatnia... - James jeszcze raz przeczytał telegram. - Kto wie? - James utkwiał wzrok w Willu. - Kilka razy rozmawialiśmy o wychowywaniu dzieci i nasze poglądy bardzo się różniły. Nie, tym razem powinienem znaleźć guwernantkę w San Francisco.

- Chyba masz rację - zgodził się Will. - No dobrze, pójdę już. Nie zapomnij pozdrowić ode mnie pani Glenross i Skarbów.

- Nie wstąpisz do nas? - spytał James w nadziei, że obecność Willa wpłynie kojąco na gospodynię, panią Glenross, a i Skarby też się pewnie ucieszą.

- Nie - potrząsnął głową Will. - Czyżbyś zapomniał, że sam poleciłeś, żebym osobiście dopilnował dostaw do obozów górniczych i skontrolował ich pracę?

- Zmieniłem zdanie - odpowiedział James. - Wyślij kogoś.

- Za późno - odparł Will, kierując się do drzwi. - Już znikam. Zresztą nie miałbym kogo posłać. Powodzenia w poszukiwaniu guwernantki.

Samo powodzenie nie wystarczy, pomyślał James. Będę potrzebował cudu, bo znalezienie guwernantki dla trzech niezdolnych dziewczynek musi graniczyć z cudem.

Na szczęście Jamesowi wpadł już do głowy pewien pomysł. Zdecydował się, że przetrząśnie całe San Francisco w poszukiwaniu guwernantki.

4

- Mamy następną - powitała Jamesa gospodyni, Helen Glenross. Na rękach trzymała okryte kocykiem zawiniątko.

- Tak szybko? To wspaniale. - James nie podniósł nawet głowy. Wytarł buty przed drzwiami dwupiętrowego murowanego domu, strząsnął kilka płatków wio-

sennego śniegu z ronda kapelusza i rękawów płaszcza, po czym wszedł do środka.

Pani Glenross zamknęła drzwi. James odstawił skórzaną torbę, zdjął ciężki wełniany płaszcz i kapelusz, powiesił je na wieszaku w korytarzu i skierował się do gabinetu.

- Dopiero na promie Will dał mi telegram od pani. Nie spodziewałem się, że tak szybko znajdzie pani następną. Proszę powiedzieć, czy wobec tego zostanie pani z nami? - zapytał i zaczął przeglądać plik listów, leżących na biurku.

- Wręcz przeciwnie - odpowiedziała i dopiero teraz udało jej się skupić na sobie uwagę Jamesa. - Nie tylko postanowiłam odejść, ale być może, wzięwszy pod uwagę, co się tu wyprawia, zrobię to jeszcze dziś wieczorem.

James odwrócił się i popatrzył na gospodynię.

- Nie rozumiem.

Pani Glenross ostrożnie podała mu zawiniątko.

- To powinno wszystko wyjaśnić.

James wypuścił listy. Koperty zsunęły mu się z kolan i rozsypały po drewnianej podłodze, kiedy brał tobołek od pani Glenross. Poczuł ciepło drobnego ciała i natychmiast uświadomił sobie, że trzyma w ramionach niemowlę. Delikatnie zsunął z dziecka przykrywający je materiał.

Zobaczył czerwoną pomarszczoną buzię i ciało dziewczynki urodzonej zaledwie przed kilku godzinami. Pogłaskał maleństwo po główce, lekko przesunął dłonią po policzku, potem palcem wskazującym dotknął zaciśniętej piąstki. Dziecko instynktownie chwyciło palec.

James uśmiechnął się szeroko.

- Silna. Pełna życia.

Helen Glenross schyliła się, aby pozbierać listy. Jej

szczupłą, ściągniętą twarz ozdobił uśmiech, kiedy wraz ze swym pracodawcą przyglądała się cudowi nowego życia.

- O, tak, jest silna.

- Gdzie ją pani znalazła? - zapytał James.

- W ogrodzie za szklarnią przy tylnej bramie. Właśnie weszłam do szklarni po truskawki do ciasta. Usłyszałam jakiś hałas, a kiedy się rozejrzałam, zauważyłam, że ubyło trochę owoców i warzyw. Pomyślałam, że znów odwiedził nas jakiś wygłodzony złodziejasek. Wyszłam, żeby sprawdzić, czy tylna brama jest zamknięta, no i wtedy znalazłam to maleństwo w koszyku z kapustą. Ona musi mieć zaledwie kilka godzin.

James przytaknął.

- Czy wygląda na zdrową? - zapytał z nadzieją w głosie, odruchowo przeliczając maleństwu palce u rąk i nóg. - Jakież wady? Znamiona?

Pani Glenross potrząsnęła głową.

- Nic nie znalazłam.

- A niech to! - mruknął pod nosem.

Wcale nie chciał, aby ta niewinna istotka była fizycznie upośledzona; po prostu szukał logiki w obyczaju sięgającym chińskiej starożytności, nakazującym porzucanie noworodków płci żeńskiej. James może nawet byłby w stanie zrozumieć przerażenie przesądnej młodej kobiety, która po urodzeniu zdeformowanego niemowlęcia decyduje się je porzucić, ale żeby zdrowe dziecko... To mu się nie mieściło w głowie. Takie postępowanie bolało Jamesa, smuciło i złościło jednocześnie. I oto miał przed sobą kolejne zupełnie zdrowe, piękne dziecko, porzucone tylko dlatego, że urodziło się dziewczynką w rodzinie, w której pierwotnym powinien być chłopiec.

- Ją przynajmniej wnieśli za bramę - odezwała się pani

Glenross. - Emeraldę prawie pan rozjechał, pamięta pan?

Jak mógłby zapomnieć? Przez ten niedoszły wypadek postarzał się o kilka lat.

- Pewnie już wszyscy w Chinatown wiedzą, że chętnie przyjmuję niechciane dziewczynki. Zresztą wcale tego nie ukrywałem.

Pani Glenross wzięła się pod boki i prychnęła z pogardą, zaciskając usta w wąską linię.

- Przywódcy Tongów na pewno myślą, że wychowuje pan te niewinne owieczki na swoje niewolnice lub konkubiny. Dlatego pozwalają je tu znosić.

- Nie interesuje mnie, co myślą Tongowie.

- Ale te straszne plotki, które ludzie o panu powtarzają...

James popatrzył na gospodynię. Więc pani Glenross też je znała. Nic dziwnego, że groziła rezygnacją z posady. Nie mógł mieć do niej żalu, że czuła się tu nieswojo, szczególnie teraz, gdy po odejściu ostatniej gubernantki została z nim sama. On też będzie się czuł nieswojo. Przecież nikt nie zechce mieszkać z mordercą, nawet gdyby miały to być tylko plotki.

Miał szczęście, że swego czasu znalazł panią Glenross. Teraz potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek, więc postanowił zrobić co w jego mocy, by nakłonić ją do pozostania.

- Do diabła z plotkami - James starał się opanować.
- Wolę, żeby wszyscy uważali mnie za stręczyciela, niż żeby którakolwiek z tych niewinnych istot miała zginąć. - Spojrzał na dziecko i uśmiechnął się, gdy ziewnęło. - Plotki to przecież tylko plotki. - James bez mruknięcia wytrzymał twarde spojrzenie gospodyni. - Nie przejmuję się nimi. I mam nadzieję, że pani też nie.

Oboje znamy prawdę. Oboje wiemy, że nie potrafiłbym skrzywdzić dziewczynek.

Pani Glenross kiwnęła głową ze zrozumieniem i uśmiechnęła się, co nieczęsto jej się zdarzało.

- Niech pan nie sądzi, że zważam na ludzkie gadanie. Nie zamierzam też opuszczać tej posady. Ale - zawahała się przez chwilę - mieszkają tu już trzy małe dziewczynki, teraz jest następna, a guwernantki wciąż nie mamy. Nie wiem, czy sama dam sobie radę.

James uśmiechnął się krzepiąco.

- Proszę się nie martwić. Już prawie znalazłem guwernantkę.

Pani Glenross uniosła brwi.

- Spotkałem ją w hotelu w San Francisco. Jest młoda, wykształcona i ma doświadczenie - powiedział James. Nie kłamał. Spotkał ją przecież w hotelu w San Francisco. A ona powiedziała, że jest nauczycielką.

Pani Glenross odniosła się do jego słów z pewną dozą sceptycyzmu. Dobrze pamiętała, jakiego rodzaju doświadczeniem mogły się pochwalić poprzednie guwernantki wybierane przez niego.

- Co to znaczy doświadczona?

- Zrezygnowała z posady nauczycielki, zanim się tu przeprowadziła.

- I pan myśli, że zdoła namówić nauczycielkę z doświadczeniem, żeby przeniosła się z San Francisco do jakiegoś małego górniczego miasteczka?

- Ona bardzo potrzebuje pracy - odrzekł James, modląc się, żeby to była prawda. - A my bardzo potrzebujemy guwernantki.

- A jeśli okaże się, że już znalazła pracę?

- Przebiję każdą ofertę - powiedział James. - Podwo-

ję, nawet potroję, zrobię wszystko, dam każde pieniądze, byle tylko się zgodziła.

Jak przystało na prawdziwą Szkotkę, pani Glenross od razu wykorzystała sytuację.

- A jeśli chodzi o mnie...

James z trudem powstrzymał uśmiech.

- Ależ oczywiście. To rozumiałe, że skoro powiększy się nam liczba domowników - spojrzał na dziecko - podwoję pani pensję i dodam pokaźną premię z wdzięczności, że zdecydowała się pani zostać. Czy to pani odpowiada?

- Tak, dziękuję.

- A więc wszystko ustalone. Czy mówiła już pani Skarbo, że mają nową siostrę?

- Nie, czekałam na pana. Nakarmiłam je, wykąpałam i położyłam, żeby trochę odpoczęły. Musiałam im obiecać, że je obudzę, jak tylko pan przyjedzie.

- Zaraz pójdziemy na górę, ale najpierw musimy podjąć jeszcze jedną ważną decyzję - James skupiony spojrzał na gospodynię. - Jak jej mamy na imię?

- Jest kwiecień - odpowiedziała pani Glenross.

- Jaki kamień przynosi szczęście dzieciom urodzonym w kwietniu?

Pani Glenross zastanawiała się przez chwilę.

- Diament.

- A więc będziesz miała na imię Diamond. - James pochylił się i przytulił twarz do kocyka, wdychając zapach noworodka. Czy kiedykolwiek znudzi mu się widok niemowlęcia otwierającego oczy, by na niego spojrzeć? Czy nastanie taki czas, kiedy patrząc na nowo narodzoną dziewczynkę, nie będzie pamiętał... Nie, powiedział sobie James. Nigdy. Przycisnął usta do czółka dziecka.

- Witaj w domu, Diamenciku. Witaj w rodzinie. Teraz pójdziemy na górę i przedstawimy cię twoim siostram. - James zerknął na panią Glenross. - Ciekawe, jak one cię powitają.

- Tata! - Pokój dziecienny na górze wypełnił się piskami dziewczynek. Trzypółletnia Ruby wygrzebała się z pościeli, zręcznie wspięła po prętach łóżeczka i rzuciła na tatę, obejmując go za kolana. - Co mi psyniosłeś, tato?

James oddał niemowlę pani Glenross i podniósł Ruby. Dwuletnia Garnet skakała z radości po materacu, w końcu poszła w ślady siostry, przekładając pulchną nóżkę przez kraty łóżeczka, by się z niego wydostać.

- Przyniosłem siebie - wyszeptał Ruby do ucha, obspując jej wrażliwą na łaskotki szyję całusami.

Dziewczynka zachichotała uradowana, a potem zmarszczyła brwi i zapytała poważnie:

- Co jeszcze mi psyniosłeś?

- Przyniosłem ci słońce, księżyc, gwiazdy, dobre myśli i słodkie sny - odpowiedział.

Ruby zmarszczyła brwi jeszcze mocniej.

- Co jeszcze?

James roześmiał się.

- Ruby, kochanie, ależ ty jesteś nienasycona!

Ruby nie rozumiała takich trudnych słów. Za to rozumiała, że tata nie chce jej zdradzić, jaki ma dla niej prezent z Sanflancisko. Jej cierpliwość się wyczerpała. Zaczęła się wiercić.

- Co psyniosłeś, tato? - powtarzała uparcie.

James znów ją pocałował i postawił na podłodze.

- Przywiozłem śliczny fortepian. Tylko dla ciebie - oświadczył.

Pani Glenross głośno jęknęła.

Ruby pisnęła z zachwytu i odtańczyła szaleńczy taniec radości, wpadając na Garnet, której wreszcie udało się wydostać z łóżeczka i niepewnym krokiem podejść do pani Glenross i ojca.

- Gdzie jest to foltepiano?

- Fortepian - poprawił James, schylając się, by podnieść malutką, nieśmiałą Garnet, ukrywającą się za panią Glenross. - Jeszcze go nie wypakowałem. Dostaniesz go rano, po śniadaniu - obiecał.

Teraz mógł poświęcić trochę uwagi Garnet, która z całej siły przytuliła buzię do jego policzka.

- Dzień dobry, kochanie. Za tobą tata też tęsknił.

- Co psyniosłeś Galny? - Ruby zmieniła taktykę, podchodząc do Jamesa i ciągnąc go za nogawki spodni.

- To samo co tobie.

- Foltepian tylko dla niej? - oburzyła się Ruby.

- Nie - zapewnił najstarszą córkę. - Przywiozłem Garnet słońce, księżyc i gwiazdy, dobre myśli i słodkie sny i - urwał znacząco - pudełko klocków tylko dla niej.

Garnet szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia, a jej malutka twarzyczka rozpromieniła się na tę wiadomość. Garnet pachniała mydłem i pudrem. Wdychając tę woń, James zastanawiał się nad różnicami w naturze obu dziewczynek. Ruby była śmiała, uparta i nieco rozkapryszona, Garnet powściągliwa, przyjazna i szczodra. Najstarsza z dziewczynek była niska, o szerokiej, wyrazistej twarzy i mocnej budowie; Garnet zaś była delikatnej budowy, miała drobną, owalną twarzyczkę o subtelnych rysach. Tryskająca zdrowiem i energią Ruby lubiła rozkazywać młodszym siostrom, a uległa i cicha Garnet nigdy się o to nie obrażała.

James odczuwał bezgraniczne wzruszenie za każdym razem, gdy patrzyła na niego z miłością, zaufaniem i zachwytem w swoich ciemnych oczach.

- Mi tes psywiozłeś klocki? - spytała Ruby.

- Klocki przywiozłem dla Garnet - powtórzył James.

- Fortepian dla ciebie. - Rozejrzał się po pokoju, szukając trzynastomiesięcznej Emeraldy, siedzącej w łó-zeczku. - I jasnoczerwoną gumową piłkę dla Emeraldy.

Garnet położyła rączki na policzkach Jamesa i odwróciła jego głowę w stronę pani Glenross.

- A to co? - spytała, wskazując na niemowlę, które pani Glenross trzymała w ramionach.

- To jest wasza nowa siostrzyczka. Ma na imię Diamond.

5

Ojciec Paul chodził tam i z powrotem wąską ścieżką pomiędzy grobami. Elizabeth patrzyła w napięciu na rąbek sutanny, ocierający się o czarne buty i świeżą glinę z nowych grobów na tym wciąż rozrastającym się cmentarzu dla biedoty.

- Jest ksiądz pewien, że to tu? - spytała Elizabeth, wskazując drugi grób w rzędzie.

Ojciec Paul wzruszył ramionami.

- Pewien to być nie mogę. Ciągłe przybywają nowe.

- Proszę sobie przypomnieć - nalegała. - Owen miał taką chłopięcą twarz, jasne włosy i niebieskie oczy. Liczył sobie zaledwie dwadzieścia lat.

- Taki młody - westchnął ksiądz, poprawiając piuskę na gęstych siwych włosach. - Oni wszyscy wydają mi się bardzo młodzi. - Skierował wzrok na rząd grobów. - Może to tamten - wskazał na inny. - Albo ten - nie mógł się zdecydować. - Któryś z tych, ale nie jestem pewien który.

Przez chwilę Elizabeth stała nieruchomo, przygryzając wargę.

- To na pewno ten - zdecydowała, wskazując na drugi kopczyk i oczekując od księdza potwierdzenia. - Wiem, że Owen tu został pochowany. Czuję to.

Ojciec Paul kiwnął głową ze zrozumieniem.

- W takim razie to tu spoczywa jego ciało.

- Dobrze więc - podsumowała Elizabeth - wszystko jasne. - Ujęła duchownego za rękę. - Dziękuję, ojcze. Zamówię pomnik. Ze szlifowanego marmuru - dodała i odwróciła się do księdza.

- Proszę iść do pana Dorminey. Ma zakład kamieniarski przy końcu ulicy Larkin - doradził jej ksiądz. - To jeden z moich parafian. Proszę mu powiedzieć, że ja panią przysyłam. Idź z Bogiem, moje dziecko.

Dwie godziny później, po złożeniu zamówienia i zapłaceniu pierwszej raty za pomnik z białego szlifowanego marmuru, Elizabeth opuściła zakład pana Dormineya. Ulga, jaka ogarnęła ją na myśl, że tak sprawnie udało jej się wszystko załatwić, szybko minęła, gdy Elizabeth zdała sobie sprawę, że wydała już prawie wszystkie pieniądze. A musiała jeszcze zapłacić drugą ratę za pomnik po dostarczeniu go na cmentarz.

Początkowo planowała zatrzymać się w hotelu klasy Russ House, zanim nie zdecyduje, co dalej: zostać w San Francisco i szukać pracy, czy ruszać gdzie in-

dziej. Teraz jednak okazało się, że nie stać jej ani na tak drogi hotel, ani nawet na dalszą podróż. Przez głowę przemknęła jej niemądra myśl, aby zatelegrafować do babci z prośbą o pożyczkę. Nie był to dobry pomysł. Babcia nie przysłałaby jej ani grosza. Po skandalu, jaki wywołała Elizabeth, stara pani Sadler przestała uważać ją za członka rodziny. Wydziedziczyła Elizabeth i kazała jej opuścić nie tylko dom Sadlerów przy ulicy Hemlock, ale w ogóle Providence.

Elizabeth westchnęła ciężko i postanowiła o tym nie myśleć. Prawda była taka, że mogła liczyć tylko na siebie. Postanowiła znaleźć tanie mieszkanie i pracę.

Ruszyła więc w drogę powrotną, ulicą Larkin do placu Saint Mary.

Tani pokój znalazła przy ulicy Clay, kilka przecznic od kościoła Saint Mary i cmentarza. Właścicielka Pensjonatu Bender's, Augusta Bender, okazała się stanowczą, dość bezpośrednią wdową po pięćdziesiątce, która do San Francisco przyплыnęła w czterdziestym dziewiątym roku. Wprawdzie wyrażała się dość prostacko i nie była zbyt schludna, ale miała wolne pokoje i nie wymagała referencji od samotnych pań.

- Na noc możesz sprowadzać mężczyzn, jeśli chcesz
- zapewniła Elizabeth.

- Ależ ja nigdy... - zaczęła dziewczyna.

Pani Bender podniosła rękę, ucinając wyjaśnienia.

- Wszystkie tak mówicie. Nie tłumacz się. Dobrze wiem, że dziewczyna musi jakoś zarobić na życie. Ale jeśli jakiś mężczyzna zostanie na noc, zapłacisz więcej. To pokryje koszty dodatkowego prania pościeli. Tylko pamiętaj: jeśli zatrzyma cię policja, pod żadnym pozorem nie podawaj mojego nazwiska ani adresu. Czysz

wynosi półtora dolara tygodniowo, bez posiłków. Za dodatkowe siedemdziesiąt pięć centów gwarantuję jeden posiłek dziennie. To moje warunki.

- Zgadzą się - powiedziała Elizabeth.

Augusta Bender przyglądała się jej dobrą minutę, wreszcie spytała:

- Na pewno chcesz tu mieszkać?

Elizabeth kiwnęła głową.

- Na pewno.

Podawała rękę pani Bender, by przypieczętować umowę, i wyciągnęła z portmonetki pieniądze.

- Za pierwszy tydzień płacę z góry. Półtora dolara za pokój i siedemdziesiąt pięć centów za posiłki, razem dwa dolary i dwadzieścia pięć centów - uśmiechnęła się. - Kiedy mogę się wprowadzić?

- Kiedy zechcesz - odpowiedziała pani Bender. - Przyniosę pościel i świeżą wodę. Wanna jest na końcu korytarza. Można z niej korzystać według numerów pokoi. Zajmujesz pokój numer cztery, więc możesz się kąpać o czwartej. Masz łazienkę tylko dla siebie na godzinę. Jak nie zdążysz albo o czwartej nie będziesz mogła, możesz dogadać się z innymi lokatorami. Nie jestem pokojówką i nie przynoszę gorącej wody ani nie opróżniam wanny. W kuchni jest pompa, a na piecu stoi gar z gorącą wodą. Sama będziesz musiała wypuszczać wodę. Trzeba tylko przechylić wannę, a wszystko samo spłynie rurami na ulicę. - Wyciągnęła z kieszeni klucz i podała go dziewczynie. - Kolacja jest o wpół do siódmej. Witaj w Bender's.

Elizabeth trzy razy przebyła drogę z pensjonatu na Clay do portu San Francisco, aby przenieść bagaż. Zajęło jej to całe popołudnie. Gdy wreszcie wniosła ostatnią walizkę do swojego pokoju na drugim piętrze, by-

ła całkiem wyczerpana. Dopiero teraz rozejrzała się wokół: obdrapane ściany, goła podłoga, umywalka, tanie meble. Elizabeth ustawiła torby na podłodze przy wąskim łóżku i podeszła do okna. Trochę potrwało, zanim udało jej się uchylić je na kilka centymetrów, by wywietrzyć pokój, w którym panował zaduch.

Podmuch wiatru przyniósł aromat potraw przyrządzanych w domach na tyłach i restauracjach przy głównej ulicy. Elizabeth właśnie zabrała się za rozpakowywanie swoich rzeczy, kiedy poczuła nagły głód. Zdała sobie sprawę, że odkąd znalazła się w San Francisco, nic jeszcze nie jadła. Zerknęła na złoty zegarek przypięty do stanika sukni. Zbliżała się pora kolacji. Uznała, że zdąży się do końca rozpakować, a potem nieco odświeżyć. Odłożyła na bok suknię i bieliznę, w które zamierzała się przebrać, a resztę ubrań pochowała do szuflad. Ukryła tam również dwa mosiężne klucze zawinięte w chusteczkę Jamesa, na której niebieską nicią wyszyto inicjały: / G C. Złożyła ostrożnie chusteczkę i umieściła na wierzchu w szufladzie z bielizną.

Zdjęła sukienkę i podeszła do umywalki. Pokonując obrzydzenie, wyrzuciła przez okno leżącego na dnie miski martwego karalucha, a potem wstawiła miskę z powrotem do umywalki i napełniła ją wodą z dzbanka.

Odświeżyła się trochę, rozpuściła włosy, zaczesła je do tyłu i upięła szpilkami w zgrabny kok. Włożyła granatową satynową suknię wykończoną aksamitem w podobnym odcieniu.

Punktualnie o szóstej trzydzieści weszła do jadalni i odkryła, że jako jedyna z lokatorek mieszkających w Bender's zadała sobie trud przebrania się do kolacji. A dokładniej mówiąc: ubrania się. Dwie kobiety miały

na sobie tylko cienkie szlafroczyki. Jedna była w staniku z czerwonej koronki i takich samych majtkach, dwie następne w gorsetach, stanikach i halkach. Była jeszcze mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o bezczelnym wyrazie twarzy, która zeszła na kolację w gorsecie i jedwabnych pończochach przytrzymywanych przez plisowany pas. Elizabeth poczuła, że się rumieni.

- A to co? - Młoda kobieta w czerwonym staniku popatrzyła na dziewczynę, która wśliznęła się na wolne krzesło przy końcu długiego stołu. - Czyżbyśmy miały w Bender's księżną?

Gospodyni postawiła na stole wielką misę tłuczonych ziemniaków.

- Mamy tu damę - oświadczyła, groźnie wodząc wzrokiem po siedzących przy stole kobietach. - Damę, którą chwilowo opuściło szczęście. Wprowadziła się do czwórki dziś po południu. - Pani Bender przerwała nagle i pospieszyła do kuchni. Chwilę później wróciła z talerzem puszystych drożdżowych bułeczek i tacą ze smażonym kurczakiem. Ustawiła naczynia na stole i zaczęła przedstawiać Elizabeth mieszkanki pensjonatu.

- To jest Phyllis, ta obok ciebie. To Brytyjka. Obok Phyllis siedzi Dove. Najmłodsza jest Jennie. Przy niej siedzi Trudy. Ta naprzeciwko Jennie to Eleanora, a przy końcu stołu siedzi Ida. Dziewczęta, to jest Elizabeth Sadler. Bądźcie dla niej miłe - zakończyła pani Bender. - Koniec gadania. Bierzcie się za jedzenie, póki ciepłe. Przecież za to płacicie.

Kolacja upłynęła w milczeniu, co Elizabeth przyjęła z ulgą. Nie musiała silić się na grzecznościową konwersację. W jadalni rozlegały się jedynie odgłosy jedze-

nia i szcęk sztućców. Po kolacji dwie z kobiet pobiegły na górę, cztery pozostałe wróciły do salonu.

Elizabeth również wstała od stołu. Odniosła naczynia do kuchni i skierowała się do salonu, gdzie jedna z kobiet - chyba była to Trudy - grała coś na nieco rozstrojonym fortepianie.

Elizabeth przysiadła na sofie przy wyjściu, złożyła ręce i cierpliwie czekała na zaproszenie do wieczornej pogawędki. W Providence zwykle po kolacji śpiewało się piosenki, czytało albo grało w układanie anagramów lub szarad.

- Wychodzisz gdzieś z jakimś facetem? Do opery czy gdzieś? - zapytała młoda kobieta w jaskrawoczerwonej bieliznie, wskazując na suknię Elizabeth.

- Nie - potrząsnęła głową Elizabeth.

- Więc czemuś się tak wystroiła? - spytała inna.

Elizabeth zerknęła na swoją suknię.

- Zawsze przebieram się do kolacji.

- Zawsze przebieram się do kolacji - zaczęła przedrzeźniać Elizabeth jedna z kobiet. - A co myślisz o naszych strojach?

- Sądziłam, że komentowanie ich nie byłoby zbyt grzeczne - odrzekła dziewczyna. - Domyślam się, że to typowy strój na wieczór w San Francisco.

Wybuch śmiechu zagłuszył dźwięki fortepianu.

Eleanora spojrzała na panią Bender.

- To pani zaprosiła tu pannę Sadler?

Pani Bender potrząsnęła głową.

- Więc może lepiej, żeby nie było jej z nami, gdy pojawiają się panowie. - Eleanora nachyliła się tak nisko, że Elizabeth mogła dostrzec różowe sutki wysuwające się z gorsetu.

Augusta Bender wzruszyła ramionami.

- Panna Sadler zapłaciła za mieszkanie - oświadczyła. - Całą sumę z góry. Ma takie samo prawo jak wy przyjmować mężczyzn, jeśli tylko ma ochotę.

- Więc zamierzacie przyjmować mężczyzn? - Elizabeth nie mogła uwierzyć własnym uszom. - W takich strojach?

- Właśnie tak, złotko - wycodziła Eleanora. Na ganku rozległy się ciężkie męskie kroki i niskie głosy, a kilka sekund później dał się słyszeć dzwonek u drzwi. - Chwileczkę! - mrugnęła do Elizabeth. - Więc jak?

Elizabeth wstała i wygładziła suknię.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała chłodno - wrócić do siebie. - Skłoniła lekko głowę w kierunku każdej z kobiet. - Dobranoc.

- Dobranoc waszej wysokości! - zawołała za nią złośliwie Phyllis.

Augusta Bender dogoniła Elizabeth, zanim ta weszła na schody. Złapała ją za łokieć i odwróciła do siebie.

- Idź na górę i nie pokazuj się do rana. Powiem wszystkim, żeby trzymali się z daleka od czwórki. Jeśli nie będziesz wychodziła na korytarz i otwierała drzwi, nic ci się nie stanie. - Puściła łokieć dziewczyny i poklepała ją po ramieniu. - No, zmykaj na górę, zanim ich wpuszczę - rzuciła, a potem z uśmiechem poszła otworzyć.

Elizabeth drżącymi rękami zamknęła drzwi. Dopiero teraz zauważyła, że nie ma w nich klucza ani zamka. Przestraszona przyciągnęła krzesło do drzwi, oparciem podparła klamkę, a na krześle ustawiła walizki. Przynajmniej narobią hałasu, jeśli ktoś będzie chciał się wdrzeć do jej pokoju. Nie mogła zasnąć, siedziała tylko w nogach łóżka.

W końcu podeszła do okna. Spoglądając w dół, ze zdzi-

wieniem obserwowała tętniące życiem ulice oblane żółtym światłem lamp. Z restauracji, barów i kasyn dochodziły ochryple głosy, dźwięki fortepianu i banjo, a nieprzerwany strumień powozów wciąż dostarczał do tych przybytków coraz to nowych gości. Ulice przy Pensjonacie Bender's i w pobliskim Chinatown rozbrzmiewały głosami kobiet i mężczyzn poszukujących rozrywek i w niczym nie przypominały ciemnych, cichych uliczek Providence.

Z dołu dobiegały chóralne śpiewy przy akompaniamencie fortepianu.

Któryś z gości śpiewał barytonem, to przypominało Elizabeth poprzednią noc, kiedy James kołysał ją do snu w swych ramionach i nucił kołysanki. Powoli zamknęła okno, bez powodzenia starając się odgrodzić od otaczających ją dźwięków i wspomnień. Zwłaszcza od wspomnień. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak samotna. Nawet wtedy, gdy babcia ją wydziedziczyła i poleciła wynieść się z domu przy ulicy Hemlock. Mimo że bała się samotności - pozbawiona pracy, miłości babki, szacunku i wsparcia - pierwszy raz w życiu Elizabeth poczuła się naprawdę wolna. Tych kilka dni samotnej podróży pociągami z Providence do Oakland, którą odbyła z piętnym wyrzutka i pierwszej w historii rodu Sadler upadłej kobiety, sprawiło jej wielką przyjemność. Miała jeszcze Owena, który kochał ją bez względu na wszystko. Tyle że zaraz po przyjeździe do tego okropnego miasta dowiedziała się, że również jego straciła.

Nie miała już nikogo. Wytarła oczy wierzchem dłoni. Wiedziała, że nie powinna użalać się nad sobą, ale nie była w stanie się opanować. Tyle się wydarzyło... Tyle zmieniło... Planowała rozpocząć nowe życie w San Francisco, a teraz te zamierzenia legły w gru-

zach. A wszystko przez to, że pewien Chińczyk o nazwisku Lo Peng miał palarnię opium, w której wielu młodych ludzi, takich jak Owen, traciło swoje pieniądze. Wszystko przez to, że Lo Peng pozwolił Oweno-
wi umrzeć z powodu jego słabości do opium.

Elizabeth zacisnęła dłoń i dotknęła szyby. Z trudem się powstrzymywała, by nie dać upustu gwałtownym emocjom, jakie się w niej gromadziły. Chciało jej się krzyczeć i walić pięściami w co popadnie. Zbyt wiele spraw potoczyło się inaczej, niż się tego spodziewała. Nawet teraz, w San Francisco! Tak się cieszyła, że jest dość sprytna, by wymknąć się z Russ House bez konieczności wyjaśniania wszystkiego Jamesowi. I oto dokąd przywiódł ją spryt! Uciekła z dobrego hotelu, od człowieka, który ofiarował jej życzliwość, do ob-
skurnego, taniego pensjonatu zamieszkałego przez ko-
biety nie cieszące się dobrą opinią. Nie oglądając się za siebie, uciekła z Edenu do Sodomy i Gomory.

Teraz nie była już tak z siebie zadowolona. Czuła się bardzo samotna. Co pomyślałby James, widząc ją w takim stanie? Czy i teraz chciałby jej pomóc? Eliza-
beth podeszła do komody, otworzyła górną szufladę i wyciągnęła haftowaną chusteczkę Jamesa. Podniosła ją do twarzy, wdychając lekki zapach, którym prze-
siaknięty był materiał. Wyrzała przez okno. Czy Ja-
mes wciąż był w Russ House? A może wyjechał z mia-
sta? Może wrócił do rodziny?

Tego Elizabeth nie mogła wiedzieć. Wiedziała tylko, że oddałaby wszystko, by znów ujrzeć jego piękną twarz.

6

O pierwszej po południu Elizabeth musiała zweryfikować swoją opinię o Jamesie. Nadal oddałaby wszystko, by znów ujrzeć jego piękną twarz. Tyle że teraz chciałyby ją zobaczyć, żeby wydrapać mu te jego śliczne błękitne oczy.

Po obiedzie w Pensjonacie Bender's zjawіło się dwóch funkcjonariuszy policji, w tym sierżant Terrence Darnell. Przeszukiwali wszystkie hotele, pensjonaty i inne tego typu przybytki w sąsiedztwie kościoła Saint Mary i Chinatown. Augusta Bender miała reputację dobrze prosperującej burdelmamy. Znana była z tego, że nie odmawia schronienia drobnym złodziejaszkom i „dziennym damom” - kobietom, które na stałe mieszkwały w elegancko umeblowanych pokojach albo przy szanujących się rodzinach, ale źródła ich dochodów pozostawały niejasne; damom do towarzystwa dla tych mężczyzn, którzy zwykli zostawiać swoje fotografie i wizytówki w domach publicznych. Prostytuowały się, aby zarobić na życie. Ich rodziny i przyjaciele zwykle nie mieli o tym pojęcia.

Jednak policjanci nie szukali w Bender's takich dam. Szukali złodziejki Elizabeth Sadler, która okradła bardzo ważnego gościa w Russ House.

Elizabeth wracała właśnie do pensjonatu po kolejnym przedpołudniu spędzonym na bezowocnym poszukiwaniu pracy. Kilka przecznic od domu spotkała ją Jennie, najmłodsza z dziewcząt pani Bender.

- W Bender's jest policja - poinformowała Elizabeth. - Chcą cię przymknąć za to, że ukradłaś chusteczkę jakiemuś bogaczowi.

- Co?

- Chcą cię zgarnąć i zamknąć.

- Za kradzież chusteczki?

Jennie kiwnęła głową.

- Musisz uciekać. Ukryć się. Dopóki sobie nie pójdą.

Elizabeth wiedziała, że nie ma gdzie się ukryć. Jeśli policja jej szuka, i tak ją znajdzie. Nie zamierzała jednak dać się aresztować za kradzież chusteczki. Jeśli miała trafić do aresztu, to powinna chociaż pomścić Owena. Popatrzyła na Jennie i spytała:

- Jak najszybciej dotrzeć do Czerwonego Smoka? Przy ulicy Washingtona?

Dokładnie czterdzieści minut później znalazła ją tam policja. Lo Peng i trzech innych Chińczyków próbowało właśnie uspokoić Elizabeth.

- Aresztujcie ją! - krzyczał Lo Peng do policjantów.
- Aresztujcie tę wariatkę! Ona niszczy mój sklep! Ona tłuc wszystko!

Elizabeth uśmiechnęła się z satysfakcją. Wprawdzie starannie upięty kok się rozpadł, a od stanika sukni oderwał się guzik, ale widok zdemolowanego wnętrza palarni opium radował jej serce. Dziewczyna podejrzewała niekiedy, że na dnie jej duszy, starannie ukryta, drzemie inna, dzika część jej natury. Przekroczywszy próg Czerwonego Smoka, przekonała się, że to drugie ja istnieje naprawdę. Trzech mężczyzn nie było w stanie jej powstrzymać, gdy przewracała stoły do gry, mięła papierowe lampiony, niszczyła fajki, miski i lampy.

Jednak policja w końcu zjawiła się przy ulicy Washingtona. Przy wtórze wrzasków kilkunastu Chińczyków zabrali Elizabeth. Oskarżono ją o zakłócanie porządku, napad i drobną kradzież. Do sądu eskortował ją ten sam policjant, który pomógł jej odnaleźć grób Owena.

Aż podskoczyła, kiedy sędzia Clermont uderzeniem młotka ogłosił następną sprawę.

- Panna Elizabeth Sadler.

- Obecna, wysoki sędzie - podniosła rękę Elizabeth.

- Proszę podejść. Elizabeth Sadler - rozpoczął sędzia - jest pani oskarżona o zakłócanie porządku, napaść na właściciela sklepu i drobną kradzież. Co ma pani na swoją obronę?

Elizabeth przygryzła dolną wargę, utkwiała wzrok w rąbku sukni. Chociaż mogła się zgodzić na zarzut zakłócenia porządku i napaści, nie widziała powodu, by odpowiadać za kradzież.

- Co ma pani na swoją obronę?

Elizabeth popatrzyła na sędziego i spłonęła rumieńcem.

- Jestem winna, wysoki sędzie.

Sędzia Clermont spojrział na oskarżoną.

- Sąd uznaje oskarżoną winną zarzucanych jej czynów. Skazuje się Elizabeth Sadler na grzywnę w wysokości pięćdziesięciu dolarów lub trzy dni aresztu plus sześćdziesiąt dni w zawieszeniu. Jeśli jeszcze raz zobaczę cię w sądzie, młoda damo, skażę cię na dwa miesiące więzienia. Proszę zapłacić grzywnę urzędnikowi przy wyjściu.

Elizabeth stała z otwartymi ustami, gdy tymczasem sędzia ponownie uderzył młotkiem w biurko i rozpoczął kolejną sprawę. Zaledwie kilka minut wystarczyło, aby osądzono ją, uznano winną i skazano. Koniec męki! Ale niezupełnie. Po pierwsze, czekało ją spotkanie z człowiekiem,

który ją oskarżył o kradzież chusteczki, a po drugie, nie miała pięćdziesięciu dolarów na zapłacenie grzywny.

- Chodźmy, panno Sadler - ponagliła ją policjantka. - Pani sprawa została zamknięta. Proszę wpłacić kaucję. Potem będzie pani wolna.

- Wolna? - tępo powtórzyła Elizabeth.

- Tak - zapewniła ją policjantka, - jak tylko pani zapłaci.

- A jeśli nie mam pięćdziesięciu dolarów?

Policjantka spojrzała na elegancką, wykończoną taftą suknię Elizabeth i jej drogie skórzane buty w brązowym odcieniu.

- Pani nie ma pięćdziesięciu dolarów?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie mam nawet pięciu.

- Taka dama? Jest pani pewna?

Elizabeth kiwnęła głową.

- Mam tylko dolara i kilka centów. Przeliczyłam pieniądze, zanim sierżant Darnell i oficer Burrows mnie zatrzymali.

- Ależ pani suknia kosztowała więcej, niż ja jestem w stanie zarobić przez pół roku! - wykrzyknęła zdumiona policjantka.

Elizabeth znów kiwnęła głową.

- Szkoda, że nie mogę jej sprzedać. Co będzie, jeśli nie zapłacę grzywny?

- Sama pani słyszała: trzy dni aresztu.

Elizabeth przygryzła wargę, by powstrzymać drżenie.

- Więc chyba będę musiała zgodzić się na areszt.

Policjantka puściła ramię swej podopiecznej, by ta mogła sięgnąć do portmonetki przy pasku.

- Ile dokładnie ma pani pieniędzy?

- Dolara i siedemdziesiąt osiem centów. Ale przy sobie mam tylko siedemdziesiąt osiem centów.

- Mnie został dolar z pensji - powiedziała policjantka. - Mogę pani trochę pożyczyć.

- Ależ nie - odmówiła Elizabeth. - Nie mogłabym wziąć od pani pieniędzy. - Wyprostowała się, uniosła brodę i dumnie dodała: - To tylko trzy dni. Wytrzymam trzy dni w więzieniu.

Trzy dni to siedemdziesiąt dwie godziny. Prawie wieczność. Elizabeth usiadła na brzegu jedyne go w celi posiania, oparła się o kraty i podciągnęła spódnice, aby nie dotykać ubrań kobiet spacerujących po zamkniętym pomieszczeniu. Zadrżała na myśl, że będzie musiała wytrzymać siedemdziesiąt dwie godziny w ich towarzystwie. Zamknięto ją w celi miejskiego więzienia w San Francisco razem z piętnastoma kryminalistkami. Wiedziała, bo je policzyła - blondynki, rude, brunetki, grube, chude, z wszami, bez wszy, czyste, brudne... Z trudem powstrzymywała się przed płaczem. Fetor panujący w celi był nie do zniesienia: smród nie mytych ciał, taniego ginu i przetrawionego piwa, wymiocin i moczu oraz kilkanaście innych zapachów, których nie potrafiła zidentyfikować. Nie mogła oddychać. Jeszcze przed godziną nie miała pojęcia o istnieniu kobiet, które regularnie trafiały do więzienia, a nawet całe życie spędzały w takich miejscach. Teraz i ona się do nich zaliczała. Zaciśnęła zęby, żeby nie krzyczeć. Kryminalistka. Kryminalistka. Z godziny na godzinę rosło jej wzburzenie. Ja, Elizabeth Sadler, skazano za zakłócanie porządku, napaść i drobną kradzież! Nie stać jej było na wpłacenie kaucji, więc sie-

działa w więzieniu za kradzież jedwabnej chusteczki.

Jedwabnej chusteczki Jamesa. Doprowadził do jej aresztowania. Nigdy nie słyszała o bardziej bezpodstawnym oskarżeniu.

Postanowiła, że zmusi go do przeprosin. Jak tylko wyjdzie z więzienia.

- Jest pani wolna.

Elizabeth rozpoznała sierżanta Darnella po jego irlandzkim akcencie, ale umyślnie go zignorowała. Wstała ze swojego posłania z wysoko uniesioną brodą. Odwróciła się plecami do policjanta.

- Czy pani słyszała, co mówiłem, panno Sadler? - powtórzył z troską w głosie. - Jest pani wolna.

- Słyszała!

Elizabeth rozpoznała i ten głos. Odwróciła się i ujrzała Jamesa. Stała jak sparaliżowana, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Wściekłość na niego mieszała się z radością, że przyszedł jej z pomocą. Kolana się pod nią ugięły. Nie wiedząc, czy będzie w stanie zrobić tych kilka kroków dzielących ją od drzwi, po prostu stała w miejscu.

- Przyjechałem najszybciej, jak mogłem - rzekł James. Nie odpowiedziała.

- Chciałem wyjechać z domu dziś rano, żeby być w mieście, jak tylko policja panią odnajdzie - kontynuował. - Powinienem być zdążyć wycofać skargę, ale sprawy rodzinne zatrzymały mnie w domu. - James wzruszył ramionami. - Gospodyni nie mogła sama dać sobie rady, musiałem jej pomóc.

Wiedział, że tłumaczy się dość nieskładnie, ale nie mógł powstrzymać potoku słów, nie mógł też oderwać od Elizabeth wzroku. Widział ją drugi raz w życiu

i drugi raz była w opłakanym stanie. Ale widział też, że nawet w takiej sytuacji Elizabeth prezentuje się znacznie lepiej niż większość kobiet w bardziej sprzyjających okolicznościach. Była zadziwiająco piękna. Piękniejsza niż zapamiętał. I te niezwykle błękitnozielone oczy... James czuł się oszołomiony. Wiedział, że ani czas po temu, ani miejsce nie najwłaściwsze, ale zapragnął mocno ją przytulić do siebie.

Elizabeth zauważyła ciemny zarost na twarzy Jamesa, pomiętą koszulę, niedbale zawiązany krawat i czerwoną plamkę na kamizelce, jakby po dżemie truskawkowym. Ta plamka na perfekcyjnie skrojonym garniturze rozbawiła ją. Elizabeth nie rozumiała, dlaczego tak właśnie to odbiera. Nie wiedziała, na czym to polega, ale nieporządny strój Jamesa dodawał mu uroku i czynił jeszcze bardziej atrakcyjnym. Z trudem przypomniała sobie, dlaczego była na niego zła.

- Elizabeth, niech mi pani uwierzy - poprosił. - Naprawdę nie chciałem, aby sprawy zaszły tak daleko.

- To przez pana trafiłam do więzienia! - To oskarżenie, pełne bólu i hamowanej wściekłości, wyrwało jej się mimochodem.

- Z tego co wiem, niezupełnie. Zamknęli panią za zdemolowanie Czerwonego Smoka.

- Ale to i tak pana wina. To pan chciał, żeby mnie aresztowano za kradzież chusteczki, którą sam mi pan dał! - Odzyskując nagle zdolność poruszania się, Elizabeth wskazała zamasztywym ruchem ręki wewnątrz celi. - Pan doprowadziłby do tego, że zamknięto by mnie bez powodu, tak przynajmniej dałam im powód!

James słyszał gniew w jej głosie, widział zbierające się w jej pięknych oczach łzy i choć niechętnie, mu-

siał przyznać, że w rozmowaniu Elizabeth kryje się jakiś sens.

- Byłem zdesperowany - postanowił spróbować wyjaśnić jej swoje zachowanie.

- Pan był zdesperowany...? - wykrztusiła z niedowierzaniem.

- Tak - odparł łagodnie. - Chciałem... - poprawił się - musiałem odnaleźć panią jak najszybciej. Wiedziałem, że tylko policja może zrobić to szybko. Postanowiłem więc coś wymyślić. Kradzież rzeczy osobistych wydawała mi się całkiem niewinnym powodem.

- Do diabła z pańskimi rzeczami - zdenerwowała się Elizabeth. - Nie powiedział pan, że ukradłam rzeczy osobiste. Pan im powiedział, że ukradłam panu chusteczkę!

James uśmiechnął się nieśmiało.

- Nie mogłem ryzykować, że policja oskarży panią o coś poważniejszego.

- Ale oskarżenie o taki drobiazg mógł pan zaryzykować! - gniewnie odcięła się Elizabeth.

- Fakt - przyznał James. - Ale nie mogłem znieść myśli, że stracę tę chusteczkę. Ma dla mnie szczególne znaczenie.

Elizabeth pomyślała o kunsztownie wyszytych w rogu chusteczki inicjałach, J. C. C. Ktoś musiał mu ją podarować. Na pewno kobieta.

- Jedwabne chusteczki są bardzo drogie. Poza tym pewnego razu użyłem jej, aby otrzeć łzy pięknej kobiecie. Chciałem zachować ją na pamiątkę.

Elizabeth udała, że tego nie słyszy. Domagała się dalszych wyjaśnień.

- Kim pan, u diabła, jest? Burmistrzem? Szefem policji? Jakim cudem zmusił pan policję, by mnie areszto-

wała za kradzież jednej z pańskich cennych chusteczek?

- Nazywam się James Cameron Craig. Jestem właścicielem i prezesem Craig Capital Ltd, korporacji kolejowej i górniczej...

Elizabeth zapało dech w piersiach. Craig Capital Ltd było jedną z nielicznych amerykańskich korporacji, zarządzanych przez członków Klubu Milionerów. James Craig był jednym z nich. Biznesmen wart miliony dolarów. Biznesmen, który spotykał się i zawierał umowy z takimi osobistościami, jak John Pierpont Morgan, Jay Gould, Cornelius Vanderbilt, Andrew Carnegie i John Davidson Rockefeller.

- W takim razie może powinnam czuć się zaszczycona, że jeden z najbogatszych ludzi na świecie postanowił wtrącić mnie do więzienia.

- Nie - potrząsnął głową James. - Ale mogłaby pani okazać choć trochę wdzięczności za to, że jeden z najbogatszych ludzi na świecie zadał sobie wiele trudu, żeby na czas wpłacić za panią kaucję.

Błękitnozielone spojrzenie Elizabeth paliło jak ogień.

- Kaucję, która wyniosła raptem pięćdziesiąt dolarów. To dużo jak na milionera! Gdyby nie on, nie byłoby mnie tu - dodała ze słodkim uśmiechem - więc tyle przynajmniej powinien był dla mnie zrobić.

- I tak by tu pani wylądowała - uświadomił jej James.
- Lo Peng z pewnością wniesie skargę.

- Wcale nie poszłabym do Lo Penga, gdyby pan... - urwała.

- Gdybym co? - nalegał James, czekając na ciąg dalszy. Elizabeth patrzyła na niego z wściekłością w oczach.

- Proszę mówić - zachęcał, powstrzymując uśmiech.

- Proszę to z siebie wyrzucić, zanim się pani udławi.

- Gdyby pan nie kazał aresztować mnie za coś tak... tak... drobnego. Uznałam, że muszę dać policji porządny powód do aresztowania mnie.

James uśmiechnął się szeroko. Skinął na sierżanta Darnella, by otworzył kratę.

- Przyznałem się do winy i przeprosiłem. Pani wyznała swoje grzechy i odpokutowała za nie. Możemy stąd iść.

Darnell otworzył drzwi i stanął w przejściu, aby umożliwić więźniarkom przedostanie się na zewnątrz.

- Jest pani wolna, panno Sadler - powiedział. - Ja również chciałbym wyrazić swoje ubolewanie z powodu tego, co się stało. Wcale tego nie chcieliśmy. Ale pan Craig, będąc tym, kim jest... - Sierżant umilkł, odchrząknął i ciągnął dalej: - Po prostu chciałem powiedzieć, że nawet gdyby on - ruchem głowy wskazał na Jamesa - nie wpłacił kaucji i nie porozmawiał z sędzią w pani imieniu, sami byśmy to zrobili. Lo Peng zarzeka się, że wniesie skargę, ale my rozumiemy, dlaczego pani tam poszła. Chłopaki już zbierają pieniądze dla pani. Nie pozwolilibyśmy pani spędzić nocy w tym chlewie.

James odchrząknął i niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, czekał, aż Elizabeth wyjdzie z celi.

- Panna Sadler z pewnością docenia pańską uprzejmość i uprzejmość pańskich kolegów, ale jest już późno i musimy iść. Proszę za mną.

James wyciągnął rękę, ale Elizabeth cofnęła się.

- Nigdzie z panem nie pójde.

- Obawiam się, że nie ma pani wyjścia. To jeden z warunków opuszczenia więzienia.

- Co takiego? - Elizabeth wpatrywała się w Jamesa przez kraty celi.

- Wpłaciłem za panią kaucję.
- Co z tego?
- Sędzia Clermont zgodził się oddać panią pod moją kuratelę na okres zawieszenia kary albo do czasu, gdy będzie pani w stanie spłacić grzywnę.
- Nie zamierzam zostawać pod pańską kuratelą przez sześćdziesiąt dni - zaprotestowała Elizabeth.
- Świetnie - zgodził się James. - Jak tylko odda mi pani te pięćdziesiąt dolarów plus dwa procent odsetek, może pani odejść.
- Nie mam pięćdziesięciu dolarów - oznajmiła Elizabeth. - I dobrze pan o tym wie. Ale oddam wszystko, jak tylko będę mogła.
- A jeśli nie zechcę czekać?
- Przecież ma pan miliony. Pięćdziesiąt dolarów nie zrobi panu różnicy. Nic się nie stanie, jeśli trochę pan poczeka.
- To zależy, jak długo każe mi pani czekać.
- Zapłacę, z odsetkami, najszybciej jak to możliwe
- odpowiedziała Elizabeth. - Ale najpierw muszę znaleźć pracę.
- James uśmiechnął się.
- Wobec tego gotów jestem okazać wielkoduszność i anulować pani dług wraz z odsetkami.
- W zamian za co? - Elizabeth nie na darmo wychowała się w rodzinie bankierów. Każdy bankier gotowy anulować pożyczkę wraz z odsetkami zawsze chce w zamian czegoś o wartości znacznie przewyższającej pierwotną sumę.
- W zamian za pani umiejętności.
- Elizabeth spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- Proponuję pani posadę w moim domu.

- Jaką posadę? - Poczula, jak bardzo się czerwieni, zadając to pytanie.

- Guwernantki moich czterech córek.

Elizabeth znieruchomiała. Jej fantazje na temat Jamesa Camerona Craiga w jednej chwili rozpadły się na miliony kawałeczków. A więc był żonaty. Miał dzieci. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że James może mieć rodzinę. Wyobrażała sobie, że jest pewnym sobie samotnikiem. Jej księżę z bajki. Teraz zdała sobie sprawę, że jeśli znajdzie się pod jego kuratelą, będzie musiała o nim myśleć jako o swoim pracodawcy, ojcu dzieci oddanych pod jej opiekę.

- Ma pan cztery córki?

James rzucił ponure spojrzenie na pomiętą koszulę, małą plamkę po maśle na krawacie i dżem truskawkowy na kamizelce. Dziewczynki nieźle się natrudziły, byle tylko zatrzymać go w domu.

- Przecież ma pani doświadczenie. Nie domyśliła się pani?

Elizabeth uśmiechnęła się słabo.

- Moje dziewczynki mają trzy i pół roku, dwa lata, trzynaście miesięcy i dwa dni. Kiedy dwa dni temu wróciłem do domu z podróży do San Francisco, okazało się, że przybył mi jeszcze noworodek, a tymczasem niania odeszła. - Spojrzał na Elizabeth z ujmującym uśmiechem. - Wspomniała pani, że jest nauczycielką. - Wzruszył ramionami. - Bardzo potrzebujemy guwernantki, więc natychmiast pomyślałem o pani. Ale w takim pośpiechu opuściła pani Russ House, nie miałem pojęcia, jak się z panią skontaktować, więc... - urwał.

- Kazał mnie pan aresztować, bo potrzebuje pan guwernantki? - Elizabeth nie wierzyła własnym uszom.

- Zrobiłem wszystko, żeby panią odnaleźć - poprawił ją. - Nie sądziłem, że tak to się skończy. Nie sądziłem...

- Żeby dystygowana guwernantka w ataku szału tak wywijała parasolem, że zniszczyła okryty złą sławą przybytek Lo Penga? - Elizabeth nagle uświadomiła sobie komizm sytuacji i parsknęła śmiechem. - To nie był dobry interes, panie Craig. Szukał pan przykładnej nauczycielki dla dzieci, a znalazł pan jędzę. - Spojrzała na niego rozbawiona. - Jest pan pewien, że ubił dobry interes z sędzią? Czy na pewno to mnie chce pan zatrudnić?

To pytanie istotnie skłoniło Jamesa do zastanowienia. Elizabeth włożyła kij w mrowisko, demolując palarnię opium. Niechęć Lo Penga do Elizabeth może uniemożliwić dobroczynną działalność Jamesa. Teraz jednak były to sprawy bez znaczenia. Patrząc na Elizabeth, na jej piękną twarz rozjaśnioną uśmiechem, na pełne, różowe wargi i wesołe błękitnozielone oczy i czując, jak gwałtownie jego ciało reaguje na jej bliskość, James poważnie zaczął się obawiać, że już nigdy nie będzie chciał nikogo innego.

- Na pewno - powiedziała. - Przysięgam.

7

- Idzie pani czy zostaje, panno Sadler? - Sierżant Darnell kilkakrotnie przymknął i otworzył drzwi, by dać Elizabeth do zrozumienia, że pora się zdecydować.

Zarówno Elizabeth, jak i James zapomnieli o obecności sierżanta i teraz jak na komendę odwrócili się do niego.

dziewczyna wzięła głęboki wdech, by się uspokoić, i przekroczyła próg celi.

- Idę, sierżancie. - I dodała, zerkając na Jamesa: - Pod warunkiem, że pensja i warunki pracy będą mi odpowiadały.

James odetchnął z ulgą.

- Proszę tylko podać sumę.

Przyszła guwernantka posłała mu figlarny uśmiech.

- Może zaczniemy od pięćdziesięciu dolarów za dzień?

James przygryzł policzek, by nie parsknąć śmiechem na te bezczelne słowa. Gdyby zgodził się płacić jej pięćdziesiąt dolarów dziennie, Elizabeth mogłaby zwrócić dług w ciągu jednego dnia - jego pieniędzmi - i opuścić go.

- Może zaczniemy od dwudziestu pięciu dolarów miesięcznie plus mieszkanie i wyżywienie? - zaproponował pośpiesznie.

- Powiedział pan, że to ja mogę podać sumę - przypomniała mu.

- Sądziłem, że jest pani rozsądniejsza.

- Cóż za krótkowzroczność - Elizabeth dalej się z nim droczyła. - Oczekuje pan rozsądku od kobiety, która rzuciła się na Lo Penga i jego bandę i własnoręcznie zdemolowała jego spelunkę.

James z trudem opanował ogarniające go rozbawienie i postarał się odpowiedzieć rzeczowo.

- Czy zgadza się pani na rozsądną pensję w wysokości dwudziestu pięciu dolarów miesięcznie na czas sześćdziesięciu dni kary, jaką nałożył na panią sąd?

- Nie wiem - zawahała się. - Pięćdziesiąt dolarów dziennie bardziej by mi odpowiadało, zwłaszcza że dzięki nim mogłabym bardzo szybko stać się niezależna. - Elizabeth

me chciała, by James pomyślał, że jest wyrachowana i chciała. Ale dostała nauczkę, jeśli chodzi o pieniądze. Nauczyła się, że nigdy już nie może zostać bez grosza.

James zrozumiał intencje dziewczyny. Już wiedział, że nie chce się z nim targować. Była trochę naiwna, może zbyt optymistyczna, ale na pewno nie wyrachowana. Nie było nic złego w tym, że znalazłszy się w takich tarapatkach, postanowiła bronić swojej niezależności. Nie przypuszczał tylko, że wystarczy jej śmiałości, żeby zdobyć tę niezależność jego kosztem.

- Ile ma pani gotówki? - spytał nagle.

- Wystarczająco wiele - odpowiedziała, próbując zachować resztki dumy.

- Ile?

Elizabeth spojrzała na niego i spytała słodko:

- Czy mama nie uczyła pana, że nieładnie jest pytać, ile kobieta ma pieniędzy?

James roześmiał się.

- Nazwisko panińskie mojej matki brzmi Cameron. Cameronowie zbili fortunę w bankowości, głównie pożyczając pieniądze kupcom z Edynburga. Moja matka zawsze pyta, ile ktoś ma pieniędzy.

Reakcja Jamesa zaskoczyła Elizabeth. Nie sądziła, że taki milioner jak James Craig może mieć poczucie humoru. Sama musiała się powstrzymać, by nie parsknąć śmiechem. Powinna była pamiętać, że Cameronowie zbili fortunę na bankowości i transporcie morskim, najpierw w Szkocji, a potem w kolonii brytyjskiej, Hongkongu. Ostatecznie i Elizabeth pochodziła z rodziny bankierów. Co prawda nie tak bogatych, ale jednak bankierów.

- Chodźmy już - przerwał im sierżant Darnell, kierując się ku pomieszczeniom administracyjnym. - Mu-

simy jeszcze uporać się z papierkową robotą i zwrócić pannie Sadler jej rzeczy.

Jedna z policjantek wydała Elizabeth należące do niej przedmioty: pomięty beret, zniszczony parasol i torebkę, dokładnie prezentując jej zawartość i głośno odliczając pieniądze. James starał się nie podsłuchiwać, ale donośny głos policjantki słychać było w całym korytarzu.

- Siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć, siedemdziesiąt siedem, siedemdziesiąt osiem centów. Zgadza się, panno Sadler?

- Tak - potwierdziła Elizabeth.

- Czy czegoś brakuje?

Elizabeth poprawiła włosy.

- Tylko szpilek do włosów - zaczerwieniła się, spojrzawszy na stanik sukni - i guzika. Sądzę jednak, że zostały w lokalu Lo Penga.

- Prawdopodobnie tak - zgodziła się policjantka, wrzucając pieniądze do portmonetki. - Proszę tu podpisać i jest pani wolna.

James podszedł do Elizabeth i ujął ją za łokieć, zanim zdążyła zaprotestować, i wyszeptał jej do ucha:

- Wygrała pani. Zgadzam się na pensję w wysokości pięćdziesięciu dolarów dziennie, ale pod warunkiem, że pieniądze pozostaną na koncie przez sześćdziesiąt dni. Po upływie tego czasu zwróci mi pani sumę, którą wpłaciłem jako kaucję.

- Dlaczego? - Pięćdziesiąt dolarów dziennie, tysiąc pięćset dolarów miesięcznie, to była ogromna kwota, zwłaszcza jak na pensję guwernantki. Elizabeth popatrzyła na Jamesa podejrzliwie.

- Nie chcę stać pani na drodze do niezależności, ale nie zamierzam też tego pani ułatwiać. Potrzebuję gu-

wernantki. A z siedemdziesięcioma ośmioma centami daleko pani nie zajdzie.

Elizabeth zaparło dech w piersiach.

- Mam również inne fundusze - oświadczyła, nie patrząc mu w oczy. - Zostawiłam większość pieniędzy u pani Bender. - Nie kłamała. Pod materacem w pensjonacie zostawiła dolara na czarną godzinę.

- U Augusty Bender? - spytał zaskoczony James.

- Tak - odpowiedziała. - Zna ją pan?

James zgrzytnął zębami. Każdy mężczyzna z San Francisco i okolic znalazł Augustę Bender. A przynajmniej o niej słyszał. Prowadziła dom publiczny na rogu Clay i Kearney. Formalnie był to pensjonat dla młodych kobiet, ale mieszkający w nim najchętniej odwiedzane kokoty w San Francisco. Ów dom był też miejscem schadzek dla wielu „dziennych dam”. I Elizabeth właśnie tam musiała trafić! Na samą myśl o tym James dostał gęsiej skórki. Dobry Boże, przecież ona jest taka niewinna!

- Tak, znam tę madame - zaakcentował ostatnie słowo, ciekaw reakcji Elizabeth. - Jak ją pani poznała?

- Prowadzi pensjonat, a ja szukałam mieszkania.

- Augusta Bender pozwoliła pani zamieszkać u siebie? Elizabeth potrząsnęła głową.

- Nie z dobroci serca. Wynajęłam pokój.

- Mam nadzieję, że zamknęła się pani na noc - wymruczał James.

- Nie mogłam - odpowiedziała. - Mój pokój nie ma zamka.

James jęknął głośno. Czyżby Elizabeth nie zdawała sobie sprawy, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła?

- Miejmy nadzieję, że pieniądze, które pani tam zostawiła, wciąż tam są. Jeśli rzeczywiście je pani ma,

w co szczerze wątpię - stwierdził, widząc, że Elizabeth przygryza dolną wargę równymi białymi zębami i unika jego wzroku. - W tamtej dzielnicy roi się od złodziei i paserów.

Elizabeth zbladła na myśl, że ktoś mógłby grzebać w jej rzeczach.

James rozluźnił uścisk i złagodził ton głosu.

- Chodźmy zobaczyć, jak wygląda sytuacja, a martwić się będziemy później.

Skierował się z Elizabeth ku drzwiom, ale zatrzymała ich policjantka.

- Przy głównym wyjściu awanturuje się Lo Peng. Domaga się, żeby panna Sadler zapłaciła za szkody, jakie wyrządziła. Lepiej, żeby wyprowadził ją pan tylnym wyjściem.

James nie zdążył jeszcze zapytać Elizabeth, czym naraził się jej Lo Peng. Tak czy inaczej, nie miał ochoty na spotkanie z rozwścieczonym Chińczykiem, ale nie zamierzał też wymykać się tylnym wyjściem jak złodziej. Wcześniej czy później spodziewał się kłopotów ze strony właściciela palarni opium. Uznał więc, że lepiej będzie, jeśli Chińczyk od razu dowie się, że Elizabeth pozostaje pod jego opieką. Kierowani przez Lo Penga Tongowie mogli mu przysporzyć wielu problemów, ale decyzję pozostawił Elizabeth.

- To zależy od pani. Wychodzimy tylnym wyjściem?

Elizabeth odgarnęła włosy z twarzy, uniosła brodę i mocniej ścisnęła rączkę parasola.

- Nie boję się Lo Penga.

- A powinna pani - powiedział James, wrywając Elizabeth parasol. - Lo Peng kontroluje ponad połowę San Francisco i trzyma w garści prawie wszystkich

Chińczyków. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się z nim zadzierać.

- Nie będę się wymykać tylnym wyjściem - oznajmiła z uporem. - Weszłam tu głównym wejściem i tak samo wyjdę - z tymi słowami Elizabeth skierowała się do drzwi.

- Jeśli tak, lepiej by było, gdyby się pani przygotowała. Będzie miał przewagę, jeśli pokaże mu się pani w takim stanie.

- Czyżbym aż tak źle wyglądała? - spytała Elizabeth.

Serce Jamesa забиło mocniej, gdy popatrzył na nią z czułością.

- Wygląda pani, jakby przegrała bitwę.

- Nie przegrałam - powiedziała, z zadowoleniem przypominając sobie spustoszenia, jakie poczyniła w Czerwonym Smoku.

- Wiem - rzekł James. - I dlatego nie powinna pani wyglądać, jakby pani przegrała. Poprowadził Elizabeth do drewnianej ławki pod ścianą, nabrał wody do błaszanej filiżanki i zanurzył w niej róg chusteczki.

Elizabeth przyglądała mu się nieufnie.

- Proszę spojrzeć w górę - poinstruował.

- Dlaczego?

James wziął głęboki oddech i powoli wypuszczał powietrze. Wyraz twarzy Elizabeth przypomniawszy mu Ruby. Tak samo jak Ruby kwestionowała każde jego słowo.

- Ubrudziła sobie pani twarz.

- Och - zaczerwieniła się i zaczęła pocierać twarz wierzchem dłoni.

- Ja to zrobię - oznajmił James i palcem uniósł jej brodę, by wilgotną chusteczką wytrzeć brud, który zebrał się wokół paskudnego zadrapania wzdłuż jej prawego policzka.

- Nie mam grzebienia - powiedziała Elizabeth. - I zgubiłam szpilki do włosów.

James z uśmiechem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej grzebień ze skorupy żółwia.

- *Voilà!* - Poklepał ławkę dłonią.

Elizabeth wyciągnęła rękę po grzebień, ale James pokręcił głową.

- Proszę usiąść.

James stanął za dziewczyną i zaczął delikatnie rozczesywać jej potargane długie włosy.

Od tak dawna nikt nie czesał Elizabeth. Przypomniały jej się te szczęśliwe dni, kiedy matka plotła jej warkocz. Elizabeth zamknęła oczy i oparła się wygodnie o Jamesa.

Miała gęste, choć miękkie i jedwabiste włosy. Prześlizgiwały się między zębami grzebienia i okręcały wokół jego palców. Zachwycał się nimi, już od tak dawna nie dotykał włosów kobiety. Wśród niesfornych kosmyków znalazł kilka zagubionych szpilek. Rozdzielił włosy Elizabeth na równe części i splótł w elegancki francuski warkocz.

- Proszę potrzymać. Spróbuję znaleźć jakąś spinkę. Elizabeth spojrzała zdziwiona.

- Gdzie się pan nauczył zaplatać warkocze?

James mrugnął do niej.

- Mam cztery córki. Trzy z nich mają włosy. - Z pogniecionego beretu oderwał gumkę, szeroką wstążkę i różyczkę. Gumką związał koniec warkocza, zawinał go w kok i umocował na karku wstążką, a potem umieścił różyczkę tak, by była dobrze widoczna na koku.

Kiedy uporał się z fryzurą Elizabeth, zajął się dziurą po guziku sukni. Ponieważ nie miał go czym zastą-

pić, postanowił ukryć jego brak. Jeszcze raz przyjrzał się zniszczonemu beretowi. Odpiął od niego złotą szpilkę i pociągnął Elizabeth, żeby wstała.

- Przepraszam - powiedział i przypiął szpilkę do stannika sukni tuż pod miejscem, gdzie wcześniej był guzik.

Elizabeth wstrzymała oddech, gdy James manipulował przy jej szyi. Czuła delikatne muśnięcia jego dłoni oraz ciepło jego skóry. Z trudem oddychała i nie wiedziała, czy to dlatego, że jej suknia była ciasno zapięta pod samą szyję, czy dlatego, że twarz Jamesa znalazła się tak blisko jej twarzy. James. Nie może go tak nazywać. To nie James, to pan Craig, jej nowy pracodawca. Obiecał jej pięćdziesiąt dolarów dziennie za opiekę nad jego dziećmi. Nie może o nim myśleć jako o nieznanym, który tulił ją do snu.

Elizabeth czuła, jak fala gorąca napływa jej do twarzy, gdy cofnął rękę i ostrożnie poprawił główkę szpilki, aby zakrywała dziurę po guziku.

- Proszę - oznajmił, zadowolony z siebie. - Teraz może pani stawić czoło Lo Pengowi, Auguście Bender i każdemu, kogo pani spotka na swojej drodze - rzekł z uśmiechem. Poprawił kamizelkę i krawat, schował grzebień, zaplął marynarkę i podał Elizabeth ramię. - Idziemy?

Skinęła głową.

- Proszę się grzecznie zachowywać - powiedział, przeciągając palcem wzdłuż zadrapania na jej policzku. - Ja się nim zajmę. Proszę pamiętać, że zatrudniłem panią jako przykładną guwernantkę. A przykładne guwernantki się widzi, a nie słyszy.

Elizabeth poczuła silną potrzebę wyrażenia sprzeciwu i już otworzyła usta, ale opanowała się w ostatniej chwili.

James to zauważył i kiwnął głową z aprobatą.

Ciepło w spojrzeniu Jamesa tak zaskoczyło Elizabeth, że zapomniała, czemu chciała się sprzeciwić.

8

Gdy tylko Elizabeth ujrzała Lo Penga i jego trzech go-ryli w tłumie policjantów, świadków i ciekawskich przechodniów, ugięły się pod nią kolana. Na widok gestykulującego gwałtownie i krzyczącego piskliwym głosem niskiego Chińczyka Elizabeth poczuła, że cała odwaga ją opuszcza. Gdyby James nie trzymał mocno jej ramienia, uciekłyby do tylnego wyjścia. Miała tylko nadzieję, że wygląda na bardziej pewną siebie, niż była w rzeczywistości.

- Wygląda pani prześlicznie - szepnął James, jakby czytał w jej myślach. Ścisnął jej rękę dla dodania otuchy i ciągnął: - Wygląda pani na spokojną i odważną. Tylko tak dalej. Bez względu na to, co się będzie działo, proszę nie pokazywać Lo Pengowi innej twarzy. Żadnego strachu albo przerażenia.

Elizabeth chciała odpowiedzieć, ale James ją uprzedził.

- Proszę nic nie mówić - przypomniał jej. - Ani słowa. Proszę nie patrzeć na Lo Penga, tylko na podłogę. - Uśmiechnął się do niej. - Wiem, że to trudne, ale proszę udąć uległość. W świecie Lo Penga kobiety odzywają się tylko wtedy, gdy się je zapyta, ale nigdy, jeśli może za nie mówić mężczyzna.

James skinął głową Lo Pengowi, potem nachylił się do Elizabeth.

- Niech się pani trzyma. Już panią zobaczył i idzie w naszą stronę. Proszę mi zaufać.

Elizabeth patrzyła, jak czerwony smok wyhaftowany na nogawkach spodni Lo Penga, jego czarne buty i białe bawełniane skarpetki zatrzymują się ledwie kilka cali przed nią. Chińczyk zaczął wymachiwać rękami i wrzeszczeć. Stał tak blisko, że Elizabeth czuła woń drzewa sandałowego i czosnku i słodki, duszący odór palarni opium, którym było przesiąknięte jego ubranie.

Od tej mieszanki zapachów zaczęło jej się robić słabo. Nerwowo przełknęła ślinę i siłą woli zmusiła się do skupienia całej uwagi na stopach Lo Penga. Nie zauważyła, kiedy Lo Peng przerwał swoje wrzaskliwe tyrady i uważnie słuchał, co ma mu do powiedzenia James Cameron Craig. Elizabeth również chętnie by tego posłuchała, ale nie rozumiała ani słowa.

Kiedy Chińczyk się roześmiał, Elizabeth poczuła się zdradzona i spojrzała na Jamesa. Rozmawiał z Lo Pengiem w jego ojczystym języku. Sprawiali wrażenie zaprzyjaźnionych, tak serdecznie się z niej śmiali. Ten śmiech kojarzył jej się z zażyłością, jaka musiała łączyć członków Klubu Milionerów, tyle że w chińskiej wersji. Elizabeth nie musiała znać chińskiego, żeby wiedzieć, że zasady członkostwa są wszędzie takie same. W Providence czy San Francisco, czy chodziło o Amerykanów, Brytyjczyków czy Chińczyków - światem rządzą mężczyźni. To męski klub, z racji picia nie mogła do niego należeć. Podniosła wzrok na obu mężczyzn. Lo Peng zerknął na nią i groźnie zmarszczył brwi. Ostro odezwał się do Jamesa.

James uśmiechnął się do niego, a do Elizabeth syknął:
- Zachowuj się, jak poleciłem, Elizabeth, patrz

w ziemię. Jesteś złą kobietą, niegodną patrzeć na takiego pana jak Lo Peng.

- Złą! - zdenerwowała się. - Jak pan może...

- Opuść wzrok! - te słowa zabrzmiały jak strzał z bicia.

Elizabeth natychmiast usłuchała.

Zachwycony Lo Peng zachichotał.

James przeprosił za jej złe maniery i poczekał, aż Lo Peng przyjmie przeprosiny. Był szczęśliwy, że Elizabeth nie rozumie ani słowa z jego historyjki, zmyślonej na poczekaniu dla udobruchania Lo Penga.

- Szalona kobieta Craiga zniszczyć mój sklep - odezwał się Chińczyk, kiedy James zamilkł. - Craig musi zapłacić.

- Ile? - zapytał James.

- Czteryście dolarów w złocie.

James ze zdziwieniem uniósł brwi. Szczerze wątpił, aby cały przybytek Lo Penga wart był tyle pieniędzy.

Lo Peng obserwował go uważnie, potem przysunął się do Elizabeth i nawinał sobie na palec kosmyk jej brązowych włosów, który wysunął się jej z warkocza.

- Pięćset dolarów w złocie.

Na szczęście Elizabeth ani drgnęła. James kiwnął głową, że rozumie. Cena skoczyła w górę i będzie rosła z każdą chwilą. Wprawdzie nic w sklepie Lo Penga nie było warte pięćset dolarów w złocie, ale Elizabeth warta była znacznie więcej.

- Zgoda.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej portfel, a z niego kilka czeków. Rozejrzał się w poszukiwaniu pióra. Gdyby sytuacja nie była tak poważna i gdyby James nie bał się obrazić Lo Penga, z pewnością roześmiałby się, gdy jeden z goryli właściciela palarni wyciągnął z rękawa pióro i malutką bute-

leczkę atramentu. James wypisał czek na sumę, której zażądał Chińczyk.

- W British American Bank na ulicy Montgomery zrealizują ten czek w złocie.

Lo Peng puścił włosy Elizabeth i wziął do ręki czek. Cofnął się i napotkał niewzruszone spojrzenie Jamesa.

- Craig musi być ostrożniejszy. Jeśli Craig nie umie kontrolować jednej niegrzecznej dorosłej kobiety, będę musiał się zastanowić, czy Craig powinien nadal dostawać od nas w prezencie dziewczynki, które też nauczą się u niego nieposłuszeństwa.

James mocno zacisnął szczęki. Groźba ukryta w grzecznych zdaniach Lo Penga była bardzo realna. Jeśli nie będzie trzymał Elizabeth z dala od Lo Penga i jego przybytku, zginie więcej niewinnych noworodków. Lo Peng może zakazać rodzinom pozostawiania niemowląt na progu jego domu.

- Mam szacunek dla Craiga i jego wpływowej rodziny. Dlatego muszę dbać o własne interesy. Dlatego muszę Craigowi dać radę, jak ojciec synowi - łagodnym głosem kontynuował Lo Peng. - Mężczyzna musi umieć kontrolować kobiety w swoim domu. Szczególnie te z charakterem - swoimi czarnymi oczami starzec odszukał spojrzenie Jamesa. - Szczególnie te z dużymi stopami i włosami koloru cennych monet. Bo jak nie... - znacząco zawiesił głos.

James nie mógł się powstrzymać.

- Bo jak nie, to co?

- To ona umrze.

Powiedziawszy to, Lo Peng klasnął w dłonie. Jego goryle stanęli przy nim i odprowadzili przywódcę Tongów do powozu stojącego przy chodniku.

James patrzył za nim z niemą wściekłością. Tym razem mieli szczęście. Lo Peng zgodził się na łapówkę, ale wyczyn Elizabeth drogo ich kosztował. Lo Peng będzie ich teraz obserwował. Będzie szukał słabych punktów Jamesa. Będzie czekał na jego błąd.

9

- Co mu pan powiedział? - rzuciła zdenerwowana Elizabeth, jak tylko wsiadli do powozu Jamesa, aby ulicą Kearney dostać się do Pensjonatu Bender's.

- Komu? - spytał James, starając się odwlec moment nieuchronnej konfrontacji.

Elizabeth uniosła brwi, naśladując jego minę, wyrażającą zdziwienie.

James odetchnął głęboko.

- Powiedziałem sędziemu, że poręczę za panią, zapłacę grzywnę i dopilnuję, żeby znów nie narobiła pani szkód.

- Kąciki ust Jamesa uniosły się, gdy w oczach Elizabeth dojrzał błysk wściekłości. - Szkód - pokiwał głową. - Wydaje mi się, że właśnie tego słowa użył sędzia Clermont.

- Nie pytałam o sędziego Clermonta - oznajmiła Elizabeth, starając się zachować spokój. - Dobrze pan o tym wie. Mówiłam o tym koszmarnym Lo Pengu.

James wzruszył ramionami.

- Przecież wszystko pani słyszała.

- Niestety - nie wytrzymała Elizabeth - nie jestem tak utalentowana jak pan. Nie potrafię tak przyjaźnie konwersować z chińskimi handlarzami.

James uśmiechnął się prawie niezauważalnie. Elizabeth Sadler była wściekła nie tylko dlatego, że podniósł na nią głos przy Lo Pengu, ale również dlatego, że schlebiał staremu Chińczykowi, mówiąc do niego w jego języku.

- Bardzo panią przepraszam, ale urodziłem się i wychowałem w Hongkongu w domu pełnym chińskich służących - wyjaśnił James. - Mówiłem po chińsku, zanim nauczyłem się angielskiego. Czy będzie pani tak nierozsądna, aby mieć mi to za złe?

- Mam panu za złe brak manier - gwałtownie odparła Elizabeth. - Niegrzecznie jest rozmawiać w obcym języku w obecności osoby, która go nie rozumie.

- Skąd miałem wiedzieć, że nie zna pani chińskiego? - niewinnie zapytał James.

Pod palącym spojrzeniem Elizabeth powinien był zmienić się w kupkę popiołu.

- W przeciwieństwie do pana nie wychowałam się w Hongkongu, lecz w Providence, na Rhode Island. Tam nie mówi się po chińsku.

James skłonił głowę.

- Wobec tego pokornie przepraszam za brak manier.

- Drobiazg. - Elizabeth z iście królewską wielkodusznością skinęła głową.

- Oczywiście - ciągnął James - gdyby nie udało mi się go rozweselić, ten stary tyran nie byłby taki ugodowy.

- Nie był ani trochę ugodowy - powiedziała Elizabeth. - Dopóki go pan nie przekupił.

- Nie przekupiłem go - sprostował James. - Zapłaciłem tylko za szkody, jakie pani wyrządziła w jego lokalu. - Nie wspomniał jednak, że suma, którą zapłacił Chińczykowi, znacznie wydłużyła długość jej życia. - Czym się tak pani naraził?

- Gardzę Lo Pengiem - odpada Elizabeth. - Nie mogę jednak pogodzić się z faktem, że taka kreatura w ogóle istnieje.

James całym sercem gotów był się z nią zgodzić, nadal jednak nie rozumiał powodu jej niechęci.

- Czy Lo Peng coś pani zrobił?

- Nie, nic mi nie zrobił.

- Więc czemu wybrała pani akurat Czerwonego Smoka?

- Czerwony Smok to palarnia opium - oznajmiła.

- To prawda - zgodził się - ale Lo Peng ma prawo mieć palarnię opium w San Francisco. To całkowicie legalne. Nie wolno było pani zniszczyć jej tylko dlatego, że palenie opium obraża pani uczucia.

- Zniszczyć? Ma szczęście, że doszczętnie nie spaliłam tego przybytku - wysyczała Elizabeth, kiedy powóz zatrzymywał się przed pensjonatem.

- Nie - zaprotestował James, mocno łapiąc ją za nadgarstek, zanim zdążyła otworzyć drzwi. - To pani miała szczęście, że zgodził się uwierzyć w moje chaotyczne wyjaśnienia i przyjąć przeogromną ilość złota.

Widząc, jak oczy Elizabeth otwierają się szeroko z przerażenia, James rozluźnił uścisk i szybko otworzył drzwi.

- Chodźmy.

- Co pan mu powiedział?

James przyglądał się Elizabeth. Przez chwilę wahał się, czy nie powinien oszczędzić im obojgu zakłopotania. Uznał jednak, że nie powinien zaczynać znajomości z nową guwernantką od kłamstwa. Nawet jeśli czuł się zażenowany tym, co miał jej powiedzieć.

- Powiedziałem mu, że zachowała się pani tak niemądrze, bo była pani zazdrosna. Błędnie sądziła pani, że spę-

dzam nocie w Czerwonym Smoku w pokoju na górze.

- Dlaczego miałabym być zazdrosna? - spytała Elizabeth.

- Powiedziałem mu, że jest pani moją konkubiną - wyjaśnił James.

- Co takiego?! - Elizabeth nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Powiedziałem Lo Pengowi, że jest pani moją konkubiną. Zazdrosną konkubiną, która zniszczyła jego palarnię opium w napadzie szału, bo sądziła, że spędzam czas z prostytutkami w Czerwonym Smoku.

Elizabeth przyglądała się Jamesowi, nie mogąc się otrząsnąć z szoku.

- Czemu musiał pan wymyślać tak nieprawdopodobną historię? Czemu nie mógł pan powiedzieć mu, że jestem guwernantką pańskich córek?

- Lo Peng nigdy nie uwierzyłby, że jest pani guwernantką. Gdybym wyjaśnił mu, na czym polega praca guwernantki, Lo Peng uznałby mnie za kompletnego idiotę.

- Czy dlatego, że mnie pan zatrudnił? - ochrypły głos Elizabeth stał się donośniejszy, gdy zdecydowała się wystąpić w obronie swoich umiejętności pedagogicznych.

James potrząsnął głową.

- Nie. Raczej dlatego, że marnuję ciężko zarobione pieniądze na wykształcenie bezwartościowych kobiet.

- Tak pan sądzi? - zapytała Elizabeth lodowato.

- Mówiliśmy o tym, co pomyślałby Lo Peng, nie ja - przypomniał.

- A co pan by pomyślał? - zapytała.

James zdziwiony uniósł brwi. Elizabeth otworzyła drzwi i wyszła z powozu.

- Dokąd pani idzie?

Elizabeth nie zadała sobie trudu, by się odezwać.

James wyskoczył na ulicę i dogonił ją, gdy zbliżała się do ganku.

- Zadałem pani pytanie, panno Sadler - powiedział.

- Nie jestem przyzwyczajony, żeby lekceważono moje pytania.

- Ani ja, panie Craig. A pańskie pytanie nie wymaga odpowiedzi, gdyż jest ona oczywista - oznajmiła. - Idę do pensjonatu. Naszą umowę uważam za zerwaną. Nie zamierzam pracować dla kogoś tak zarozumiałego jak pan, dla kogoś, kto tak lekceważąco traktuje kobiety.

- Obawiam się więc, że nie będzie pani łatwo znaleźć posadę.

- Jestem pewna, że pani Bender coś mi znajdzie. Bardzo szybko odzyska pan te swoje pięćdziesiąt dolarów. Z procentem.

- Nie mam cienia wątpliwości, że Augusta Bender mogłaby zaproponować pani nawet kilkanaście posad u siebie - stwierdził rozbawiony James. - Wszystkie bardzo twórcze. I wcale nie wątpię, że zarobiłaby pani te pięćdziesiąt - delikatnie podkreślił sumę - dolarów bardzo szybko, gdyby nie zrobiła sobie pani takiego wroga z Lo Penga. Obawiam się jednak, że nie będzie pani miała okazji prosić pani Bender o pracę.

- A to niby dlaczego? - Elizabeth jeszcze nigdy nie spierała się z mężczyzną. Zwłaszcza z mężczyzną, będącym jednym z najbogatszych ludzi świata. Musiała przyznać, że ta wymiana zdań sprawiła jej dużą przyjemność.

- A choćby dlatego - James wskazał ruchem głowy za nią - że, jeśli się nie mylę, bagaż na stopniach ganku należy do pani, a tych dwóch goryli to ludzie Lo Penga.

Elizabeth obróciła się tak szybko, że o mało nie straciła równowagi.

- Odeszli.

- Nie, nie odeszli - uświadomił jej James. - Wciąż nas obserwują. Będą musieli zrelacjonować wszystko ze szczegółami Lo Pengowi. Niech więc mają na co popatrzeć.

- Słucham? - nie zrozumiała Elizabeth.

Nie dając Elizabeth czasu na zastanowienie, James złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Instynktownie zgięła łokcie, wspierając się dłońmi na jego piersi, on zaś objął ją, pochylił głowę i pocałował.

Z początku był to pocałunek pełen złości, tego nie dało się uniknąć. Ale już po chwili ogień ogarnął ciało Jamesa. Przyciągnął Elizabeth bliżej i całował coraz namiętniej, dłońmi mierzwiąc jej włosy, które z taką starannością czesał, gdy wyszli z więzienia.

Elizabeth poddała się jego nieoczekiwanym pocałunkom. Niemal instynktownie objęła go za szyję i lekko rozchyliła usta, przyzwalając na pieszczotę. Czuła, jak cała topnieje w jego objęciach. Delektowała się gorącym dotykiem ust, ostrym zapachem jego wody po goleniu, delikatnym posmakiem masła i dżemu truskawkowego, które wyczuwała w jego oddechu. James jęknął, ten dźwięk przywrócił Elizabeth świadomość. Oderwała usta od jego warg, odchyliła głowę, a James zaczął delikatnie całować jej powieki. Potem obsypał gorącymi pocałunkami jej szyję. Objęła go mocniej, bo nogi ugięły się pod nią. James po raz ostatni musnął ustami jej wargi i odsunął ją od siebie. Elizabeth zachwiała się, gdy wypuścił ją z objąć.

Wyciągnął dłoń, żeby ją podtrzymać, ale ręką dała

znak, że nie potrzebuje jego pomocy. Stała pośrodku chodnika, zdruzgotana i oszołomiona. Dopiero po chwili, zakrywając zaczerwienioną twarz dłońmi, podbiegła do drzwi pensjonatu.

- Och, nie - jęknęła. Zewnętrzne drewniane drzwi były zamknięte, zasłony w oknach opuszczone. Z kartki umieszczonej na miedzianej skrzynce na listy Elizabeth dowiedziała się, że po powrocie ma zwrócić swój klucz. Elizabeth zauważyła nieznaczny ruch zasłony w oknie przy drzwiach.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma - sucho zauważył James, wchodząc na ganek.

- Ależ są - odparła gorzko. Przypomniało jej się ukradkowe drżenie drogich koronkowych zasłon w oknach w Providence, gdy wygnano ją z domu. - Na szczęście to nie jest mój dom. - Otworzyła portmonetkę, wyjęła z niej klucz i włożyła do skrzynki na listy. - Co teraz? - rzuciła w przestrzeń.

- Teraz załadujemy pani bagaż - odpowiedział James.

- Dlaczego?

- Bo ubrania pewnie się jeszcze pani przydadzą - odciął się James.

- Nie, nie o to chodzi. Dlaczego mnie wyrzuciła? Zapłaciłam za pokój na tydzień z góry. Dlaczego wystawiła moje rzeczy na ganek? Dlaczego wyrzuciła mnie na ulicę?

- Bo zrobiła sobie pani wroga z bardzo wpływowego człowieka. I nawet tak dobrze prosperująca madame jak Augusta Bender nie *może* ryzykować dorobku całego życia, aby dać pani schronienie.

- Madame?

James patrzył, jak w błękitnozielonych oczach Elizabeth pojawia się konsternacja.

- Mhm - potwierdził. - Madame.

Nachylił się i podniósł jedną z walizek. Woźnica chciał pomóc Jamesowi, ale ten powstrzymał go szybkim ruchem ręki.

- A czy pan nie obawia się, że kontakt ze mną narazi na niebezpieczeństwo pańską rodzinę i majątek?

- spytała Elizabeth.

- Nie. Ja zawarłem układ z Lo Pengiem: nie będzie się wtrącał do moich interesów ani rodziny, jeśli dopilnuję, żeby trzymała się pani z daleka od niego.

Zniósł walizę ze schodów i załadował na bagażnik powozu.

- I niech mi pani wierzy: zamierzam spełnić to przyrzeczenie, Elizabeth.

Elizabeth postanowiła, że tak samo jak on będzie ignorowała to, co między nimi zaszło.

James mrugnął do niej.

- Sądziłem, że nasza umowa została zerwana.

- Bo to prawda - odparła. - Pomyślałam tylko, że mnie pan podwiezie do najbliższego hotelu, skoro tu nie mogę zostać.

- Mógłbym - odparł po zastanowieniu - ale tego nie zrobię.

- A ja nie będę pracowała dla kogoś, kto twierdzi, że jego córki są bezwartościowe! - wykrzyknęła Elizabeth i wsparłszy ręce na biodrach, oczekiwała odpowiedzi na te słowa. Mówiąc o jego córkach aż zatrzęsała się z oburzenia na myśl, że mając żonę, mógł ją tak całować. Nawet jeśli było to tylko przedstawienie dla Lo Penga.

- W takim razie przynajmniej co do tego się zgadzamy - powiedział James, wkładając do bagażnika ostatnią z walizek Elizabeth i zamykając klapy. Podszedł

do drzwi powozu, delikatnie ujął Elizabeth za ramię i pomógł jej wsiąść. - Bo uważam, że moje córki są cudowne, kochane, inteligentne i stanowią najcenniejszy dar, jaki Bóg kiedykolwiek powierzył mojej opiece.

- Tak, tak. Wszyscy kochają dziewczynki - oznajmiła Elizabeth - dopóki są małe. Bo jak dorosną, sytuacja zaczyna się zmieniać. Rodzina uznaje, że dziewczynka powinna całkowicie podporządkować się obowiązującym normom, pozwolić się ukształtować zgodnie z oczekiwaniami.

Patrząc na Elizabeth, James zastanawiał się, kto w jej rodzinie postanowił, że powinna całkowicie podporządkować się obowiązującym normom i dlaczego ten ktoś uważał, że to konieczne. Potem pomyślał o swoich Skarbach. Że nigdy nie dorównają ideałom obowiązującym w amerykańskim społeczeństwie, choćby z powodu kształtu twarzy czy budowy ciała. Nigdy też nie wyrosną na posłuszne przedstawicielki chińskiej społeczności. Nie jego Skarby. One będą miały najlepsze cechy obu tych światów.

10

- Dobry wieczór, panie Craig.

- Dobry wieczór, Delio - odpowiedział James, otwierając drzwi do luksusowo urządzonego pokoju dziecinnego w swojej posiadłości w Coryville. Delia, najbardziej odpowiedzialna ze wszystkich niań, siedziała przy kominku i pilnowała dzieci.

- Tata - trzy małe dziewczynki jak na komende podniosły głowy znad rozrzuconych po podłodze klocków i pluszowych maskotek. Przekrzykując się nawzajem, rzuciły się do drzwi.

James odstawił skórzaną teczkę i nachylił się, aby wziąć na ręce dwie najstarsze dziewczynki.

- Witajcie, słoneczka. - Odwrócił się do Elizabeth. - To jest Ruby. - Wskazał głową dziewczynkę siedzącą na jego prawym ramieniu. - A to Gamet. - Kiwnął głową na dziewczynkę z lewej strony. Ucałował je na powitanie, wywołując nową falę jeszcze głośniejszych pisków i chichotów, po czym postawił je na podłodze. Objęły go mocno za kolana, on zaś schylił się po najmłodszą, właśnie raczkującą w jego kierunku. - A to jest Emeralda. - Pocałował dziewczynkę w policzek i radośnie się roześmiał, gdy Emeralda odwzajemniła jego pocałunek. - Powiedziałem prawdę o swoich córkach. Noszą imiona kamieni szlachetnych. W domu nazywamy je Skarbami*.

- Dobry Boże - wyrwało się Elizabeth, zanim zdążyła zakryć usta dłonią. - One są..

- Trochę zbyt hałaśliwe na początku - dokończył. - Ale przyzwyczai się pani.

Elizabeth nadal brakowało słów.

- One są..

*Imiona Skarbów pochodzą od następujących nazw kamieni szlachetnych: Ruby - rubin (ang. ruby), Gamet - granat (ang. gamet), Emeralda - szmaragd (and. emerald), Diamond - diament (ang. diamond).

Coś w głosie Elizabeth zaniepokoiło Jamesa. Uważnie spojrzął na kobietę, którą zatrudnił jako guvernantkę dla swoich córek.

Elizabeth z trudem opanowała dreszcz. Nie mogła tu zostać, nie mogła uczyć tych dzieci. Były za małe. Zbyt niesforne. Zbyt się różniły od tego, jak je sobie wyobrażała. Były zbyt *chińskie*. Właśnie. Odetchnęła głęboko. Wreszcie to przyznała. Córki Jamesa Camerona Craiga były Chinkami. Jak Lo Peng. Jak jego goryle. Jak jego służący, jak ludzie, którzy tak bezdusznie wyrzucili ciało jej brata na ulicę. Jedna z dziewczynek, średnia o błyszczących ciemnobrązowych oczach i z burgundowymi wstążkami we włosach, rozluźniła uścisk wokół nogi ojca i uśmiechnęła się nieśmiało. Elizabeth nachyliła się do niej. Jedna ze wstążek zsunęła się z włosów małej. Elizabeth wyciągnęła rękę, aby ją poprawić, ale powstrzymała się. Zmieszana schowała dłoń w fałdach sukni. Dziewczynka nieśmiało przysunęła się do niej, ale ponieważ Elizabeth się cofnęła, dziecko uciekło do ojca i ukryło buzię w nogawkach jego spodni.

James przeszył wzrokiem Elizabeth. Uważnie śledził na jej twarzy emocje, których nie umiała ukryć.

W końcu przełknęła ślinę i wykrztusiła:

- Przepraszam, panie Craig. Nie spodziewałam się...
Po prostu...

Zirytowany James westchnął.

- Są Chinkami. Tak, wiem. - Potrząsnął głową. - Nie przypuszczałem, że to dla pani będzie miało znaczenie. - Przyglądał się jej bacznie i zauważył, że zbladła, a na jej górnej wardze pojawiły się kropelki potu.

- Mam swoje powody - wyszeptała, zakłopotana wyrazem wielkiego rozczarowania, jakie zobaczyła

w oczach Jamesa. Była zażenowana własną reakcją na widok trzech niewinnych przecież dziewczynek. Nie umiała nad tym zapanować. Nie umiała też pogodzić się z faktem, że mężczyzna, który ją tak namiętnie całował, ma żonę. I to Chinkę.

Elizabeth złożyła przysięgę sobie i Owenowi. Nie spocznie, dopóki nie pomści brata. Popatrzyła na twarze córek Jamesa, na ich czarne jak smoła czupryniki, kolorowe kokardki, ciemnoczekoladowe, prawie czarne oczy w kształcie migdałów i złocistą skórę. Nie mogła opiekować się tymi dziećmi. Pewnego dnia staną się takie jak ludzie typu Lo Penga.

- Nie rozumie pan.

- Wprost przeciwnie, panno Sadler - chłodno odparł James. - Aż za dobrze rozumiem to idiotyczne uprzedzenie.

Elizabeth gwałtownie nabrała powietrza w płuca. Nigdy jeszcze nikt nie oskarżył jej o posiadanie uprzedzeń. Wręcz odwrotnie. Uwaga Jamesa bardzo ją zabolowała.

James udał, że tego nie zauważył.

- Ktoś mi niedawno mówił, że wszyscy kochają ma-lutkie dziewczynki - mówiąc to, pocałował Emeraldę. - Miałem niemądłą nadzieję, że tak właśnie jest. Cho-ciaż dobrze wiem, że nie. Bo widzi pani, wszyscy ko-chają małe dzieci pod warunkiem jednak, że te małe dzieci mają białą skórę. ~ Parsknął z pogardą. - Albo pod warunkiem, że nie są dziewczynkami. - Odwrócił się tyłem do Elizabeth i odprowadził Ruby i Garnet do rozrzuconych zabawek. Posadził tam również Eme-raldę, pociągnął za wiszący przy wejściu sznurek od dzwonnka i zamknął drzwi do pokoju dziecinnego.

- Już późno, panno Sadler. Ma pani za sobą ciężki

dzień i długą podróż. Służąca wskaże pani pokój gościnny na dzisiejszą noc i dopilnuje, żeby dostała pani swoje pięćdziesiąt dolarów. Jutro z samego rana może pani wrócić do San Francisco.

- Nie mogę wrócić do San Francisco.

James wzruszył ramionami.

- Rzeczywiście. Ale może się pani udać do każdego innego miasta na tym kontynencie.

- Przepraszam - powiedziała. - Naprawdę nie mam nic przeciwko pańskim córkom. Ja po prostu... - Wzruszyła ramionami i wbiła wzrok w podłogę.

- Nie lubi ich pani dla zasady - dokończył James lodowatym tonem.

- Nie chciałam pana zranić.

- Nie zraniła mnie pani. Rozczarowała mnie tylko.

Oczy Elizabeth napełniły się łzami. Tyle razy dokładnie tak samo reagowała na okrutny snobizm babki. Tyle razy obiecywała sobie, że sama będzie inna! Nie mogła znieść myśli, że w tej chwili zachowywała się dokładnie jak stara pani Sadler.

- Przepraszam - powtórzyła.

James wykrzywił usta, próbując się uśmiechnąć.

- Myślę, że powinna pani wyjechać jak najszybciej. Nie chciałbym, żeby Skarby za bardzo się do pani przywiązały. - Jego usta zacisnęły się w wąską linię. *Ja nie chciałbym się przywiązać.* - Poza tym Skarby zasługują na guwernantkę, dla której będą miłymi, kochanymi dziewczynkami i która doceni ich wyjątkowe zalety.

Elizabeth otworzyła usta, ale nie miała nic na swoją obronę. Żadnego wytłumaczenia. Nic nie wymaże jego rozczarowania. Już ją skazał. Sama się skazała. Stała więc w milczeniu i czekała, aż pozwoli jej odejść.

Nachylił się ku niej, tak że Elizabeth pomyślała, iż poda jej rękę, ale on nie zamierzał jej dotknąć.

- Do widzenia pani.

- Do widzenia? Raczej dobranoc.

James i Elizabeth odwrócili się, słysząc panią Glenross, która właśnie schodziła ze schodów. Zbliżyła się do Elizabeth i podała jej rękę na powitanie.

- Nazywam się Helen Glenross, jestem tu gospodynią. A pani musi być nową guwernantką. Panna...

- Sadler - przedstawiła się. - Elizabeth Sadler. - Przyglądała się gospodyni, jej otwartej, szczerzej twarzy, siwiejącym włosom i szczupłej figurze.

- Miło mi panią poznać. - Helen Glenross zerknęła na swojego pracodawcę, zauważyła jego lodowate spojrzenie i natychmiast wyczuła napięcie pomiędzy nim i nową guwernantką. Obawiając się, że tak potrzebna osoba odejdzie, pani Glenross postanowiła ratować sytuację.

- Panno Sadler, brak mi słów, by wyrazić, jak się cieszymy, że wreszcie udało się znaleźć prawdziwą nauczycielkę na guwernantkę dla Skarbów. Pan Craig i ja desperacko szukaliśmy kogoś odpowiedniego. Ostatnie cztery do niczego się nie nadawały.

Elizabeth uścisnęła dłoń pani Glenross i przez jej ramię zerknęła na Jamesa.

- Mieliście aż cztery guwernantki?

- Pracowały tu cztery kobiety, które myślały, że sobie poradzą - szybko odrzekła pani Glenross. - Ale ja bym nie nazwała guwernantką krupierki, kelnerki, praczki ani wdowy po górniku bez żadnego doświadczenia.

- Z pewnością jest pani bardzo zajęta - przerwał jej James. - Nie sądziłem, że to pani odpowie na dzwonek. Myślałem, że na dół zejdzie Annie.

- Annie je kolację. Nie widziałam potrzeby, żeby jej przerywać, skoro ja i tak musiałam zejść, żeby tego maluszka położyć spać. - Poklepała zawiniątko zawieszony na szyi i opierające się na jej drobnym biodrze - i żeby pomóc Delii wykąpać pozostałe. Chyba że panna Sadler chciałaby przejąć obowiązki...

Elizabeth odruchowo nawinęła na palec lok, który wysunął jej się z warkocza. Nagle przypomniała sobie, co James powiedział jej jeszcze w więzieniu w San Francisco, gdy tłumaczył, skąd zna sztukę zaplatania warkoczy. Mam *cztery córki. Trzy z nich mają włosy*. Poznała już trzy najstarsze - Ruby, Garnet i Emeraldę - i choć wszystkie miały włosy, żadna na tyle długie, by móc je zaplatać w warkocze. Elizabeth gotowa była postawić całe swoje siedemdziesiąt osiem centów, że ten dwudniowy skarb, jakiegokolwiek nosił imię, nie ma żadnych włosów. Dwudniowy noworodek, którego matka z pewnością odpoczywa w jednej z sypialni na drugim piętrze. Dwa dni temu tego przychodzącego na świat noworodka ktoś przecież musiał doglądać. Dwa dni temu Elizabeth dowiedziała się o śmierci Owena. Nim nikt się nie zajął. Tyle że Owen był dorosłym mężczyzną.

James odetchnął głęboko, zanim zdecydował się przekazać złe nowiny swojej bardzo już zmęczonej gospodyni. Wiedział, że Helen Glenross może odejść, jak tylko się dowie, że nowa guwernantka nie przyjmie posady.

- Niestety, zaszła pomyłka. Panna Sadler czuje się - zerknął na Elizabeth, nie mogąc się zdecydować, czy ujawnić jej uprzedzenia - nieco przytłoczona nową sytuacją. Obawiam się, że nie będzie...

- W stanie przejąć obowiązków już dziś wieczorem - szybko dokończyła Elizabeth, czym zaskoczyła nawet

samą siebie. - Cały dzień spędziłam w wię... w pociągu.
- Wypuściła z palców loczek i potarła zadrapanie na policzku wierzchem dłoni. - Muszę się odświeżyć. Nie mogłabym dotknąć... - szybko się poprawiła - narazić Skarbów, zwłaszcza tego maluszka, na kontakt z brudem miasta. Gdyby więc nie sprawiło to pani wielkiego kłopotu... Gdyby jeszcze dziś wieczorem mogła pani obejść się beze mnie... - Zerknęła ponad głową pani Glenross i napotkała podejrzliwe spojrzenie Jamesa. - Wołałabym zacząć od rana.

- Oczywiście, że damy sobie radę bez pani - chłodno odpowiedział James. - Tak długo radziliśmy sobie bez pani, że bez wątplenia uda nam się to także w najbliższej przyszłości.

Pani Glenross ze zdziwienia zaparło dech w piersiach. Spojrzała znacząco na swojego pracodawcę. Wiedziała, że oczekiwał perfekcji, ale tego było za wiele. Czyżby chciał ją odstraszyć? Helen Glenross pospieszyła uspokoić pannę Sadler, zanim ta się rozmyśli i zrezygnuje z posady.

- Oczywiście, że sobie poradzimy. Co też mi przyszło do głowy, że zacznie pani pracę przed rozpakowaniem rzeczy! Proszę za mną. - Ujęła Elizabeth pod ramię. - Pokażę pani pokój.

11

- Nie, sam odprowadzę pannę Sadler do jej pokoju.
- James umyślnie stanął pomiędzy dwiema kobietami, zmuszając panią Glenross, by puściła ramię Elizabeth.

- Jak pan sobie życzy - zawahała się gospodyni, przenosząc wzrok ze swojego tłumiącego wściekłość pracodawcy na nową guwernantkę.

- Życzę sobie - odpowiedział James. - Może pani wracać do swoich obowiązków. Ja wskażę naszemu gościowi pokój na tę noc - podkreślił tymczasowość pobytu Elizabeth w jego domu. Wskazał na korytarz łączący pokój dziecinny z pokojem guwernantki i gestem zaprosił Elizabeth do środka.

- Dostał pan to, czego pan chciał - syknęła, gdy James ujął ją pod łokieć i wprowadził do alkowy wielkości przechowalni zastaw stołowych. - Nie powinien się pan złościć.

- Złościć się? Nie jestem zły - wycedził przez zęby, zerkając przez ramię do pokoju dziecinnego. Zanim Elizabeth odpowiedziała, otworzył z rozmachem inne drzwi i wprowadził dziewczynę do sypialni. Głośno zatrzasnął za sobą drzwi. - Jestem cholernie wściekły! I żądam wyjaśnień.

- Jakich wyjaśnień?

- Cóż to za farsę odegrała pani przed panią Glenross? Cóż to za nagła zmiana?

- Dokładnie to, nagła zmiana.

James ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Nie rozumiem.

- Nie mam czego wyjaśniać - odrzekła Elizabeth. - Jest dokładnie tak, jak pan powiedział. Zmieniłam zdanie. Postanowiłam zostać i przyjąć posadę guwernantki.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? - nabrała powietrza głęboko w płuca, wstała i wyprostowała się.

- Dlaczego nie? - powtórzył James, jakby jej nie do-

słyszał - bo moje córki nie spodobały się pani.

Elizabeth uniosła brodę jeszcze wyżej i popatrzyła mu prosto w oczy, nie dając się zbić z tropu.

- Nie mam nic przeciwko pańskim córkom.

- Nie lubi ich pani dla zasady - odparł. - Pamiętam.

- Jak już powiedziałam wcześniej, panie Craig, mam swoje powody. Nie wiem, dlaczego zmieniłam zdanie. Naprawdę zamierzałam spędzić w tym domu tylko jedną noc, odebrać pięćdziesiąt dolarów, które mi pan obiecał, zwrócić panu dług i wyjechać z Coryville pierwszym porannym pociągiem. Ale kiedy zobaczyłam panią Glenross stojącą przy schodach z niemowlęciem w ramionach i wpatrującą się we mnie z tak intensywnym oczekiwaniem, zrozumiałam, że nie mogę jej rozczarować.

James westchnął.

- Mnie mogła pani rozczarować.

- Nie sprawiło mi to przyjemności.

Złość Jamesa stopniała, gdy patrzył na jej otwartą, śliczną twarz. Nagle uświadomił sobie, że nie może się odwrócić. To ostatnie zdanie zawisło pomiędzy nimi. Zrozumiał, że Elizabeth doskonale wyczuwa, że jemu potrzebna jest kobieta, nie guwernantka. Jej pełne wydatne usta zdawały się kusić, a chłodne błękitnozielone oczy zapraszać, by poddał się swoim pragnieniom i znów wziął ją w ramiona.

Elizabeth nagle poczuła się niezręcznie, czując na sobie intensywne, spragnione spojrzenie Jamesa. Odwróciła się szybko i rozejrzała wokół. Pokój z pewnością urządzonej został przez kobietę: bogato zdobione meble stały wzdłuż ścian pokrytych delikatnym jedwabiem w żółtym odcieniu. Gorączkowo szukała w myślach tematu do rozmów, jakiegokolwiek, byle tylko rozluźnić napięcie panujące między nimi.

- Czyj to pokój?

- Pani - odpowiedział James. - Chyba że znów zmieni pani zdanie.

Skonsternowana Elizabeth zmarszczyła brwi.

- To niemożliwe.

Wygląd pokoju niezbitcie wskazywał na to, że już ma właściciela. Elizabeth stanęła na środku i spojrzała z ukosa na mężczyznę, u którego już drugi raz tego dnia postanowiła przyjąć posadę. Choć łóżko z baldachimem było równo zaścielone, na kapie i ułożonych na nim puchowych poduszkach odcisnął się kształt głowy.

- A może będę miała współlokatora?

James rozejrzał się po pokoju. Koniuszki jego uszu spurpurowiały, bo dopiero teraz zauważył panujący wokół bałagan. Ochrypiły głos Elizabeth i jej prowokacyjne pytanie sprawiły, że temperatura w pokoju wzrosła o kilka stopni. W głowie Jamesa pojawił się obraz pościeli w nieładzie i oplatających go zgrabnych kobiecych nóg. Odetchnął głęboko i przełknął ślinę.

- Nie wiedziałem, że pokój nie został sprzątnięty.

Elizabeth utkwiała spojrzenie w ciężkim wełnianym płaszczu, pomiętej białej koszuli, kamizelce i marynarce powieszonych w nogach łóżka.

- Czasem ucinałem tu sobie drzemki, żeby być blisko dzieci, gdy nie było guwernantki. - Elizabeth nie odezwała się. James przeczesał palcami włosy, wyraźnie zirytowany. - Chyba zapomniałem poprosić panią Glenross, żeby przygotowała pokój na pani przybycie.

Oczami wyobraźni Elizabeth ujrzała Jamesa leżącego na łóżku bez marynarki, kamizelki i lnianej koszuli. Ten obraz dodatkowo potęgował jej zdenerwowanie. Podeszła do łóżka i zaczęła poprawiać kapę.

pewnością nigdy nie przyszło panu do głowy, żeby zrobić to samemu - jej głos był szorstki, ale bliskość Jamesa i perspektywa spania w jego łóżku odebrały jej całą odwagę. Przypomniała sobie, co sprawiło, że wyruszyła na zachód. Przypomniała sobie wszystko, co jej się przydarzyło, od momentu gdy zeszła z promu w San Francisco.

- Byłem zbyt zajęty.

- A gospodyni nie? - odparowała Elizabeth, odwracając się do niego.

- Przecież cały dzień spędziłem w San Francisco - odpowiedział. - Wpłacałem za panią kaucję.

- Gdyby niepotrzebnie nie doprowadził pan do mojego aresztowania, nie musiałby pan wpłacać żadnej kaucji - odparowała Elizabeth. - Pani Glenross ma na głowie całą posiadłość, troje małych dzieci i cały dzień chodzi z niemowlakiem u szyi. Mógłby pan być bardziej wyrozumiały dla swojej służby.

- Płacę służbie wysokie pensje - najeżył się James. - Jestem dla nich wyrozumiały.

- A dla żony?

James zmartwił. Pytanie Elizabeth dotknęło go do żywego.

- Moja żona nie żyje - wykrztusił z trudem. - Nie ma więc znaczenia, czy jestem dla niej wyrozumiały.

Czy jest pan wyrozumiały dla żony? Ileż to razy unikał odpowiedzi na to pytanie? Czy stać go było, by choć raz przyznać, że nigdy nie był wyrozumiały dla Mei Ling? Czy kiedykolwiek znał jej potrzeby?

Nogi ugięły się pod Elizabeth, osunęła się na łóżko.

- Nie wiedziałam...

- Nie szkodzi - przerwał jej James. - Zmarła dawno temu.

- Ale dziecko...

James wzruszył ramionami.

- Co za różnica, kto jest matką Diamond? Czy jest mniej moja niż jej siostry? Pani zdaniem byłoby lepiej, gdybym pozostawił dziecko bez opieki?

- Jestem panu winna przeprosiny - miękko powiedziała Elizabeth.

- A to dlaczego? - Jego zdaniem Elizabeth była mu winna niejedne przeprosiny. Skoro jednak nie składała ich wcześniej, zainteresował się, co skłoniło ją do tego teraz.

- Zachowałam się bardzo niewłaściwie. Byłam niegrzeczna, napastliwa i uparta, bo myślałam, że powoduje panem litość - wyjaśniła. - Myślałam, że jest panu mnie szkoda. Sądziłam, że chce mnie pan zatrudnić, bo czuje się pan winny, że doprowadził do mojego aresztowania. - Elizabeth spojrzała na niego ze współczuciem. - Ale teraz rozumiem, że nie powodowała panem litość. Pan naprawdę potrzebuje guwernantki.

- Nigdy nie powoduje mną litość - oznajmił James. Za to nią tak, pomyślał. Widział to w oczach Elizabeth i słyszał w jej głosie. Świadomość, że chciała uratować własną dumę kosztem jego, irytowała go o wiele bardziej, niż gotów był to przyznać. - I nie potrzebuję guwernantki.

- Oczywiście, że pan potrzebuje - zaczęła Elizabeth - i jestem gotowa...

- To moje dzieci potrzebują guwernantki - obcesowo wyjaśnił James. - Ja jestem już dorosłym mężczyzną.

- Ależ o... oczywiście - zająknęła się zaskoczona Elizabeth, nerwowo odsuwając się od niego na środek łóżka. James nie był w stanie ukryć emocji. Jej zabrakło tchu.

Patrzyła na niego, czekając, co powie.

Nagle James pochylił się nisko nad nią, zgarnął z łóżka swoje ubranie i wyszeptał:

- To moje dzieci potrzebują guwernantki. Ja nie. Ja mam całkiem inne potrzeby.

12

James zatrzymał się przed drzwiami pokoju dziecięcego, zabrał teczkę z dokumentami i przez chwilę stał, wsłuchując się w plusk wody i radosny szczebiot dziewczynek. Upewnił się, że Delia nie potrzebuje pomocy przy kąpieli Skarbów, i zszedł na dół, by zaszyć się w ciszy gabinetu.

Zrzucił przewieszane przez ramię ubrania na fotel stojący tuż przy drzwiach i zerknął na zegar na kominku. Musiał kontrolować czas. Skarby powinny iść spać za niecałą godzinę, miał więc jeszcze kilka chwil, by przejrzeć dokumenty Central Pacific. Położył teczkę na potężnym dębowym biurku i rozsiadł się przy nim w krześle z wysokim oparciem. Otworzył teczkę, wyciągnął umowy dotyczące taboru kolejowego i zerknął na pierwszą stronę.

Craig Capital Limited niniejszym otrzymuje... Craig Capital Limited niniejszym otrzymuje... James odrzucił dokumenty i zrezygnowany spojrzał na zegar na kominku. Ostatni kwadrans spędził, czytając w kółko to jedno zdanie, i nie mógł sobie przypomnieć, o co chodziło w poprzednich. Odsunął się od biurka, wstał i podszedł do kominka. Schylił się i popatrzył na drewniane kloce zgrab-

nie ułożone za kratami. Nie mógł się skoncentrować, bo cały czas myślał o tej kobiecie w pokoju na górze.

Elizabeth Sadler. Śliczna Elizabeth Sadler. Sprytna Elizabeth Sadler. Czarująca Elizabeth Sadler. Tajemnicza Elizabeth Sadler. Pełna uprzedzeń Elizabeth Sadler. James zacisnął powieki, bezskutecznie starając się wyrzucić z pamięci obraz jej twarzy, kiedy nie kryjąc niechęci odsuwała się od Skarbów. Uderzył pięścią w kominek.

- Niech to diabli! Czy to tak wiele oczekiwać od inteligentnej kobiety, że nie będzie robiła afery z powodu oczywistych różnic między moimi a typowymi amerykańskimi dziećmi?

Podniósł wzrok ku górze. Za stary był już na idealizm, zbyt zmęczony. Kiedy więc przestanie oczekiwać, że ludzie, na których mu zależy, bezwarunkowo zaakceptują Skarby, kiedy nauczy się, że i oni mogą mieć uprzedzenia? Kiedy przestanie oczekiwać, że ludzie, na których mu zależy... James uspokoił się nagle i potrząsnął głową, jakby raz na zawsze chciał to sam sobie wyjaśnić. Nie zależało mu na Elizabeth. Nie szanował jej zdania, nie zależało mu na jej uczuciach. Czy aby na pewno?

Mam swoje powody - zadźwięczało mu w uszach żarliwe oświadczenie dziewczyny. Miała swoje powody. Jakie powody, do cholery? Jakież to ważne powody mogła mieć ta kobieta, żeby z odrazą potraktować Skarby? Czyżby nie wiedziała, że na świecie żyją ludzie różnych ras? A jeśli była aż tak ograniczona, co sprawiło, że podróżowała sama?

James westchnął. On wychował się w Hongkongu. Otaczali go ludzie, których kultura i kolor skóry różniły się od jego. To on należał tam do mniejszości. Rodzice często powtarzali, że życie w Hongkongu przy-

gotuje go na wszystko. Teraz James parsknął z drwiną. Na wszystko z wyjątkiem nietolerancji. Na wszystko z wyjątkiem życia w Ameryce. Na wszystko, ale nie na to, jak sobie poradzić z przytłaczającą frustracją i rozczarowaniem Elizabeth Sadler. Boże! Nawet jego matka zareagowała łagodniej, kiedy oznajmił, że żeni się z Mei Ling. Prawdę mówiąc, Julia Cameron Craig ani drgnęła, gdy wyjawiał jej swój zamiar poślubienia dziewczyny, której rodzina podarowała mu ją jako konkubinę. Owszem, później matka się z nim spierała, ale jego wyznanie wcale jej nie zdziwiło. I chociaż Mei Ling nie była jej wymarzoną synową, Julia Cameron Craig zrobiła wszystko, by zapewnić Mei Ling pozycję w środowisku Brytyjczyków. By czuła się wśród nich jak u siebie. Dlaczego Elizabeth nie mogła być taka? Dlaczego nie umiała zaakceptować i polubić czterech osieroconych maluszków i dać im poczucie bezpieczeństwa i miłość? James westchnął. *Musisz być cierpliwy, Jamie. Są rzeczy, na które trzeba poczekać.* James usłyszał głos matki tak blisko, jakby stała tuż przy nim. Zupełnie jak w Hongkongu, gdy skarżył się jej, że żony innych bankierów nie zapraszają Mei Ling na popołudniową herbatkę.

Skłonny był przyznać, że Elizabeth może rzeczywiście potrzebuje czasu. Jego matka spędziła w Hongkongu trzydzieści lat, zanim wprowadził do rodziny Mei Ling. Julia Cameron miała mnóstwo czasu, żeby przywyknąć do wyglądu i zachowania Chińczyków.

Z czasem Elizabeth też się przyzwyczai. James znów zamknął oczy. Miał tylko nadzieję, że nie zajmie jej to trzydziestu lat. Potrzebował jej teraz. Potrzęsnał głową. Dlaczego nie mógł przestać o niej myśleć? Dlaczego nie

zatrudnił innej guwernantki? Dlaczego nawet nie spróbował? Dlaczego nie pójdzie na górę i nie poleci jej opuścić Coryville pierwszym porannym pociągiem? James przeszedł od kominka do biurka i usiadł na krześle. Odsunął dokumenty i oparł czoło o chłodny dębowy blat. Dlaczego nie odprowadził jej na stację i nie wsadził do pociągu? Bo bez względu na to, jak bardzo rozczarowany był jej reakcją na widok Skarbów, pragnął jej. Nie tylko dla Skarbów, ale i dla siebie.

Drgnął, słysząc pukanie do drzwi. Wyprostował się w krześle.

- Proszę.

Na widok gospodyni wstał. Zauważył, że z szyi pani Glenross zniknęło nosidełko, w którym w ciągu dnia spała Diamond. Jego miejsce zajęła biała krochmalona chusteczka.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale Delia skończyła kąpać dziewczynki. Czekają, żeby je pan ułożył do snu.

- Już idę.

- Dobrze. Powtórzę Delii, że już pan idzie - odpowiedziała, wychodząc z gabinetu i zbierając ubrania, które James rzucił na krzesło. - Czy mam je zabrać do pana sypialni?

James chciał przytaknąć, ale przypomniał sobie uwagi Elizabeth i zmienił zdanie.

- Nie, dziękuję. Proszę zostawić, sam je zaniosę na górę, jak będę szedł spać.

Helen Glenross spojrzała na swego pracodawcę ze zdziwieniem.

- Na pewno?

James uśmiechnął się.

- Na pewno.

Pani Glenross ułożyła ubrania na oparciu fotela.

- Jeszcze jedno, panie Craig...

-Tak?

- Czy kolację mam podać w jadalni?

James spojrział w oczy pani Glenross.

- Czy będę jadł sam?

Pani Glenross zawahała się.

- Panna Sadler poprosiła, aby podać jej kolację do pokoju.

James westchnął głęboko.

- Przypuszczam, że służba już jadła.

Gospodyni potaknęła.

- A pani?

Nie patrząc mu w oczy, pani Glenross potwierdziła.

James jednak znał swoją gospodynię. Była bardzo akuratna. Nigdy nie zjadłaby kolacji przed nim. Ale wiedział też, że po kilkudziesięciu latach przepracowanych w swoim zawodzie nigdy nie pozwoliłaby sobie na zjedzenie kolacji z pracodawcą.

- Wobec tego poproszę o kolację tutaj - powiedział James. - Jeśli nie sprawi to pani dużego kłopotu.

- Żadnego.

- Na pewno? - Starał się okazać zainteresowanie gospodyni, ale czuł się przy tym dość niezręcznie. - To znaczy... Chciałem powiedzieć, że wiem, jak wiele dodatkowej pracy spadło na pani barki, odkąd odeszła guvernantka. Wiem, że pracuje pani dłużej niż zwykle, aby podołać wszystkim obowiązkom i zająć się Diamond.

Usta pani Glenross rozciągnęły się w uśmiechu, a jej twarz zajaśniała zadowoleniem.

- Kolacja będzie gotowa za trzy kwadranse. Czy tyle

czasu wystarczy panu, żeby ułożyć dziewczynki do snu?

- Oczywiście - odrzekł James. -I dziękuję. Za wszystko.

- Psecytaj nam bajkę, tato - władczo zażądała Ruby, wyciągając gruby tom w skórzanej oprawie i wciskając go w rękę Jamesa.

James wziął książkę i usiadł na łóżku. Ruby wspięła mu się na kolana i wcisnęła w zgięcie prawego ramienia, a Garnet i Emerald oparły się o lewe. Diamond twardo spała w kołysce. Otworzył książkę na stronie zaznaczonej błękitną wstążeczką.

- Na czym skończyliśmy?

- Pan Lycerz - przypomniała Ruby - i Sancho Panza.

- Aby naplawiać zło i pomagać uciśnionym - zacytowała Garnet.

- Świetnie pamiętasz, malutka - pochwalił James Garnet, całując ją w czubek głowy. - Don Kichot wyruszył, aby naprawiać zło i pomagać uciśnionym. No dobrze, zaczynamy. - Przełknął ślinę i zaczął czytać. - Rozdział dwudziesty drugi.

W sypialni obok Elizabeth odsunęła od siebie niekniętą tacę z kolacją. Nie mogła zmusić się do jedzenia. Była zbyt zmęczona, żeby jeść, i zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się nad konsekwencjami swojej nieprzemyślanej decyzji, jaką bez wątpienia było przyjęcie posady u Jamesa Craiga. Brakowało jej doświadczenia, była przerażona. W Akademii dla Dziewcząt Lady Wimbley pierwsze lata spędziła jako studentka. Dopiero później została nauczycielką. Nigdy nie pracowała z dziećmi tak małymi jak Skarby. Nie wiedziała, jak się nimi zająć, jak

z nimi rozmawiać, jak się bawić, jak je kąpać czy ubierać - zwłaszcza noworodka, Diamond. Drżała na myśl, że mogłaby zacząć gaworzyć w tym swoim pogańskim języku. Przechadzając się po pokoju, Elizabeth odpięła dolny guzik stanika swojej brązowej dziennej sukni i wyciągnęła szpilkę, którą James zasłonił dziurę po guziku. Zdjęła stanik, wygładziła go i powiesiła na wieszaku w potężnej szafie. Przechodząc obok toaletki, wrzuciła szpilkę do porcelanowego pojemnika, potem odpięła haftki gorsetu i odwiązała wstążeczki przy spódnicy, wciągnęła powietrze i pozwoliła ubraniom zsunąć się na podłogę. Czy sobie poradzi? Co ją skłoniło do tak pochopnego podejmowania decyzji? Przecież James Craig chciał ją zwolnić z posady i spłaty długu.

Elizabeth podeszła do wysokiego okna i zorientowała się, że są to drzwi balkonowe wychodzące na ogród. Uchyliła je, żeby wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza. Co sprawiło, że przełamała niechęć i strach, jakie poczuła do Skarbów? Powiesiła spódnice w szafie obok stanika i włożyła gorset do szuflady. Jej bagaże dostarczono z dworca tuż przed kolacją. W samej koszulce i pończochach Elizabeth zaczęła przerzucać rzeczy w najmniejszej walizce, szukając koszuli nocnej i szlafroka. Kiedy je znalazła, założyła białą koszulę, zdjęła buty i weszła do łóżka, satynowy szlafrok wieszając w zasięgu ręki. Przeturlała się na środek i objęła ramionami poduszkę. Odpowiedź na jej pytanie czaiła się wszędzie: poduszka przesiąknięta była delikatnym zapachem wody kolońskiej Jamesa, a przez obitą jedwabiem ścianę słyszała jego przytłumiony głos.

Leżała bez ruchu, słuchając, jak James czyta córkom na dobranoc. Nie czytał im bajeczek dla dzieci, ale

Cervantesa. James opowiadał dzieciom historię Don Kichota z La Manchy, marzyciela walczącego z wiatrakami, przeciwstawiającego się złu. Człowieka, jak przypuszczała Elizabeth, znacznie mu bliższego niż James sam gotów by przyznać.

Zgasiła lampy i leżała, wpatrując się w baldachim. Słuchała historii Don Kichota, dopóki głos Jamesa nie rozplynął się w ciszy, a regularne oddechy nie zdradziły, że to koniec czytania, bo dzieci już śpią.

Słyszała, jak James kręci się po pokoju. Po chwili do jej uszu dotarł cichy trzask zamykanych drzwi. Potem rozległy się kroki w korytarzu, które na chwilę ucichły pod jej drzwiami.

Uśmiechnęła się do siebie w ciemności.

13

- Dzień dobry, pani Glenross - powiedział James, wychodząc z głównej sypialni wczesnym rankiem. Gospodyni opuszczała właśnie pokój guwernantki z ciężką srebrną tacą w dłoniach. James zmarszczył brwi. Kolacja podana do łóżka po długim, męczącym dniu była czymś jak najbardziej zrozumiałym. Ale śniadanie w łóżku uznał za przesadę. W końcu Elizabeth nie była tu panią domu.

- Czy to śniadanie nowej guwernantki?

Pani Glenross potrząsnęła głową.

- Nie, proszę pana. To wczorajsza kolacja. Nawet jej nie tknęła.

- Co takiego? - James podniósł jedną z przykrywek.

Popatrzył na kawałek zimnej nietkniętej kury ułożonej na ryżu, odłożył przykrywkę i podniósł następną. Elizabeth nie ruszyła nawet ciasta wiśniowego.

- Nie widziałem, żeby wczoraj coś jadła. Musiała umierać z głodu, a nie wzięła do ust ani kęsa.

- Wiem - zgodziła się pani Glenross. - Dziś rano znalazłam tacę dokładnie tam, gdzie ją wczoraj zostawiłam.

Serce Jamesa zabiło szybciej, gdy przypomniał sobie, że paląc w nocy cygaro zauważył, iż drzwi balkonowe w pokoju Elizabeth były otwarte.

- Czy ona jeszcze tu jest?

Pani Glenross w odpowiedzi zmarszczyła brwi.

- Paliłem wczoraj cygaro u siebie na balkonie i zauważyłem, że zostawiła otwarte drzwi - wyjaśnił James. - Pomyślałem, że mogła znowu zmienić zdanie i wymknąć się przez okno, kiedy wszyscy spaliśmy.

Pani Glenross potrząsnęła głową.

- Może i czuła się trochę zmęczona po wczorajszej podróży, może nawet była przytłoczona faktem, że Skarby wyglądają nieco inaczej, niż się tego spodziewała, ale ona ma więcej siły, niż pan myśli. Ona nie ucieka przez okna i nie kradnie sreber. Jeśli postanowi odejść, pan pierwszy się o tym dowie.

Teraz James zmarszczył brwi.

- A więc pani wie?

- Słyszałam prawie wszystko, bo schodziłam po schodach - przyznała pani Glenross. - A Delia opowiedziała mi resztę.

- I co pani sądzi? - spytał James. - Powinniśmy ją zatrzymać? Czy rzeczywiście aż tak potrzebujemy guwernantki? Może powinienem dać jej bilet na pociąg z Coryville i szukać dalej?

- Powinniśmy ją zatrzymać - zdecydowanie oznajmiła pani Glenross. - Jeśli nawet nie dla naszego, to dla jej dobra.

James kiwnął potakująco głową.

- Chyba ma pani rację. Z tego co wiem, ona nie ma tu żadnych krewnych. Wspomniała coś o bracie w San Francisco, ale zmarł przed jej przyjazdem. - Zmarszczył brwi w skupieniu. *Coś jeszcze wiązało się z jej bratem. Jakaś kąśliwa uwaga, którą od niej usłyszał.* - Panna Sadler nie powinna wracać do miasta. Zadarła z Lo Pengiem.

Helen Glenross zadrżała na samą myśl o awanturze z tym wpływowym Chińczykiem.

- Zadarła z Lo Pengiem?

James nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Dwa dni w San Francisco wystarczyły pannie Sadler, aby stać się jednym z największych wrogów Lo Penga.

- Jak jej się to udało?

- Własnoręcznie brązowym jedwabnym parasolem zdemolowała jego palarnię opium na ulicy Washingtona.

Pani Glenross zacisnęła usta, rozważając słowa swego pracodawcy.

- To tłumaczy jego złość. Nie wiadomo tylko, czym Lo Peng się jej naraził?

- Ma pani absolutną rację. - James wpatrywał się w gospodynię z takim zachwytem, jakby właśnie stworzyła świat i podała mu go na srebrnej tacy. Nagle wszystko wydało mu się takie proste. - Taka dystygowana nauczycielka jak Elizabeth Sadler nigdy nie wyruszyłaby z parasolem na palarnię opium bez powodu. Wiemy, jakich szkód narobiła panna Sadler Lo Pengowi. Nie wiemy co *on* jej zrobił? - Nagle do Jamesa dotarło, co Elizabeth miała na myśli, mówiąc, że ma swoje powody, aby nie akcep-

tować Skarbów. Wyraźnie słyszał słowa sierżanta Darnella: „Lo Peng zaklina się, że złoży skargę, ale my rozumiemy, co się stało z pani bratem u Lo Penga i w ogóle. Chłopak już zbierają dla pani pieniądze na kaucję”. *My rozumiemy, co się stało z pani bratem u Lo Penga i w ogóle.* Coś łączyło brata Elizabeth z Lo Pengiem. Coś tak straszego, że Elizabeth uzbrojona w parasol nieźle zdemolowała największy lokal Lo Penga. Sprawdzenie faktów nie powinno być trudne. Wystarczy telegram do sierżanta Darnella albo szefa policji San Francisco. Jeśli zrobi to zaraz po przyjeździe do biura, prawdopodobnie szczegóły będzie znał już późnym popołudniem. Dowie się, dlaczego Elizabeth postanowiła zniszczyć przybytek Lo Penga. Na razie jednak chciał wiedzieć, dlaczego jego nowa guwernantka nie zaczęła jeszcze pracy.

James uśmiechnął się do pani Glenross.

- Panna Sadler nie ma dokąd pójść. Potrzebuje więc nas tak samo, jak my jej. Pozwolimy jej zostać pod warunkiem, że nie skrzywdzi Skarbów.

Pani Glenross z trudem powstrzymała uśmiech.

- Nie wydaje mi się, że powinien się pan aż tak bardzo martwić. Każdy w pierwszej chwili zareagowałby jak ona, widząc trzy małe Chinki zamiast błękitnokich blondyneczek, wyglądających jak ich ojciec.

- Nie mam jasnych włosów - sprzeciwił się James.
- A pani nie wystraszyła się, gdy po raz pierwszy zobaczyła Ruby.

- Założę się, że jako dziecko miał pan jasne włosy - odparowała pani Glenross. - Co zaś do mnie, podobnie jak pan miałam czas, żeby oswoić się z widokiem Chińczyków. Mój zmarły mąż jako inżynier kierował brygadami Chińczyków w czasie budowy linii kolejowych

Central Pacific pod koniec lat sześćdziesiątych. Podróżowałam razem z nim i przywykłam do przebywania w ich towarzystwie. Widziałam dzieci, które mieli z Amerykankami. Nie mam nic przeciwko Chińczykom. Pomogli zbudować ten kraj, wciąż go budują, ale gdyby przedstawił mnie pan któremuś z tych groźnych Apaczów, o których czytałam, że terroryzują osadników, pewnie zareagowałabym dokładnie jak panna Sadler.

- Nie mówimy o zachowaniu panny Sadler wobec Apacza, ale wobec niewinnych dzieci. Proszę pomyśleć, ile szkód w życiu uczuciowym dziewczynek może spowodować jej niechęć. Przecież dzieci to wyczuwają.

Helen Glenross tylko uśmiechnęła się tajemniczo i powiedziała:

- Nie sądzę, żeby miał pan powody do obaw.

- Już to pani mówiła - odparł James. - Chciałbym wiedzieć, skąd ta pewność.

Pani Glenross wskazała głową na drzwi do pokoju dzieciennego, po czym odwróciła się i skierowała w stronę schodów i kuchni.

- Niech pan sam zobaczy.

James podszedł do drzwi pokoju dzieciennego. Pociągnął za klamkę i wszedł do środka. Ominął kącik z zabawkami i podszedł do łóżeczek. Serce w nim zamarło, gdy zorientował się, że łóżko, w którym spały Ruby i Garnet, jest puste. Emeraldy również nie było w jej łóżeczku. Dziewczynki zniknęły. Tylko Diamond spała spokojnie. James przeszukał szafy, zajrzał pod łóżka. Wziął głęboki oddech, by opanować ogarniającą go panikę. Starał się uspokoić myślą, że pani Glenross nie wygląda na zdenerwowaną. Tylko że pani Glenross nie przeżyła tego co on. Nigdy nie wróciła ze służbowej po-

dróży i nie znalazła pustej kołyski. James już otwierał usta, aby ją zawołać i zażądać wyjaśnień, gdy zauważył, że drzwi prowadzące z pokoju dziecinnego przez kuchnię do pokoju guwernantki są otwarte.

Balkon! Błyskawicznie przebiegł przez kuchnię, aby dotrzeć do otwartego balkonu, zanim zrobią to dziewczynki. Balkon! Cholera jasna! Jak mógł zapomnieć uprzedzić Elizabeth, żeby dokładnie zamykała drzwi balkonowe? James od zawsze bał się, żeby Skarby nie wspięły się na prawie półtorametrową balustradę i nie pospadały na kamienie ułożone w ogrodzie. Bardzo martwił się tymi kamieniami, odkąd zamieszkała z nim Ruby.

Zacisnął pięści. Nie rozglądał się po pokoju, nie patrzył też na łóżko. Przełknął ślinę i oblizał kilka kropel potu, które pojawiły mu się na górnej wardze. Gdy znalazł się przy drzwiach na balkon, zacisnął powieki, by pozbyć się uparcie powracającego obrazu trzech zmasakrowanych ciałek, leżących na ziemi. Mogę to zrobić, powtarzał sam sobie. Otworzył oczy. *Przeżyję to.* Wiedział, że to, co zobaczy, będzie straszne. Ale wiedział też, że oglądał już straszniejsze rzeczy. Przeżył straszniejsze chwile. Prawie krzyknął, kiedy poruszone porannym wietrzykiem firanki owinęły się wokół jego nóg. Nerwowo zaczął je zrywać.

- Ceść, tato, co robisz?

Delikatny głosik przestraszył go.

Spojrzał na Ruby skuloną na kanapie przy drzwiach balkonowych. Patrzył w milczeniu, jak dziewczynka wyprostowała się, przetarła oczy i ziewnęła szeroko, jakby to było całkiem naturalne, że tata znajduje ją rano na kanapie w pokoju guwernantki zamiast w jej własnym łóżku.

Nogi ugięły się pod Jamesem i opadł na kanapę.

- Ceść, tato - powtórzyła Ruby.

James przytulił ją mocno do piersi, wdychając jej dziecięcy zapach. Ruby zaczęła się wiercić w jego objęciach.

- Cześć, guziczku. Czemu siedzisz sama po ciemku w pokoju panny Sadler?

- Ciekaw - rzeczowo odpowiedziała Ruby.

- Na co czekasz, guziczku?

- Żeby Galny i Emmy wstały.

- A gdzie są twoje siostry? - dopytywał się James.

- Tam - Ruby wskazała na duże łóżko z baldachimem, gdzie Garnet i Emeraldą spały mocno wtulone w Elizabeth. - Obudziłam się i Emmy i Galny nie było. No i słam cię sukac. Ale tu nie było ciebie, tylko ona.

James zniżył głos, żeby nie obudzić Elizabeth i dziewczynki.

- Długo tu jesteś?

Zegar dziadka w hallu wybił szóstą. Ruby odwróciła się w stronę balkonu, zobaczyła różowe promienie słońca rozjaśniające mrok i zrozumiała, że to już rano.

- Psysłam, jak było ciemno. I zegal nie bił tak długo.

- Może zejdziemy do kuchni i zobaczymy, czy nie udałoby się zwałdzić dla ciebie trochę ciepłej czekolady, a dla mnie filiżanki kawy?

- Dobrze. - Ruby zgramoliła się z kanapy i skierowała prosto do łóżka Elizabeth.

- Cśś! - James przyłożył palec do ust, żeby ją uciszyć. - Dokąd idziesz?

- Galny i Emmy nie idą z nami?

Patrząc na śpiącą Elizabeth, James zrozumiał, że jego wtargnięcie do pokoju niezamężnej kobiety, która u niego pracowała, było niewłaściwe bez względu na powód. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Czy ryzykując, że obudzi Elizabeth, zabrać Skarby? Wte-

dy odkryłaby, że naruszył jej prywatność. Z drugiej strony nie był pewien, czy powinien pozwolić, aby po obudzeniu odkryła w swoim łóżku dwie małe Chinki.

James potrząsnął głową. Niełatwo mu było odejść. Nie mógł zapomnieć jej wczorajszego zachowania. Wiedział jednak, że skoro postanowił oddać córki pod jej opiekę, musi zacząć jej ufać.

- Jeszcze wcześniej - powiedział do Ruby. - Pozwólmy im pospać. Możemy wypić poranną kawę tylko we dwoje.

14

Elizabeth otworzyła oczy i tuż przed sobą zobaczyła delikatną buzię dziewczynki z czarnymi włosami i głębokimi brązowymi oczami w kształcie migdałów. Przestraszona tą niespodziewaną bliskością orientalnego dziecka Elizabeth chciała się odsunąć, ale dziewczynka łagodnie poklepała ją po twarzy. Garnet, przypominała sobie Elizabeth. Druga córka ma na imię Garnet. Trzecia Emerald, a niemowlak to Diamond. Szlachetne i półszlachetne kamienie. Skarby.

- Nie śpij, plosę pani - wysepleniła Garnet.

Elizabeth podniosła się i oparła o poduszki ułożone na łóżku. Zakłopotana zamrugała powiekami. Druga, mniejsza dziewczynka spała w niewygodnej pozycji z nogami na poduszce.

- Nie śpię - wyszeptła Elizabeth. Zerknęła na Garnet i szybko poprawiła Emeraldę tak, aby na poduszce znalazła się jej głowa.

- Co się stało? - zapytała, zapominając o swojej niechęci.

- Emmy wysła z łóżecka, no i psysłyśmy spać z tatą. - Garnet podniosła kołdrę i zajrzała pod spód. - Gdzie tata?

- Nie wiem - odpowiedziała Elizabeth.

- Mój tata tu - Garnet poklepała łóżko i spojrzała na Elizabeth pełnymi łez oczami, a jej dolna warga zaczęła drżeć od powstrzymywanego płaczu. - Tata w płacy? Tata w Sianflancisko? Tata pojechał? Tata w Sianflancisko?

- Nie - uspokoiła ją Elizabeth. - Tata nie pojechałby bez pożegnania. Na pewno gdzieś tu jest.

- Chce tatę - stanowczo powiedziała Garnet.

- Więc chodźmy go poszukać.

Elizabeth postawiła dziecko przy łóżku. Dziewczynka zaczęła przestępować z nogi na nogę. Elizabeth zorientowała się, że drewniana podłoga jest zbyt zimna dla nóżek dziecka.

- Masz kapcie?

Garnet potaknęła.

- Gdzie?

- Koło mojego łóżka.

- No to chodźmy po nie, dobrze? - Elizabeth chciała wziąć Garnet za rękę, ale dziecko nie ruszyło się z miejsca.

- Co się dzieje? - spytała Elizabeth. - Nie jest ci zimno w nóżki? Nie chcesz kapci?

Garnet znów kiwnęła głową.

- Emmy - wskazała na smacznie śpiącą siostrę.

- Oczywiście! Nie możemy zostawić Emeraldy samej. Co z nią zrobimy?

- Polóz do łóżecka - rozsądnie poradziła Garnet. - I poplaw dźwi.

Elizabeth nachyliła się i przeciągnęła Emeraldę na brzeg łóżka. Zabolał ją kark, ale udało jej się wziąć dziewczynkę na ręce, nie budząc jej. Wyprostowała się i mocno ją przytuliła. Nagle uświadomiła sobie, jak była mała i bezbronna, i uzależniona od opieki dorosłych. Elizabeth spojrzała na Garnet, oczekując dalszych instrukcji.

- Mamy już twoją siostrzyczkę. Co teraz?

Garnet uśmiechnęła się szeroko.

- Idziemy po kaptcie.

Elizabeth odpowiedziała uśmiechem. To był niezły plan. No cóż, musiała szukać pomocy u nad wiek rozwiniętej dwulatki, która wiedziała więcej niż ona o opiece nad maluchami. Elizabeth pozwoliła dziewczynce zaprowadzić się do pokoju dzieciennego.

Kiedy dotarły na miejsce, Elizabeth odkryła, że czeka ją na nią nowe problemy. Diamond właśnie się obudziła i marudziła w kołysce. Emeraldą zmoczyła pieluchy.

- Di głodna - poinformowała Garnet. Założyła kaptcie i przysunęła sobie stołeczek, żeby popatrzeć na noworodka płaczącego i wiercącego się w kołysce.

- A Emeraldą się zsiakała. - Elizabeth poczuła ciepło na rękach i przodzie koszuli nocnej. Włożyła Emeraldę do łóżeczka. Podciągnęła koszulkę dziewczynki i bezradnie przyglądała się mokrej pieluszcze.

- Gdzie są pieluszki? - zapytała.

- Tam. - Garnet przestąpiła z nogi na nogę i wskazała na dwa porządnie ułożone stosiki bawełnianych pieluch na obrusie przykrywającym zwykłe, niskie biurko.

- Ja dam - dodała, zeskakując ze stołeczka i przysuwając go do biurka.

Elizabeth patrzyła, jak Garnet kilkakrotnie przystaje w drodze, by zaczerpnąć powietrza i ścisnąć nóżki.

- Emeraldą już się zoczyła - powiedziała Elizabeth, zamykając łóżeczko Emeraldy. - Może poczekać jeszcze chwilę na pieluchę. A ty nie chcesz nocniczka?

Garnet popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Nie chcesz nocnika? Nie chcesz do toalety? Do ubikacji? Do ustępu? - zastanowiła się przez chwilę. James Craig był Brytyjczykiem. Jak Brytyjczycy to nazywają? - Czy musisz iść do we?

- Wuce - rozjaśniła się Garnet i przytaknęła.

- Możesz iść. Idź do wc - zachęcała Elizabeth, nie wiedząc, gdzie jest łazienka dla dzieci.

Garnet zmarszczyła brwi.

- Sama nie umie.

Elizabeth zerknęła na Emeraldę, która wciąż smacznie spała, a potem na Diamond, która krzyczała coraz głośniej. Elizabeth wyjęła niemowlę z kołyski i przytuliła.

- Dobrze już, kochanie - starała się je uspokoić. - Wiem, że jesteś głodna i masz mokro, ale najpierw musimy zająć się Garnet. Potem przyjdzie twoja kolej i Emmy. - Uśmiechnęła się do Garnet. - Prowadź do we, słoneczko. Diamond i ja idziemy tuż za tobą.

Garnet zaprowadziła więc Elizabeth przez sypialnię do malej kuchni, gdzie znajdowały się drzwi do łazienki. Elizabeth dopiero teraz zauważyła drugą porcelanową klamkę na drzwiach do toalety, umieszczoną niżej. Weszła za Garnet do środka, nachyliła się nad półeczką przy lustrze i obserwowała, jak dziewczynka obesła toaletę i odsunęła zasłonę wiszącą przy ogromnej wannie, odkrywając stołeczek taki sam jak w pokoju dzieciennym i mały fotelik z porcelanowym nocnikiem.

Kiedy Garnet skończyła, Elizabeth pomogła jej doprowadzić do porządku koszulkę nocną i odstawiła na

miejsce stołeczek, aby dziewczynka mogła umyć ręczki pod kranem przy wannie. Była z siebie dumna, odprowadzając Garnet do sypialni.

Teraz pozostało jej tylko przewinać dwie mokre pupy. Postanowiła zacząć od starszej Emeraldy, by nabrać wprawy. Wzięła dwie czyste pieluchy i dwa kaftaniki i podeszła do łóżeczka.

Nachyliła się nad dziewczynką. Uważnie obejrzała, w jaki sposób zawijano ją w pieluszkę. W końcu zaczęła przebierać Emeraldę. Przez moment zawahała się, nie wiedząc, co zrobić z mokrą pieluchą.

- Tu. - Garnet uniosła przykrywkę dużego pojemnika.

Elizabeth wrzuciła pieluchę do środka. Garnet odłożyła przykrywkę na miejsce i wybiegła z pokoju. Elizabeth usłyszała strumień wody płynącej z odkręconego kranu.

- Garnet? Garnet? Co robisz? - zawołała zaniepokojona.

Dziewczynka wróciła, niosąc ociekającą wodą chusteczkę.

Elizabeth zdążyła już zauważyć, że Garnet wie więcej niż ona o opiece nad dziećmi i zmianie pieluch, postanowiła więc i tym razem skorzystać z pomocy tego chodzącego samouczka.

- Pokaż mi.

Garnet uniosła koszulkę i wykonała ruch, jakby się myła.

Elizabeth wycisnęła nadmiar wody z chusteczki do pojemnika na pieluchy. Emeraldę, czując chłód mokrej tkaniny, obudziła się i zaspana uśmiechnęła się do Elizabeth.

Po umyciu Emeraldy Elizabeth podłożyła małej czystą pieluchę, spinając jej rogi ogromną agrafką. Już chciała gratulować sobie pomyślnego zakończenia ope-

racji, kiedy Garnet trąciła ją w łokiec puszką z pudrem. Potem dziewczynka wysypała sobie trochę proszku na ręce i zaczęła wcierać go w brzusek i nóżki.

- Wiem, wiem. Myślisz, że nie mam pojęcia, jak się obchodzić z dziećmi - roześmiała się Elizabeth. - Ale możesz mi wierzyć, wiem, do czego używa się pudru.

Odpięła pieluchę Emeraldy, wyciągnęła rękę i kiwnęła na Garnet, żeby nasypała jej pudru. Wcierając delikatny proszek w ciało dziewczynki, z zachwytem patrzyła, jak biały puder wspaniale kontrastuje ze znacznie ciemniejszą, o wiele delikatniejszą skórą dziecka.

Emeralda zachichotała, gdy Elizabeth zapinała pieluchę.

- Podoba ci się? Łaskocze cię? - zagadywała Emeraldę.

- Mnie - powiedziała Garnet, znów stukając ją w łokieć i unosząc koszulkę. Elizabeth wysypała więc na dłoń więcej pudru i klepała go w brzusek dwulatki.

Po kilku minutach obie dziewczynki chichotały zachwycone nową zabawą. Elizabeth wykorzystała tę sytuację, aby przebrać Emeraldę w świeżą koszulkę. Mała śmiała się na całe gardło, gdy Elizabeth przykryła jej na moment buzię i mierzwiła czarne włosy.

- Co się tu dzieje?

Słyszając niski baryton, Elizabeth machinalnie wypuściła z rąk koszulkę Emeraldy i ukryła dłonie w fałdach koszuli nocnej. Wyglądała jak dziecko przyłapanie z dłonią w słoiku z ciastkami. Odwróciła się do drzwi.

W progu stal James Craig.

- Tata! - Garnet i Emeraldal pisnęły zachwycone i wyciągnęły do niego rączki.

- Dzień dobry, ślicznotki. - James wszedł do sypialni i rozłożył ramiona, aby przywitać Gamet. - Czemu jeszcze nie zeszycie na śniadanie? Wasza siostra od dawna jest na dole z panią Glenross. - Mocno przytulił dziewczynkę, wziął ją na ręce i podszedł do łóżeczka Emeraldy. - Dzień dobry, panno Sadler - powiedział niskim, ochrypłym głosem. Podobała mu się także i teraz, rano, gdy jej niezwykle błękitnozielone oczy przysłonięte były ciężkimi jeszcze od snu powiekami, a na twarzy widać było odcisnięte ślady poduszki. Jej brązowe włosy, na noc splecione w gruby warkocz, teraz były w nieładzie. Przyłapał się na myśli, że możliwość oglądania Elizabeth tuż po przebudzeniu z pewnością dodatkowo go zachęci, by wstawać rano i sprawdzać, jak się miewają jego córki.

- Panie Craig - Elizabeth dygnęła, mając nadzieję, że zrobiła to fachowo.

James uśmiechnął się lekko.

- Wyglądacie, jakbyście znowu dorwały się do słoika z mąką. Co się tu dzieje? Narozrabiałyście za plecami panny Sadler? - James skierował pytanie do dziewczynek, ale patrzył na Elizabeth.

- Nnnie narozrabiały, panie Craig - z trudem wykrztusiła Elizabeth.

Coś w jego wyglądzie i głosie sprawiło, że jej serce waliło jak oszalałe, a w ustach jej zaschło. Nie mogła uspokoić przyspieszonego oddechu. Patrzyła na Jamesa, na jego drogi garnitur i plamy po pudrze na kamizelce i krawacie. Elizabeth poczuła, jak cała kurczy się w sobie, bo nagle przypomniało jej się, jak sama w dzieciństwie tuliła się do matki, tyle że w odpowiedzi słyszała jedynie wyrzuty, że znowu gniecie jej suknię. Wyprostowała się i przygotowała wewnątrz na ostrą reprimendę. Spodziewała się jej, jak tylko James odkryje plamy.

Jednak James zaskoczył ją. Zauważył, że Garnet jest biała od pudru, potem spojrzał na swój ubrudzony garnitur, wzruszył ramionami, jakby mówił: „no cóż”, spojrzał do góry i wybuchnął śmiechem.

W tej chwili Elizabeth poczuła, że jej serce należy do niego. Przypomniała sobie ślady po maśle i dżemie na garniturze, w którym przyszedł po nią do więzienia. Chciała go pocałować, pragnęła, by wziął ją w ramiona tak jak wtedy, gdy się poznali, i by całował ją jak przed Pensjonatem Bender's. Żeby całował ją do utraty tchu. Tak długo, aż jego oddech da jej siłę.

- Panno Sadler? - powtórzył James. - Czy moje rozbrykane Skarby dokuczały pani?

- Nnnie, panie Craig - wyjąkała zawstydzona Elizabeth, starając się opanować zbyt śmiałe fantazje i skoncentrować na obowiązkach. Teraz jest guwernantką. Musi pamiętać, że... że tacy uczeni mężczyźni jak on nie całują guwernantek swoich dzieci... Chyba że ma to zapobiec nieszczęściu, jak wczoraj. Nagle przyszło jej do głowy, że może któryś z Chińczyków w czarnej jedwabnej tunice ozdobionej czerwonym smokiem śledził ich aż do Coryville, może nawet teraz ich obserwuje. Zadrżała na myśl

że kolejny pocałunek mógłby okazać się koniecznością.

- Panno Sadler? Elizabeth?

- Tak?

- Jeśli Skarby nie rozrabiały za pani plecami, dlaczego są - zerknął na swój garnitur i na satynowy szlafrok Elizabeth - dlaczego wszyscy jesteśmy ubrudzeni pudrem?

- Garnet pomagała mi zmienić pieluchę Diamond. Widzi pan? - Elizabeth uśmiechnęła się szeroko, podeszła do Emeraldy i z dumą wyjęła ją z łóżeczka, aby pochwalić się swoim dziełem.

Gdy tylko uniosła dziecko, z przerażeniem stwierdziła, że pielucha zsuwa się z wąskich bioder dziewczynki.

James przygryzł wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem, gdy Emeraldą, wierzgając nóżkami, uwolniła się z pieluszki.

- Nie! - Elizabeth nie wierzyła własnym oczom. - Tak mi przykro! - Przytuliła dziewczynkę mocniej i spojrzała na Jamesa. - Nie rozumiem, jak to się stało. Ja nigdy... - urwała nagle - nigdy nie przytrafiło mi się coś takiego.

- Nic się nie stało - powiedział James, stawiając Garnet na podłodze i podchodząc do Elizabeth. Wyciągnął ręce po Emeraldę. - Mnie się to ciągle zdarza.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Nachylił się i podniósł pieluchę i kaptanik, upuszczone przez Elizabeth. Przerzucił je sobie przez ramię i zaniósł Emeraldę na niskie biurko, na którym przewijano dziewczynki. Przytrzymując córkę jedną ręką, tak że oparta była o jego lewe biodro, James otworzył górną szufladę biurka i jednym ruchem wsunął do niej świeżo uprane ubranka. Zamknął szufladę i położył dziewczynkę na kocyku.

Elizabeth była zaskoczona jego zręcznością. 2 otwar-

tymi ustami obserwowała, jak zdjął pieluchę z ramienia i ostrożnie ją rozpiął. Agrafkę wpiął sobie w górną kieszeń marynarki, poza zasięgiem rączek ciekawskiej Emeraidy, chwycił dziewczynkę za kostki, uniósł jej biodra i wsunął pod nie pieluchę.

- Z doświadczenia wiem - wyznał, zgrabnie spinając trzy końce pieluchy - że dzieci są jak kucyki. Napinają brzuchy i jeśli nie ściągnie się popręgu wystarczająco mocno, siodło zjeżdża im pod brzuchy.

Zerknął na Elizabeth przez ramię i dziewczyna zauważyła, że jego błękitne oczy błyszczą z radości.

- Nigdy nie miałam kucyka.

- Ach, tak! To wszystko wyjaśnia - oznajmił, sadzając Emeraldę. Potem wsunął dziewczynce przez głowę koszulkę i zawiązał pod szyją ozdobną satynową karkadę.

- Co wyjaśnia? - zapytała, zaintrygowana figlarną nutą w jego głosie.

- Dlaczego nie umiała pani zawiązać popręgu. - James poprawił kaftanik Emeraidy i zaniósł ją do łóżeczka. - Myślałem, że nauczycielka z pani doświadczeniem i rozległą wiedzą na temat dzieci poradzi sobie z moimi córkami.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Nigdy nie twierdziłam, że mam rozległą wiedzę na temat dzieci. Założył pan to z góry...

James zeszywniał. Iskierka w jego oczach zgasła. Spojrzał na nią chłodno.

- Nigdy niczego nie zakładałam z góry - oświadczył. - Już wczoraj po południu wiedziałem, jak niewiele ma pani doświadczenia z małymi dziećmi.

- Skąd?

- Zdałem sobie z tego sprawę, widząc pani przerażenie na widok Skarbów.

Elizabeth ledwo się powstrzymała, aby poinformować swojego pracodawcę, że jej przerażenie należałoby raczej tłumaczyć tym, że uważała go za kawalera. Mogła też dodać, że jeśli chodzi o Skarby, James powiedział jej tylko, w jakim są wieku. Słowem nie wspomniał, że ich matka była Chinką.

- Czy dlatego pan tu przyszedł? - spytała ostrzej, niż zamierzała. Zorientowała się, że jej szlafrok całkiem się rozwiązał, co tylko powiększyło jej zakłopotanie.

James pomyślał, że tego ranka Elizabeth jest wyjątkowo uszczypliwa i wojowniczo nastawiona.

- Niekompetencja a brak doświadczenia to dwie różne rzeczy - odparł, wyjmując Emeraldę z łóżeczka. - I wcale nie przyszedłem sprawdzać, jak sobie pani radzi. Pomyślałem, że Diamond na pewno już się obudziła i marudzi, bo trzeba jej zmienić pieluchę i nakarmić. Niekoniecznie w tej kolejności. Zwykle...

Przerwał nagle, widząc, jak Elizabeth uderza się dłonią w czoło.

- Diamond! - krzyknęła, podbiegając do kołyski. - O Boże, Gamet, zapomnialiśmy o Diamond!

- Co z Diamond? - James w jednej sekundzie znalazł się przy Elizabeth.

- Nic - odpowiedziała Elizabeth, odwracając się od ssącego palec niemowlęcia. - Z pewnością miał pan rację, jeśli o nią chodzi. Trzeba ją nakarmić i przebrać. Niekoniecznie w tej kolejności.

James popatrzył na nią z chłopięcym uśmiechem.

- Proszę bardzo. - Wręczył jej świeżą pieluchę.

Elizabeth zbladła. Przebieranie Emeraldy to jedno, ale Diamond... Diamond była taka malutka.

Widząc przerażenie na twarzy Elizabeth, James ustąpił.

- No dobrze, proszę potrzymać Emmy. - Podał jej dziewczynkę. - Sam przewinę Diamond. - Zaniósł dziecko na stolik i wyciągnął rękę po czystą pieluchę, którą Elizabeth chętnie oddała. - Teraz niech pani uważa - poinstruował. - To pani ostatnia lekcja. Nie zawsze będę w pobliżu.

- Chyba nie wyjeżdża pan znowu?

James właściwie zrozumiał nutę przerażenia w jej głosie. To nie była panika, ale szczere rozczarowanie.

- Z miasta nie. Jadę do biura. Bo widzi pani, ja zarabiam na życie. - Wyrzucił brudną pieluchę, a potem wyciągnął rękę jak chirurg po skalpel. - Ciepła mokra szmatka.

Elizabeth popędziła do łazienki, wróciła i podała mu ją.

- A teraz najtrudniejsze - wyjaśnił James. Uniósł biodra Diamond i delikatnie, ale dokładnie ją wymył. - Musi być czyściutka. Niemowlęta mają bardzo delikatną skórę. - Odsunął brudną pieluchę i chusteczkę na koniec stołu i podłożył dziecku czystą. - Puder - zarządził i Garnet uderzyła go puszką w nogę. Schylił się i wziął od niej puder. Głową wskazał na umorusaną Garnet, potem na Elizabeth i Emeraldę. - Myślę, że pudrowanie ma pani świetnie opanowane. - Posypał pudrem Diamond i delikatnie wtarł go w skórę dziecka. - A jeśli chodzi o wiązanie i zapinanie, postępuje się tak samo jak wcześniej, tylko na mniejszą skalę. Jakież pytania?

Przygryzła wargę, potrząsając głową, ale nagle wykrztusiła:

- A co z tym? Co z tym trzeba robić?

- Z czym?

Elizabeth wskazała na rozogniony pępek dziecka.

- Jak to opatrywać? U Emeraldy to wygląda zupełnie inaczej.

- Również u mnie i u Garnet - odparł James. - I u pani. - Nagle wyobraził sobie pępek Elizabeth i z trudem powściągnął podniecenie. - To dlatego, że nasze się zagoiły. Pępek Diamond nie miał czasu się zagoić.

- Zagoić po czym? - Elizabeth nie chciała ujawniać braku wiedzy, ale jej ciekawość zwyciężyła.

James zachichotał.

- Po porodzie, panno Sadler. To, co pani widzi, to resztki pępownicy, którą była połączona z ciałem matki, gdy jeszcze znajdowała się w jej łonie.

- Aha - odparła Elizabeth, a jej policzki spąsowiały.

- Tak, aha - zgodził się James. - Nowa guwernantka to prawdziwe wyzwanie.

- Nauczę się wszystkiego - obiecała Elizabeth.

- Już się pani zaczęła uczyć - uśmiechnął się do niej ujmująco. - Ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Nie.

- Wobec tego razem skończymy przewijając Diamond - oznajmił, spinając agrafką pieluchę - i zaczniemy lekcję numer dwa.

- Lekcję numer dwa? - powtórzyła Elizabeth.

- Śniadanie - oświadczył James.

- Moje? Pana?

James potrząsnął głową i wskazał na dziewczynki.

- Ich. A zaczniemy od Diamond. - Podniósł dziewczynki.

czynkę ze stołu i wziął ją na ręce. Wolną rękę wyciągnął do Garnet. - Chodźmy na śniadanie.

- Nie mogę zejść na dół w tym stroju - zaprotestowała Elizabeth, przypominając sobie, że stoi boso i ma na sobie tylko koszulę nocną i szlafrok.

- Oczywiście, że pani może - uświadomił jej James, wzruszając ramionami. - Wszyscy są w piżamach - wskazał na dziewczynki.

- Pan nie jest - zauważyła Elizabeth.

James popatrzył na swój garnitur i ślady po pudrze.

- Tylko dlatego, że zaraz mam spotkanie w biurze z moim współnikiem, Willem Keeganem. Inaczej też zszedłbym na śniadanie w szlafroku. Chodźmy - po naglił - bo śniadanie nam wystygnie.

Elizabeth jednak wciąż się wahała.

- To nie wypada.

- Ależ skąd - zapewnił ją James. - Zasada numer jeden: każdy je śniadanie w piżamie.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- Nie wierzę, że ma pan taką zasadę.

- Oczywiście, że mam - skłamał. - To taka tradycja w rodzinie Craigów. Moja matka przejęła ją od chińskich służących. I proszę mi wierzyć - zmyślał dalej - że jest to bardzo praktyczna zasada, jeśli ma się małe dzieci. Proszę spojrzeć na mój garnitur. Szlafrok łatwiej jest uprać.

- Garnitur można szybko wyczyścić.

- Może i tak - przyznał James - ale co z plamami po soku, mleku i owsiance? Po maśle i dżemie?

- Przesadza pan.

- Widziała mnie pani wczoraj - przypomniał jej James. - Czyżbym przesadzał?

- To tylko jeden dzień - powiedziała Elizabeth. -

I sam pan przyznał, że nie mógł się pan wyrwać z domu, bo nie mieliście guwernantki. Ale jest pan bogatym przemysłowcem i mogę się założyć, że zwykle wszystko chodzi jak w zegarku. - Przypomniała sobie własne śniadania, kiedy starannie ubrana siedziała z bratem i ojcem przy stole, podczas gdy matka i babcia jadły w swoich pokojach. W świecie przemysłowców wszystko toczyło się ustalonym trybem. Nauczyciel Owena schodził z nimi na dół i zdawał sprawozdanie z postępów Owena w matematyce i ekonomii, podczas gdy ojciec przeglądał strony finansowe w porannej gazecie. Wypijał dokładnie półtorej filiżanki kawy i punktualnie o ósmej wstawał od stołu, porównywał godzinę na swoim zegarku z zegarem w korytarzu. Przypominał Elizabeth, żeby pożegnała się z Owenem i panem Frederickiem, po czym razem szli do Akademii dla Dziewcząt Lady Wimbley, mieszczącej się dwie przecznice od banku. Ojciec nigdy nie pytał jej o postępy w szkole, właściwie nigdy o nic nie pytał. Elizabeth powinna była zachować milczenie. Była dziewczynką, a dziewczynki to przecież tylko ozdoby: patrzy się na nie, ale się ich nie słucha.

- Wszystko szło jak w zegarku, dopóki nie zamieszkały tu Skarby - przyznał James. - Teraz nauczyłem się robić pewne ustępstwa. Każdy rano przynosi nowe przygody.

- W czasie śniadania? - roześmiała się Elizabeth.

Jamesa zdziwiła błoga naiwność dziewczyny.

- Moja droga nowa guwernantko - zaczął protekcyjnym tonem. - Nie powinna się pani zamartwiać niewłaściwym strojem, ale jeśli dzięki temu poczuje się pani lepiej, każę komuś przynieść mój szlafrok do ja-

dalni i załóżę go na garnitur. Tymczasem sugeruję, żeby się pani przygotowała, bo oto zaczyna się druga lekcja: śniadanie Skarbów.

16

Okazało się, że Elizabeth nie była przygotowana na przygodę, jaką miało być „śniadanie Skarbów”. Ani trochę nie przypominało ono posiłków spożywanych w absolutnej ciszy, jakie znała z dzieciństwa. Śniadanie w posiadłości Craigów przebiegało w rodzinnej, radosnej atmosferze. Elizabeth szybko zrozumiała, że karmienie głodnego noworodka i trzech nienasyconych, energicznych i absorbujących brzdąców wymagało strategicznego planu, którego nie powstydziliby się marszałek polny armii brytyjskiej.

Ruby siedziała przy stole przed talerzem z zupą mleczną, posłodzoną sokiem jabłkowym i śmietanką, czyli - jak zapewniała pani Glenross - jej ulubionym daniem. Nie chciała jeść, bo stwierdziła, że nie znosi miseczki, w której podano owsiankę. Trzy razy zmieniano jej miseczki. W końcu James podsunął jej kryształowy kielich. Wydawał się zdziwiony buncem córki, ale wykazywał bezgraniczną cierpliwość. Elizabeth podziwiała, że nie ma on nic przeciwko kaprysom Ruby tak długo, jak długo naczynia nie zaczynają lądować na podłodze. Ani razu nie podniósł głosu na Ruby ani nie dał jej klapsa. Nie odesłał jej też do pokoju. Ojciec Elizabeth nie był tak cierpliwy. Przy stole wymagał

nienagannych manier i nawet mała plamka albo trzask naczyń wywoływały jego gniew.

Elizabeth podziwiała Jamesa za to, jak sobie radzi, i zastanawiała się, czy długo zachowa spokój. Zwłaszcza że tym razem zwykle grzeczne Garnet i Emeraldal postanowiły iść w ślady Ruby i równie stanowczo domagały się kryształowych pucharów. To z kolei rozłościło Ruby jeszcze bardziej, bo chciała jako jedyna jeść owsiankę z kryształowego naczynia.

Elizabeth spokojnie przyglądała się drugiej rundzie walki o talerze, karmiąc Diamond z butelki.

James Craig nie był zwolennikiem tezy, że dzieci powinno być widać, a nie słyszać. Nie uważał też, żeby dzieci musiały jadać osobno. Lubił te wspólne śniadania. Cieszył go ich widok z samego rana, nawet jeśli ich buzie wysmarowane były owsianką. Wiedział, że pośród arystokracji, do której przecież należał, te jego przyzwyczajenia uchodzą za drobnomieszczańskie i niemądre. On jednak za bardzo lubił towarzystwo dzieci, aby zgodzić się na izolowanie ich w pokoju dzieciennym do czasu, kiedy nauczą się dobrych manier. Cieszyły go te hałaśliwe posiłki z dziewczynkami, zwłaszcza że były dla niego jedyną okazją wspólnego spędzenia czasu.

Dzisiejszy ranek prawie niczym nie różnił się od kilku ostatnich. Był tylko jeden wyjątek. Tego dnia przy stole w jadalni w koszuli nocnej i szlafroku siedziała z nim Elizabeth Sadler. Jamesowi brakło słów, żeby opisać radość, jaką czuł, patrząc na Elizabeth karmiącą Diamond kozim mlekiem z butelki. Odnosił wrażenie, że ogromna pustka, jaką Mei Ling pozostawiła w jego sercu, wreszcie zaczyna się wypełniać.

Spróbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio zda-

rzyło im się zjeść śniadanie w towarzystwie kogoś innego niż pani Glenross albo Will Keegan. Poprzednie guwernantki miały wprawdzie schodzić na wspólne śniadanie, ale jakoś nigdy to się nie udawało --- Krupierka i kelnerka lubiły długo spać. Za bardzo ich potrzebował, żeby nalegać na zmianę ich przyzwyczajień. Chińska praczka po prostu odmówiła - nie zamierzała odstępować od zwyczaju niezasiadania do posiłku razem z pracodawcą. Ostatnia opiekunka wprawdzie zgodziła się jadać z nimi śniadania, ale robiła to, nie kryjąc niechęci. Upierała się, że takie małe dzieci jak Ruby, Garnet i Emeralda nie powinny jadać z dorosłymi ani grymasić. Twierdziła, że uleganie zachciankom dzieci tylko je psuje i jest nie do przyjęcia w dobrym domu.

Teraz, kiedy odeszła, James zamierzał udowodnić, że się myliła. Chciał, żeby Elizabeth mu w tym pomogła. Niestety, w tej chwili zażegnanie buntu wymagało od niego co najmniej takiego opanowania, jakim musiał się wykazać w dniu przejęcia Craig Capital Ltd. Nie był pewien, ale sądził, że po porannej „kawie we dwoje” Ruby obraziła się, bo pozwolił Elizabeth, Garnet, Emeraldzie i Diamond przyłączyć się do wspólnego śniadania.

- Nie, Ruby - ostrzegł łagodnie, ale stanowczo, kiedy dziewczynka postanowiła zrzucić kryształ z owsianką na podłogę. James odłożył łyżeczkę, którą karmił Emeraldę i zabrał Ruby kielich. - Dosyć tego.

- Nie chcę! - oznajmiła Ruby.

- Dobrze - zgodził się James. - Nie musisz jeść owsianki. - Odstawił kryształ. - Może zjesz ze mną? - Spojrzał na stojącą przed nim jajecznicę i śledzie. Nabrał trochę na widelec i wyciągnął w stronę Ruby.

- Nie! - Ruby odepchnęła widelec. - Paskudne! Chcę owsiankę!

- Owsiankę - mechanicznie poprawił James, wyraźnie wymawiając „w”. - Dobrze. - Włożył do ust widelec, którym wzgardziła Ruby, i oddał jej kryształowy kielich.

- Nie, miszkę! - uparła się.

James podał Emeraldzie następną łyżeczkę owsianki, szybko przełknął kolejną porcję jajecznicy, odsunął krzesło i wstał od stołu.

- Przepraszam na chwilę - powiedział do Elizabeth.

- Oczywiście - odpowiedziała i wstrzymała oddech w oczekiwaniu na nieunikniony wybuch gniewu.

James wyszedł z jadalni, po chwili wrócił, niosąc srebrną cukiernicę w kształcie muszli z różową szklaną przykrywką, zieloną porcelanową filiżankę i czerwoną szklaną misę na słodycze w kształcie liścia winogrona. James postawił czerwoną misę przed Ruby i przełożył do niej zawartość kryształowego pucharu.

- Proszę, Ruby - podał jej śniadanie. - Rubinowa misa specjalnie dla mojej królowej.

Dziewczynka zapiszczała z zachwytem.

Przewidując rozczarowanie Garnet i Emeraldy, postawił przed Garnet cukiernicę i porcelanową filiżankę przed Emeraldą.

- Proszę bardzo - oświadczył, kiedy naczynia były pełne. - Teraz każda z was ma piękną i wyjątkową miseczkę, z której może zjeść przepyszna owsianka pani Glenross.

Elizabeth spojrzała na niemowlę.

- Diamond już skończyła. Co teraz?

James odłożył łyżkę.

- Proszę mi oddać dziecko, sam się nim zajmę - za-

proponował, wyciągając ręce po dziewczynkę. - A pani zje swoją owsiankę. Jak grzeczna guwernantka.

- O, nie, nie ma mowy - Elizabeth spojrzała na niego uważnie. - Niech mi pan powie, co teraz powinnam zrobić. Ostatecznie - dodała - nie może pan mi bez przerwy udzielać bezpłatnych lekcji.

James dał za wygraną. Wręczył Elizabeth białą lniąną chusteczkę, a jego palce na moment dotknęły jej dłoni. Elizabeth drgnęła. Spojrzała na Jamesa i zrozumiała, że on także jest poruszony. Puścił chusteczkę, a ona ją złapała.

- Co teraz? - spytała, nerwowo oblizując wargi.

- Proszę położyć to sobie na ramieniu - polecił ochryplym, szorstkim głosem. - A potem proszę przełożyć sobie Diamond przez ramię twarzą do dołu i delikatnie klepać ją po plecach, dopóki się jej nie odbije.

- Skąd pan wie, że jej się odbije?

- Proszę mi zaufać - odparł James - na pewno tak będzie.

Rzeczywiście po kilku minutach dziewczynce się odbiło.

Zaskoczona, Elizabeth popatrzyła na dziecko, potem na Jamesa.

- Miał pan rację.

- Oczywiście - potwierdził James. - Skoro już pani wie, jak to się robi, proszę powtarzać tę czynność po każdym jej posiłku. Potem Diamond zwykle ucina sobie drzemkę.

- Już śpi - potwierdziła Elizabeth. - Właściwie odkąd się tu zjawiłam, nie robi nic innego.

James wzruszył ramionami.

- Tak to jest z niemowlętami. - Wyciągnął rękę po mały srebrny dzwonek, leżący przy filiżance, i zadzwonił.

Delia zjawiła się prawie natychmiast.

- Delio, proszę zanieść Diamond do łóżeczka i popilnować jej, dopóki panna Sadler i ja nie skończymy śniadania i nie omówimy planu dnia.

- Oczywiście. - Delia wzięła dziewczynkę od Elizabeth i udała się na górę do pokoju dziecinnego.

- Proszę się nie martwić, panno Sadler - powiedział James, wskazując na Skarby. - Na pewno nie będzie się pani nudzić z tymi trzema berbeciami.

- Co z moimi berbeciami? - zadudnił Will Keegan z przedpokoju.

Ruby pisnęła z radości na widok gościa i pospiesznie zsunęła się z krzesła, żeby rzucić się na niego. Garnet ruszyła w jej ślady. Obie chciały, żeby Will wzięł je na ręce.

Will spełnił ich żądanie. Najpierw podniósł Garnet, potem Ruby i podszedł do szafki z jedzeniem, wdychając zapach jajek, ziemniaków, szynki, śledzi, bekonu, steków, owsianki i ciastek.

- Dzień dobry, Will - przywitał go James, kiedy ten podszedł do stołu i posadził Skarby na ich miejscach. Potem zwrócił się do Elizabeth: - Panno Elizabeth, to mój bliski przyjaciel i współpracownik, Will Keegan, wiceprezes Craig Capital Limited. Will, pozwól, że ci przedstawię pannę Elizabeth Sadler, naszą nową guwernantkę.

Will Keegan kilka dobrych chwil przyglądał się Elizabeth, pochłaniając wzrokiem każdy szczegół jej urody. Wreszcie wyciągnął rękę i mocno uściśnął dłoń Elizabeth.

- Miło mi panią poznać, panno Sadler.

- Mnie również, panie Keegan - grzecznie odpowiedziała Elizabeth.

- Proszę mi mówić Will - zasugerował. - Tak nazy-

wają mnie przyjaciele. Założę się, Beth, że i my zostaniemy przyjaciółmi.

- Zapewne masz rację, Will - wymruczała Elizabeth, trochę zaskoczona bezpośredniością porannego gościa i wesołą iskierką w jego brązowych oczach. Nagle przypomniała sobie, że jest w szlafroku, w koszuli nocnej i nie uczesana. Poprawiła się na krześle, wygładziła poły satynowego szlafroka i zawiązała pasek. - Ty również możesz zwracać się do mnie po imieniu.

James przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Pierwszy raz od wielu lat poczuł ukłucie zazdrości. Will, starszy od niego o kilka miesięcy, był najstarszym synem pastora kościoła prezbiteriańskiego w Hongkongu. Nie chciał pójść w ślady ojca i zaraz po studiach zatrudnił się w Craig Capital. Pięć miesięcy później James zakończył naukę i włączył się do rodzinnego interesu. Początkowo Will był jego sekretarzem. Otrzymał awans po tym, jak James przekonał ojca, że to nie fair, aby Will był jego podwładnym. Pracując razem przez wiele lat, bardzo się do siebie zbliżyli. Razem awansowali w Randall Craig, założonej w Hongkongu firmie żeglugowo-bankowej. Jeden został jej dyrektorem, drugi wiceprezesem. Stali się sobie bliscy jak bracia. James wiedział, że zazdrość jest zupełnie naturalna w pewnych okolicznościach, ale mimo to źle się z nią czuł. Kochał Willa jak brata. Powierzyłby mu pieniądze, firmę, nawet swoje życie. Ufał mu jak nikomu innemu na świecie. A jednak drażnił go sposób, w jaki Will patrzył na Elizabeth. Niepokoiło go też, że próbował z nią flirtować. Nie był pewien jego zamiarów. W jednej chwili James uznał, że w tej konkretnej sprawie Willowi ufać nie można.

- Weź sobie krzesło i siadaj - przerwał im. - Panna

Sadler czuje się niezręcznie pod twoim badawczym spojrzeniem.

Will popatrzył na niego zaskoczony.

- Nie wiedziałem, przepraszam, Elizabeth.

- Nie szkodzi - odparła. - Może zjesz z nami śniadanie?

Zaproszenie to zabrzmiało tak naturalnie, że Will postanowił poświęcić więcej uwagi rodzinnej atmosferze, jaka zapanowała w jadalni. To, co początkowo wyglądało jak zwykłe śniadanie w domu Jamesa, okazało się czymś zupełnie innym. Will zerknął na stół zastawiony kryształowymi pucharami, porcelanowymi naczyniami, na Ruby i Garnet zjadające z apetytem owsiankę: jedna z cukiernicy, druga z misy na słodycze, i na gaworzącą Emeraldę, zerknął na Elizabeth i Jamesa siedzących obok siebie w szlafrokach. Zauważył, że wymieniają znaczące spojrzenia i mówią o sprawach zrozumiałych jedynie dla nich dwojga i Skarbów. Will z trudem opanował się, aby nie okazać zaskoczenia na widok Jamesa, który bez pytania napełnia filiżankę Elizabeth, podczas gdy ona podnosi chusteczkę, którą upuścił, i podaje mu ją, aby mógł zetrzeć owsiankę z ucha Emeraldy. Will uznał, że jest świadkiem cudu: James i jego nowa guwernantka zachowują się, jakby byli małżeństwem. Pomyślał, że nie powinien opuścić dzisiejszego śniadania w posiadłości Craigów.

- Pachnie smakowicie - stwierdził. - Co jest na śniadanie?

- Owsianka - jednocześnie odpowiedzieli Elizabeth i James.

- Nigdy nie odmawiam zjedzenia wspólnego śniadania... - powiedział Will.

James chrząknął.

- I zjem tę papkę, którą karmicie Skarby - ciągnął - ale pod warunkiem, że od czasu do czasu pozwolicie mi na małe odstępstwo. Chcę was jednak uprzedzić, że nie zamierzam siadać do stołu w szlafroku.

- Sądziłam, że zdążyłeś się przyzwyczaić do tego stroju - odezwała się Elizabeth, wdzięcznie rumieniąc się z powodu zuchwałości Willa.

- Jak to? - nie zrozumiał Will.

- Z tego co mówisz, rozumiem, że ty również pochodzisz z Hongkongu i że od lat znasz pana Craiga - wyjaśniła Elizabeth.

Will nalał sobie filiżankę kawy ze srebrnego dzbanka i usiadł przy stole naprzeciwko Jamesa.

- To prawda - przyznał. - Znamy się już od dwunastu czy trzynastu lat. - Zerknął na Jamesa, oczekując potwierdzenia.

James kiwnął głową i wzruszył ramionami, aby dać Willowi do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o co chodzi Elizabeth.

- Czy wspólne śniadania stanowią tradycję w rodzinie Craigów? - pytała dalej.

- Tak sądzę - odparł ostrożnie Will.

- W takim razie zwyczaj schodzenia na śniadanie w szlafroku nie powinien cię dziwić - przerwała na chwilę - gdyż zwyczaj ten matka pana Craiga podpatrzyła u Chińczyków.

Will udał oburzenie.

- Kto ci naopowiadał takich bzdur?

Elizabeth spojrzała wymownie na Jamesa.

Ten odstawił filiżankę na spodeczek i szybko przysłonił usta dłonią, aby ukryć uśmiech.

- Aha! - wykrzyknął Will. - Nikt nie ośmieliłby się zasiąść przy stole Julii Cameron Craig, czy to podczas śniadania czy innego posiłku, w piżamie. Wszyscy Brytyjczycy w Hongkongu o tym wiedzieli.

James odchrząknął, próbując powstrzymać śmiech.

- Dziś rano mamy spotkanie, pamiętasz? - zmienił temat Will, zapominając o piżamach i szlafrokach.

James odłożył łyżeczkę, którą karmił Emeraldę, i wytarł twarz dziewczynki chusteczką. Zerknął na zegar ścienny.

- Spotkanie jest o dziewiątej. Co sprowadza cię tak wcześniej?

- Przyszedłem na śniadanie - odparł Will. - Pomyślałem też, że może będziesz miał ochotę omówić szczegóły, bo wczoraj nam się to nie udało. - Popatrzył na Jamesa z wyrzutem.

- Musiałem wyjechać do San Francisco wcześniej rano - wyjaśnił James. - Nie miałem kiedy cię uprzedzić, że nie będzie mnie w biurze. Nie dostałeś wiadomości? Prosiłem panią Glenross, żeby dała ci znać.

- Tak, tak, ale było już za późno. A jak wygląda sytuacja w biurze na Montgomery?

- Nie byłem tam - odparł James. - Miałem inne, waż-

niejsze sprawy na głowie. - James dopił swoją kawę, zdjął serwetkę z kolan i położył na stole. Skarby również skończyły jeść, należało teraz zabrać je na górę, umyć i ubrać. Chciał też porozmawiać z Elizabeth o jej obowiązkach.

- Ważniejsze niż negocjacje z Central Pacific? - rozdrażniony Will podniósł głos. - Co jest aż tak ważne?

James odsunął krzesło i wstał od stołu.

- Skarby, Will. Trzy, nie, cztery niewinne dziewczynki, którym muszę zapewnić ciepły dom i mnóstwo miłości.

Will podniósł do góry rękę.

- To oczywiste, Jamie.

- Potrzeby moich czterech dziewczynek są dla mnie ważniejsze niż jakiegokolwiek negocjacje. - James schylił się i podniósł Emeraldę z krzesła. - A jeśli kiedykolwiek o tym zapomnę, przyrzekam, że sprzedam Craig Capital - mówiąc to, popatrzył na Willa. - Przysięgam, że to zrobię. Wszystko bez wyjątku, nawet ostatni spinacz do papieru. Nie popełnię jeszcze raz tego samego błędu. - Jedną ręką przytrzymując Emeraldę, odsunął od stołu krzesło Ruby, pomógł jej wstać i wziął ją za rękę. - A teraz, jeśli panna Sadler skończyła jeść...

Elizabeth przytaknęła, wytarła usta serwetką i wstała.

- Musimy cię na chwilę przeprosić, zabierzemy dziewczynki na górę - dokończył James.

Will skinął głową.

- Muszę też omówić z panną Sadler rozkład dnia Skarbów i zakres jej obowiązków, zanim zajmiemy się umową z Central Pacific - dodał, spoglądając na zegar. - Zajmie nam to najwyżej dwadzieścia minut.

- W porządku - odparł Will dość chłodno. - Zjem w tym czasie śniadanie.

- Przepraszam - powiedziała Elizabeth, gdy weszli na schody, prowadzące do pokoju dzieciennego mieszczącego się na drugim piętrze.

- Za co?

- Przepraszam, że nie mógł pan wczoraj spotkać się z Willem.

- Jak sama pani słusznie zauważyła, sam jestem sobie winny, że musiałem odbyć tę podróż do San Francisco - rzekł James, kiedy dotarli do pokoju dzieciennego. - Nie musi pani przepraszać. Gdyby nie ja, nie zostałaby pani aresztowana.

- Może i tak. - Elizabeth wzruszyła ramionami. - A może i nie. Byłam tak rozgoryczona i tak wściekła z powodu śmierci Owena, mojego brata - przerwała na chwilę, aby opanować wzruszenie - że chyba i tak wdałabym się w jakąś awanturę. - Spojrzała na Jamesa. - Wcale nie żałuję tego, co zrobiłam u Lo Penga. Ani trochę. - Uniosła brodę wyżej, aby mógł zobaczyć wyzwanie w jej oczach koloru morskiej wody. - Ale dostałam nauczkę.

- Więc wstyd pani, że zniszczyła lokal Lo Penga.

- Czy mi wstyd? - Wzdrygnęła się jak mokry kot. - Oczywiście, że nie. Gdybym dziś znalazła się w San Francisco w podobnych okolicznościach, zrobiłabym dokładnie to samo!

James uśmiechnął się do niej.

- Proszę, tylko nie dziś. Jedna awantura dziennie wystarczy, a dziś stoczyliśmy już bitwę owsiankową.

- Proszę się nie obawiać - spoważniała i znów się stała układną guwernantką. - Nie wywołam już żadnych skandali.

Boże, jak bardzo chciał ją pocałować! Nie pamiętał, aby kiedykolwiek pragnął czegoś równie mocno. Z tru-

dem opanował się, żeby nie porwać jej w ramiona. Czyżby jeszcze nie wiedziała, że często po prostu nie da się uniknąć skandalu?

- Niech pani nie składa obietnic, których nie sposób dotrzymać - powiedział niskim z przejęcia głosem.

- Ależ zapewniam pana, że nie wdam się już w żadną awanturę. Nie w Coryville. Nie, dopóki pracuję u pana i odpowiadam za życie i reputację Skarbów.

James spojrział na Elizabeth zdziwiony.

- Na to jest jeszcze dość czasu. Za wcześnie, żeby troszczyła się pani o ich reputację, czyż nie?

- Myli się pan - żarliwie przekonywała Elizabeth. - Na to nigdy nie jest za wcześnie. Reputacja to największy atut kobiety.

- Co też pani opowiada - zakpił James. - Z pewnością intelekt i osiągnięcia liczą się bardziej niż reputacja.

Teraz Elizabeth zadrwiła:

- Mężczyźni nie żenią się z kobietami dla ich intelektu.

James uśmiechnął się.

-I dość rzadko robią to dla ich nienagannej reputacji.

- Może i tak - zgodziła się Elizabeth. - Ale dziewczyna z dobrą reputacją ma znacznie większe szanse na lepszą partię. A dziewczęta z dobrych domów mają obowiązek dobrze wyjść za mąż.

- Według mnie to zależy od samych dziewcząt - odparł James - i od zainteresowanych nimi mężczyzn.

- Tak powinno być. - Elizabeth uśmiechnęła się smutno i ten uśmiech oraz jej nieobecne spojrzenie świadczyły o osobistych bolesnych doświadczeniach. - Tylko że ludzie zbyt łatwo poddają się schematom. Dlatego dziewczyna z dobrego domu musi być bez za-

rzutu. I ocenia się ją surowiej niż inne. W przypadku pana córek będzie to szczególnie trudne, bo są..

- Chinkami? - przerwał James ciekaw, czy Elizabeth znowu do tego wróci.

- Również dlatego - zaczerwieniła się wdzięcznie - ale chodziło mi o to, że są wychowywane bez matki.

- Nie rozumiem - odparł James. - Wydaje mi się, że skoro już ich pochodzenie czy wygląd nie zasługują na akceptację, to może fakt, że nie wychowuje ich Chinka, powinien znaleźć niejakie uznanie w oczach społeczeństwa.

- Tak, ale wszyscy wiedzą, że dziewczęta z dobrych domów potrzebują wskazówek matki. Są rzeczy, których nauczyć się można tylko od matki. Nawet najbardziej oddana guwernantka nic tu nie poradzi.

- Co za nonsens! - wybuchnął James. - Kto pani wpoił te bzdury? Matka?

Elizabeth wystraszyła się nie na żarty.

- Babka.

- I pani w to wierzy?

- Oczywiście. Dlaczego miałabym nie wierzyć? To ona uczyła mnie, jak żyć.

- Jak żyć jej zdaniem. I nauczyła panią, że nigdy nie będzie pani w stanie sprostać jej wymaganiom - ledwo dosłyszalnie wymamrotał James. Był zły, że kobiety takie jak babka Elizabeth nie tylko wierzyły w te bzdury, ale wpajały je swoim dzieciom i wnukom. - A gdzie była pani matka, kiedy babka poddawała panią tak bzdurnej indoktrynacji?

- Na górze w swojej sypialni. - Elizabeth o mało nie ugryzła się w język. Nie mogła uwierzyć, że nieznanemu mężczyźnie powiedziała coś, co latami ukrywa-

ła nawet przed sobą. Przez wiele lat jej matka unikała odpowiedzialności, chowając się w swojej sypialni przed kaśliwością babki Sadler.

- Dlaczego to nie matka uczyła panią tego wszystkiego, co powinna wiedzieć młoda dziewczyna?

- Bo nie miała pojęcia o tych sprawach.

- Dlaczego nie? Czyż nie pochodziła z dobrej rodziny? Musiała, skoro wyszła za pani ojca.

- Oczywiście, że tak. Ale straciła matkę jeszcze w dzieciństwie, więc niczego się od niej nie nauczyła. Moja matka nie była przygotowana do wejścia do wyższych sfer.

- To wszystko wyjaśnia - wymruczał James.

- Co?

- Pani babka uważała, że jej syn mógł się lepiej ożenić.

- Tak - przyznała Elizabeth. To także. Ale było coś jeszcze, kolejna rodzinna tajemnica, o której przy Elizabeth ledwie napomknięto: po raz pierwszy, gdy jej ojciec zmarł na apopleksję w wieku trzydziestu siedmiu lat, i drugi raz w dniu, gdy babka ją wydziedziczyła. Ten sekret od lat zatruwał atmosferę w domu. Elizabeth bała się to przyznać, ale to ona była przyczyną cierpień matki i rezerwy ojca. To przez nią ojciec musiał ożenić się z matką.

- Założę się, że babka nie pozwoliła ani pani, ani pani matce i ojcu choćby na chwilę o tym zapomnieć.

- To prawda.

James puścił rękę Ruby i schylił się, żeby zapytać:

- Ruby, guziczku, otworzysz nam drzwi?

Ruby spojrzała na tatę, potem na nową guwernantkę.

- Nie - oznajmiła wyzywająco.

- Ja otworzę - Elizabeth sięgnęła po klamkę.

- Nie! - krzyknęła Ruby, wyprzedzając Elizabeth i łapiąc za klamkę. - Ja otwozę dla taty!

James potrząsnął głową.

- No tak. Jeden bunt dziennie to za mało.

Cofnął się, aby przepuścić Elizabeth, i postawił Emeraldę na podłodze. Dziewczynka na czworakach zbliżyła się do Ruby, która podbiegła do szafek z zabawkami i zaczęła zrzucać klocki.

Ponieważ Garnet się wierciła, Elizabeth wypuściła ją z rąk. Patrzyła bezradnie, jak Ruby burzy dopiero co wybudowaną wieżę, rozrzucając klocki po całym pokoju.

- Ruby, proszę - stanowczo odezwała się Elizabeth.
- Nie tak mocno, bo uderzysz siostry.

- Nie! - Ruby spojrzała na Jamesa, szukając u niego aprobaty.

James jednak pokręcił głową.

- Ruby, musisz teraz słuchać panny Sadler. Ona będzie się wami opiekować.

Odwrócił się do Elizabeth.

- Jest pani guwernantką i Skarby powinny rozumieć, że kiedy są z panią, muszą być posłuszne.

Elizabeth o mało nie wpadła w panikę. Nie miała pojęcia, co powinna robić.

- A pan? - zapytała Jamesa.

- Idę do pracy.

- Co mam robić? - zniżyła głos do szeptu, żeby dziewczynki albo Delia nie usłyszały. - Przecież wie pan, że nie mam pojęcia, jak się obchodzić z dziećmi. Nigdy tego nie robiłam.

James sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął z niej złożoną kartkę papieru firmowego Craig Capital, którą wręczył Elizabeth.

- Proszę, oto rozkład dnia dziewczynek. Spisałem go dla pani.

Elizabeth rozłożyła kartkę i zaczęła czytać na głos.

- Szósta rano - pobudka; siódma - śniadanie z ojcem; ósma trzydzieści - zabawa z opiekunką. Dziesiąta - lekcje. - Zerknęła na Jamesa. - Czego mam je uczyć?

James wzruszył ramionami.

- Niech pani zacznie od początku. Alfabet, liczenie do dziesięciu, kolory. Proszę im poczytać. Wykazać się wyobraźnią.

Elizabeth kiwnęła głową na zgodę i czytała dalej:

- Jedenasta - lunch w pokoju dzieciennym. Dwunasta - drzemka. Czternasta - spacer w parku dla wszystkich, także Diamond.

- Pani Glenross pokaże pani, gdzie stoją wózki. Delia pójdzie z wami.

- Dobrze - zgodziła się Elizabeth. - Szesnasta - powrót do domu. Szesnasta trzydzieści - obiad. Osiemnasta - kąpiel. Dziewiętnasta - bajka na dobranoc. Dziewiętnasta albo dziewiętnasta trzydzieści - czas spać. - Elizabeth znów zerknęła na Jamesa, oczekując komentarza.

- Czasem zasypiają przed końcem bajki, czasem trzeba przerwać czytanie. Odzwyczajamy Emeraldę od mleka, ale zdarza się, że płacze, żeby dostać butelkę przed snem.

- To bardzo długi dzień - zauważyła Elizabeth. - I wypełniony mnóstwem obowiązków.

- Owszem - zgodził się James. - Obawiam się, że pani dzień będzie jeszcze dłuższy. Widzi pani, chociaż nie mamy innego rozkładu dnia dla Diamond, to trzeba ją nakarmić rano raz albo dwa. - Skrzywił się, mówiąc te słowa.

- Jak wcześniej? - chciała wiedzieć Elizabeth.

- Ja ją karmię, zanim pójde spać - odparł. - Potem zwykle budzi się koło drugiej lub trzeciej nad ranem.

Elizabeth ciężko westchnęła. Nic dziwnego, że James tak desperacko poszukiwał guwernantki. Nic dziwnego, że użył podstępu, pojechał po nią, a nawet zgodził się płacić jej pięćdziesiąt dolarów dziennie. Nic dziwnego, że jest taki zmęczony. Nic dziwnego, że jego żona zmarła. Taki plan dnia zabiłby konia.

Słyszając niepokój w głosie Elizabeth i widząc strach wypisany na jej twarzy, James próbował ją uspokoić.

- Pani Glenross i Delia pomogą pani w ciągu dnia, a ja w nocy. Zwykle jestem w domu po południu i kąpię dziewczynki, kładę je do łóżka i czytam im na dobranoc.

- To bardzo pocieszające - odparła.

Widząc, że sarkazmem Elizabeth stara się ukryć obawę, James spojrział na nią znacząco.

- Poza tym - dodał - moja obecność też powinna działać na panią uspokajająco.

- To wszystko? - spytała, spoglądając na kartkę zapisaną jego zdecydowanym charakterem pisma. Nagle poczuła się niezręcznie pod jego ciepłym, wyrozumiałym spojrzeniem.

- Świetnie sobie pani poradziła dziś rano, Elizabeth - podszedł do niej i uniósł jej brodę do góry, aby spojrzeć jej w oczy. Tym razem uległ impulsowi i korzystając z zaskoczenia, delikatnie przesunął kciukiem wzdłuż jej dolnej wargi. - Świetnie sobie pani poradziła. Jestem z pani naprawdę dumny - obniżył głos. - Proszę się nie martwić. Da sobie pani radę. Proszę zapomnieć, co mówiła pani babka, i postępować zgodnie z własnym rozsądkiem, a wszystko będzie dobrze - mrugnął do niej. - Jakieś pytania?

- Na pewno musi pan iść dziś do pracy?

Wyglądała tak ponętnie, kiedy stała przed nim bo-

so w koszuli nocnej, prosząc, żeby nigdzie nie wychodził, że James z trudem zwalczył pokusę, by pozostać w domu i nauczyć ją wszystkiego, co sam wiedział o dzieciach. Łącznie z tym, skąd się biorą. Zamiast tego uśmiechnął się tylko.

- Na pewno - odparł. - Cóż mam robić, skoro uparła się pani, żebym jej płacił tę niebotyczną sumę pięćdziesięciu dolarów dziennie. - Nie mogąc się opanować, nachylił się ku niej tak blisko, że prawie poczuł na sobie jej oddech. - Czas na mnie. A i pani powinna zapracować na swoją pensję.

- A i pan powinien pomyśleć o swojej - odcięła się Elizabeth. - Może się zdarzyć, że kiedy uporam się z dzisiejszym programem dnia, uznam, że pięćdziesiąt dolarów to mało!

James znów się roześmiał.

- Jeszcze jedno, Elizabeth.

- Co znowu? - spytała raczej niegrzecznie.

- Kolacja dla dorosłych będzie o ósmej - powiedział.

- I byłby to dla mnie ogromny zaszczyt, gdyby zechciała pani zjeść ze mną.

18

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytał Will, gdy James wrócił do jadalni.

- O czym? - James spojrzał na Willa, udając, że nie rozumie. Nie miał ochoty na rozmowę.

Will jednak nie dawał za wygraną:

- Nie próbuj mnie oszukać, Jamie. Nie umiesz kłamać. Znam cię zbyt długo. Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, po prostu powiedz: „Will, nie chcę o tym rozmawiać”.

- Will, nie chcę o tym rozmawiać - powtórzył James.

- Ale będziesz musiał - zdecydował Will. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłeś tak opryskliwy.

James zacisnął zęby i podrapał się w czubek nosa. Odetchnął z rezygnacją i zdjął szlafrok. Odwiesił go na oparcie krzesła i widząc, że poły garnituru zabrudzone są pudrem, zabrał się za czyszczenie.

- Skończyłeś śniadanie? - spytał Willa.

- Tak. - Will odsunął krzesło i wstał.

James spojrział na sufit.

- W takim razie chodźmy. Porozmawiamy w drodze do biura. Powiem tylko pani Glenross, że wychodzimy. - James poszedł do kuchni, gdzie Helen Glenross piła herbatę przy dużym dębowym stole.

- Śniadanie było pyszne jak zawsze.

- Dziękuję panu.

- Ruby uspokoiła się, kiedy dałem jej to czerwone naczynie. Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co, proszę pana.

Zwykle pani Glenross nie wtrącała się w sprawy służbowe swego pracodawcy, ale przeżył kilka bardzo ciężkich tygodni po tym, jak opuściła ich ostatnia „gubernantka”. Dziś chciała go upewnić, że tym razem dokonał mądrego wyboru.

- Jak poradziła sobie panna Sadler?

James uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie. Nie myliła się pani. Nie ma wielkiego doświadczenia z małymi dziećmi, ale dziś rano radziła sobie bardzo dobrze.

- Miło mi to słyszeć, proszę pana.

- Pan Keegan i ja wychodzimy do biura. Już pożegnałem się z dziewczynkami - powiedział. - I wyraźnie nakazałem im słuchać panny Sadler. Spisałem dla niej plan dnia dziewczynek. Jeśli będzie potrzebowała pomocy, zwróci się do pani. Musimy dać jej trochę czasu, żeby przyzwyczaiła się do nowych warunków i do Skarbów. Ale i tak bardzo panią odciążę. Byłbym jednak wdzięczny, gdyby zechciała pani pomóc jej przy Diamond. Panna Sadler czuje się przy niej niepewnie.

Pani Glenross kiwnęła głową.

- To całkowicie zrozumiałe. Dziewczyna z wyższych sfer, jaką z pewnością jest panna Sadler, nie mogła mieć wiele do czynienia z noworodkami.

- Rzeczywiście - zgodził się James. - Ale szybko wszystkiego się nauczy.

- Na pewno. Poza tym taka praktyka pewnie bardzo jej się przyda, gdy będzie miała własne dzieci.

James spojrzał zdziwiony na panią Glenross, jakby wcześniej nie przyszło mu nawet do głowy, że Elizabeth pewnego dnia opuści go, wyjdzie za mąż, będzie miała własne dzieci.

- Chyba tak.

Teraz Helen Glenross wyglądała na zdziwioną.

- Nie sądził pan chyba, że panna Sadler zostanie u nas na zawsze - potrząsnęła głową. - O, nie, ona szybko znajdzie sobie męża i będzie miała własną rodzinę. I choć nie ucieknie od pana jak ostatnia guwernantka ani nie będzie pan musiał jej zwalniać, mogę się założyć, że nie zostanie na dłużej.

James wiedział, że nie powinien przeciągać tej rozmowy, ale nie mógł się powstrzymać.

- A to dlaczego?

- Bo pewnego dnia i pan może się ożenić - odparła pani Glenross. - A żony zawsze zmieniają służących. Panna Sadler nie będzie chciała zostać w domu, w którym zacznie czuć się niepotrzebna.

Helen Glenross miała oczy. Nawet jeśli James sobie tego nie uświadamiał, wiedziała, dlaczego panna Sadler postanowiła zostać. Jeśli pan Craig się ożeni, panna Sadler natychmiast opuści jego dom. Helen Glenross zdążyła się zorientować, że Elizabeth Sadler wygląda, jakby się miała zaraz zakochać po uszy.

James odchrząknął i skierował się do drzwi.

- W takim razie nie wydaje mi się, żebyśmy mieli powody do zmartwień. Żadna porządna dziewczyna nie zechciałaby za męża kogoś z moją reputacją i czeremą chińskimi córeczkami.

- Kto wie, może znalazłaby się jakaś porządna młoda Chinka - odpowiedziała gospodyni żartobliwie.

James jednak odebrał jej słowa jako poważną sugestię. Popatrzył na lśniące czubki swoich butów.

- Nigdy więcej, pani Glenross.

- Mielśmy porozmawiać. - Will wydłużył krok, aby zrównać się z Jamesem. Odkąd wyszli z domu, jego przyjaciel nie odezwał się ani słowem.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- To bardzo niedobrze - pokręcił głową Will - bo coś cię gryzie, a ja chciałbym się dowiedzieć, co. W takim nastroju jesteś nie do zniesienia! Czym Beth tak bardzo cię zezłościła?

- Skąd ci przyszło do głowy, że moje kłopoty mają związek z Elizabeth? - zapytał rozdrażniony James.

Will wybuchnął śmiechem.

- A niby z czym? Jeszcze dwa dni temu byłeś Jamesem, jakiego znałem i kochałem jak brata. Dziś zachowujesz się jak ktoś obcy. Cóż jeszcze zdarzyło się w ciągu tego dnia, kiedy się nie widzieliśmy, poza tym, że zatrudniłeś nową piękną guwernantkę o imieniu Beth?

- Ona ma na imię Elizabeth - podkreślił James. - Tak jak Lilly Beth. Czy to imię coś ci przypomina?

- Ta kobieta z San Francisco? Z Russ House? Ta, o której wszyscy plotkują? - Will stanął na środku kamiennej drogi, która prowadziła z posiadłości Jamesa do biura Craig Capital Ltd, mieszczącego się tuż obok Banku Narodowego w Coryville.

- Ta sama.

- Zgroza! Po co ją tu ściągnąłeś?

- Jest guwernantką moich córek - przypomniał mu James.

- Po tym jak spędziłeś z nią noc w San Francisco - dodał Will. - Czy jesteś pewien, że postąpiłeś właściwie? Ile razy z nią spałeś? Co o niej wiesz?

- Spędziłem tylko jedną noc w jej towarzystwie. - Po chwili dodał - Dwie, jeśli liczyć wczorajszą.

- Właśnie o tym mówię. Wiem, że bardzo potrzebowałaś guwernantki, ale przecież nic o niej nie wiesz! Jak możesz zapraszać ją do swojego domu? I łóżka.

James westchnął.

- Spędziłem noc w jej pokoju w Russ House, ale to nie znaczy, że z nią spałem.

Will zerknął na Jamesa z niedowierzaniem.

- Przy śniadaniu wyglądała na wyjątkowo zadomowioną: w koszuli nocnej, lekko rozczochrana i bosa.

Czuła się jak u siebie, była tak naturalna, jakby nie raz jadła z tobą śniadanie. W intymnej atmosferze.

James roześmiał się.

- Twoim zdaniem czworo dzieci, gospodyni, dwie pokojówki i ty to intymna atmosfera?

Will mrugnął do Jamesa.

- Zaprosiła mnie do stołu, jakby miała do tego prawo. Jakbyś jej na to pozwolił. Co miałem myśleć? Inne twoje guwernantki nie schodziły na śniadanie w koszulach nocnych.

- To moja wina - przyznał James. - Popędzałem ją. Nie pozwoliłem jej na poranną toaletę, bo...

- Co? - spytał Will, chociaż dobrze wiedział, co zaraz usłyszy.

- Chciałem się upewnić, że coś zje.

- Dlaczego?

- Bo wczoraj wieczorem nawet nie tknęła kolacji. Myślałem, że... - przerwał i przeczesał palcami włosy. - Zresztą nieważne, co myślałem.

- Jamie, to, że nie zjadła kolacji, jeszcze nic nie znaczy - uspokajał go Will. - Wiesz, jakie są kobiety. Może dba o linię. Może nie była głodna. Może zjadła porządny obiad.

James potrząsnął głową.

- Nie. W miejskim więzieniu w San Francisco nie podają obiadu.

- Co? - Will nie wierzył własnym uszom.

- Nie mogłem na ciebie czekać. Wyjechałem do San Francisco bez ciebie, bo musiałem tam być, zanim policja ją aresztuje. Poprosiłem kilka osób o przysługę...

- James raczej wyczuł niż usłyszał sprzeciw Willa, i uniósł dłoń, aby powstrzymać nieunikniony wybuch.

- Natychmiast tego pożałowałem i zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby przyjechać do miasta, zanim policja ją aresztuje za kradzież mojej chusteczki.

- To dlatego zarządziłeś podstawienie ekspresu - przerwał mu Will.

- Owszem, ale i tak się spóźniłem. Wczoraj rano Skarby były nieznośne. Pani Glenross nie mogła sobie z nimi poradzić i musiałem zostać dłużej. Kiedy dotarłem do San Francisco, Elizabeth już siedziała w więzieniu, oskarżona o kradzież i zniszczenie mienia, bo nie miała pięćdziesięciu dolarów, żeby zapłacić grzywnę, którą wyznaczył sędzia Clermont - wyjaśnił James.

- Hola! - Will uniósł do góry dłoń. - Czyje mienie zniszczyła? - Potrząsnął głową. - Poczekaj, zacznij od początku.

James odetchnął głęboko i rozpoczął opowiadanie. Nie pominął niczego. Kiedy z brukowanej ulicy wchodził do budynku Craig Capital Ltd, Will wiedział o Elizabeth tyle co James.

- Tak to wygląda - podsumował James, stawiając teczkę na biurku. - Musisz mi pomóc w zdobyciu pewnych informacji. Teraz Lo Peng i Tongowie będą mnie obserwowali. Mógłbyś wykorzystać swoje kontakty, żeby dowiedzieć się, co właściwie stało się z bratem Elizabeth. Dlaczego zdecydowała się zdrzeć z Lo Pengiem.

James przysiadł na krawędzi biurka.

- A czy ona zdawała sobie sprawę, z kim zadziera? - spytał Will. Usiadł za dużym mahoniowym biurkiem.

- Nie - odparł James. - Przestrzegłem ją wprawdzie, żeby trzymała się z dala od Lo Penga i jego interesów, ale według mnie Elizabeth uważa go za zwykłego właściciela palarni opium. I dobrze. Nie chcę, żeby myślała inaczej.

- Uważam, że powinna wiedzieć, co jej grozi - sprzeciwił się Will.

- Może i powinna, ale na razie niech wszystko zostanie, jak jest - upierał się James. - Elizabeth, jak typowa Amerykanka, wolałaby nie kontaktować się z Chińczykami. Nawet jeśli nie zdaje sobie sprawy, jak groźnego ma w nim wroga, jest dość inteligentna, żeby na niego uważać. Może nawet się go boi. Jeśli Lo Peng dotrzyma słowa, a Elizabeth nie wejdzie mu w drogę, nic się jej nie stanie. Nie chcę jej niepotrzebnie straszyć, wyjawiając prawdę o Lo Pengu. To tylko potwierdzi jej uprzedzenia. Jej niechęć do Chińczyków mogłaby źle wpływać na jej stosunek do Skarbów.

Przypominając sobie zachowanie Elizabeth przy śniadaniu, Will stwierdził:

- Chyba nie powinieneś się tym martwić.

- Obyś się nie mylił - odparł James. - Ale nie widziałeś, jak wczoraj zareagowała na widok dziewczynek. Nie była w stanie ukryć wstrętu, bała się nawet podejść bliżej, nie mówiąc o dotknięciu ich.

- Wydaje mi się, że jakoś się z tym uporała przez noc - zauważył Will, wzruszając ramionami. Nie lekceważył ojcowskiej troski Jamesa, nie twierdził też, że James przesadza, relacjonując wczorajsze zachowanie Elizabeth, ale dziś rano przekonał się na własne oczy, jak niewiele zostało z jej uprzedzeń. - Jamie! Żaden z nas nie chciał dotykać małej... - przerwał na chwilę. - Jeśli miałbym być szczery, ja też miałem opory przed dotknięciem Ruby, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Nie dlatego, że nie jest biała, ale dlatego, że była taka malutka. Bałem się, że ją skrzywdzę. Nie przyszło ci do głowy, że reakcję Elizabeth mógł wywołać wiek dziewczynek, a nie kolor ich skóry?

Nie, nie przyszło mu to do głowy. Nie pomyślał, że jego córki są znacznie młodsze od dziewcząt, którymi Elizabeth zajmowała się w swojej szkole.

- Daj jej szansę, James - poradził mu Will. - Przecież nie każdy musi wiedzieć, jak obchodzić się z noworodkiem.

Will miał rację. Tego ranka okazało się, że Elizabeth nie umie ani przewinąć, ani nakarmić niemowlaka, ale przecież nawet on jeszcze trzy i pół roku temu nie miał pojęcia o tych sprawach. James oparł brodę na rękach i pokiwał głową.

- Zapomniałem o tym - zgodził się. - Ruby od tak dawna jest ze mną, że prawie nie pamiętam, jak wyglądało moje życie sprzed ery pieluch, butelek i guwernantek.

- Naprawdę nie pamiętasz, Jamie?

- Pamiętam - przyznał szczerze. - Czasem mam wrażenie, jakby to było wczoraj. Budzę się zlanym zimnym potem i przypominam sobie... - na chwilę głos uwiązł mu w gardle. - Przypominam sobie, jak wyglądało moje życie, zanim pojawiła się w nim Ruby. Wtedy przytomnieję w drzwiach pokoju dziecinnego w środku nocy, patrząc po prostu, jak śpi. Nigdy nie zapomnę. Nie potrafię.

- Wiem, Jamie. - Will wyprostował się, zdjął stopy z biurka i poklepał Jamesa po ramieniu. - Wiem.

Kilka chwil siedzieli w milczeniu, obaj zatopieni w myślach. Wreszcie Will przerwał tę ciszę.

- Wystarczy, jeśli wyjadę jutro rano? Może wolałbyś, żebym wyjechał jeszcze dziś po południu, zaraz po spotkaniu?

- Dopiero wróciłeś - przypomniał mu James.

- No i co? Ty też dopiero wróciłeś z San Francisco - powiedział Will. - A poza tym jeśli mam się czegoś

dowiedzieć o wydarzeniach sprzed tygodni, a nawet miesięcy, lepiej, żebym zaczął jak najszybciej, zanim ślady całkiem się zatra.

- Czy ten twój przyjaciel nadal pracuje w „Kronice”? - spytał James.

- Tak - potwierdził Will. - Mój przyjaciel lubi zabawić damy, ale mu się nie przelewa. Sądzę, że ta informacja będzie mnie kosztowała kilka biletów do teatru, parę butelek dobrej brandy i szampana.

James rozłożył ramiona.

- Moja piwnica jest twoją piwnicą. Z przyjemnością zwrócę ci za bilety, hotele, cokolwiek...

Will mrugnął do niego.

- Będę o tym pamiętał.

James potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Jestem ci winien przeprosiny za swoje dzisiejsze zachowanie. Nie wiem, co mnie napadło.

Will roześmiał się.

- Ale ja wiem. Przypominają mi się dawne czasy, tylko że tym razem ona ma mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu, złotobrazowe włosy, niezwykle oczy i gorący temperament.

- Nie mój typ - tym razem James uśmiechnął się smutno. - Nie rozumiem, co się dzieje.

- Dość już wycierpiałeś, Jamie. Zapłaciłeś zbyt wysoką cenę za swoje wyimaginowane grzechy. Może czas na zmianę.

Elizabeth wzięła czystą pieluchę ze stosiku ułożonego na biurku i położyła ją na cienkiej bawełnianej poszewce, przykrywającej upraną bieliznę. Otworzyła pojemnik z pudrem i postawiła go w zasięgu ręki, przygotowała też wilgotną chusteczkę. Dopiero potem poszła do noworodka.

- Może potrzebuje pani pomocy? - krzyknęła Delia z pokoju dziecinnego, gdzie przecierała mały okrągły stolik i ustawiała na nim miseczki. Pani Glenross miała zaraz podać dzieciom ryż z kurczakiem.

Pomocy? Elizabeth nie potrzebowała pomocy. Ona potrzebowała wybawienia. Ale nie zamierzała mówić o tym Delii. Zamiast oddać dziewczynie pieluchę, chusteczkę i puder, jak zrobiłby każdy na jej miejscu, Elizabeth odpowiedziała:

- Nie, dziękuję, Delio. Skończ nakrywać do stołu.

Pochyliła się nad kołyską i uniosła dziewczynkę, ostrożnie podtrzymując jej główkę, tak jak robił to James. Zniosła ją na biurko.

- Poradzimy sobie, prawda, Diamond? - Elizabeth zacisnęła usta i przygotowała się do pierwszego starcia. - Poradzimy sobie.

Ku zdziwieniu, ale i wielkiej radości Elizabeth, Diamond wcale nie protestowała. Cierpliwie znosiła niezręczność nowej opiekunki.

Elizabeth poczuła, że wraca jej pewność siebie, gdy udało jej się zmienić pieluchę. Zabrała się więc za zmianę kaftanika, wkładając na jego miejsce nową, białą bawełnianą bluzeczkę. Podniosła Diamond z biurka i umieściła ją w zgięciu lewego ramienia. Prawą ręką sprawnie pozbierała brudne ubranka i wrzuciła je na stos rzeczy do prania. Chciała jak najszybciej pochwalić się przed kimś swoim sukcesem. Nucąc pod nosem jakąś melodię i kołysząc Diamond, przeszła do pokoju dziecinnego.

- Szybko pani poszło - skomentowała Delia, widząc ją w drzwiach.

- Owszem - triumfalnie przyznała Elizabeth. - Zmieniłam jej pieluchę, a ona nawet się nie obudziła.

- Miała pani szczęście - powiedziała Delia. - Nie wszystkie dzieci są takie grzeczne. Moja mama zawsze powtarza, że nie obudzi śpiącego dziecka tylko po to, żeby mu zmienić pieluchę. - Obeszła stół dookoła, ustawiając na nim drewniane miseczki i kładąc łyżki. - Poza tym nie warto ich przewijać co kilka minut, skoro i tak po odstawieniu od piersi albo po przebudzeniu znów się zmoczą. Zwykle najmłodszym mama nawet nie zakłada pieluchy.

- Chodzą nago? - Elizabeth była zszokowana. - Po domu?

- Oczywiście, że po domu. Maluchy są za małe, żeby wychodzić na dwór. Dzięki temu, że chodzą bez niczego, oszczędzamy na praniu. - Jeszcze raz wzruszyła ramionami, jakby to było normalne, że dzieciom każe się biegać nago, żeby nie brudziły bielizny.

- A łóżka? Jeśli nie noszą pieluch, czy nie brudzą pościeli?

Delia potrząsnęła głową.

- Nie. Maluchy nie śpią w łóżkach. Mama rozkłada im gazety na podłodze w kącie i tam śpią.

- Ile ich jest? - spytała Elizabeth.

Delia zastanowiła się.

- Jest mama i nas ośmioro. Mam starszego brata i sześcioro młodszego rodzeństwa. Moja kuzynka Rose i jej dziecko też mieszkają z nami.

Elizabeth otworzyła usta ze zdziwienia. Nie mieściło jej się w głowie, że w jednej rodzinie może być aż ośmioro dzieci, a właściwie dziewięcioro, jeśli doliczyć malucha kuzynki Rose. Nie była też w stanie wyobrazić sobie, jak wiele obowiązków miała najstarsza z dziewczynek, Delia, mimo że nie skończyła jeszcze czternastu lat.

- A gdzie jest twój ojciec?

- Umarł dwa lata temu, proszę pani. Przeziębił się i umarł. - Delia zadrżała na samo wspomnienie. - Proszę sobie wyobrazić potężnego, silnego mężczyznę, który umiera na przeziębienie po przebyciu całej prairii w czasie budowy linii kolejowej z Missouri. Mówię pani, że moja mama do dziś się z tym nie pogodziła. Tata umiera i zostawia nas samych w Coryville. Jak już miał umierać z przeziębienia, czemu nie zrobił tego w domu w Irlandii? Po to przyjeżdżał do tej ziemi obiecanej? - Odwróciła się, by spojrzeć na Elizabeth. - Już dzwoniłam na lunch. Annie zaraz się tu zjawi.

- Czy Annie przyniesie też butelkę dla Diamond? - chciała wiedzieć Elizabeth.

- Jeszcze nie, proszę pani - odpowiedziała Delia. - Diamond je dopiero po lunchu, kiedy pozostałe dziewczynki leżą. Akurat wtedy budzi się głodna. Ale wie pani, jak to jest z niemowlętami - wzruszyła ramionami. - Jak zaczną marudzić, może ją pani zabrać

na dół do kuchni. Pani Glenross naszykuje jej butelkę w mgnieniu oka. Budzi się już?

- Ależ nie - zapewniła ją Elizabeth. - Śpi jak aniołek. Delia uśmiechnęła się.

- Di jest bardzo grzeczna. Wesoła i cicha prawie przez cały czas. Nie to co ta pszczołka. - Delia wskazała na Ruby, która akurat głośno kłóciła się z Garnet o drewniane klocki. Potem Ruby podeszła do małej umywalki w kącie, odkręciła kran i zmoczyła ściereczkę. Kilkakrotnie odkręcała i zakręcała kran, przyglądając się z zaciekawieniem strumieniowi bieżącej wody.

- Od jak dawna tu pracujesz? - spytała Elizabeth.

- Kilka tygodni - odparła Delia. - Pan Craig zatrudnił mnie do pomocy dla ostatniej guwernantki.

- Pan Craig cię zatrudnił?

- Tak - potwierdziła dziewczyna. - Najpierw wcale nie chciał. Powiedział, że jestem za młoda, żeby pracować, ale mama przekonała go, że potrzebujemy pieniędzy.

- Czemu pan Craig nie zatrudnił twojej mamy jako guwernantki? Czemu ona nie pracuje?

- Ależ pracuje - zapewniła ją Delia. - Pierze i prasuje tu w posiadłości pana Craiga i w kilku innych szanowanych rodzinach. Moja mama i Rose piorą i prasują, i zajmują się dziećmi. Gdyby mama była guwernantką, kto opiekowałby się dziećmi u nas w domu? Dziewczynki! - Delia zawołała Skarby. - Czas umyć ręce i siadać do stołu.

Elizabeth nie miała ochoty rozstawać się z Diamond, ale wiedziała, że powinna pomóc Delii. Zabrała Di do sypialni i delikatnie ułożyła ją w drewnianej kołysce. Potem przeniosła kołyskę do pokoju dziecięcego i ustawiła w pobliżu.

- Będzie miała pani szczęście, jeśli mała prześni

lunch - stwierdziła Delia, biorąc Ruby za rękę. Już miała zacząć myć jej buzię, gdy Elizabeth zawołała:

- Poczekaj!

- O co chodzi, proszę pani?

Elizabeth wyjęła czystą chusteczkę z szuflady, zmoczyła i wręczyła Delii.

- Weź tę.

- Dlaczego?

- Tamtą wycierałaś stół - wyjaśniła Elizabeth.

- Co z tego?

- Jest brudna.

- Tak samo jak buzia panienki Ruby - upierała się Delia.

Elizabeth roześmiała się.

- Wiem. Ale myślę, że powinnaś używać innej ściereczki do wycierania brudnego stołu i innej, czystej, do mycia buzi i rąk dziewczynek. - Wyciągnęła rękę po brudną chusteczkę.

- Dla mnie to marnotrawstwo - mruknęła Delia, myjąc buzię i rączki Ruby. - Brudne to brudne. Teraz mama i Rose będą miały więcej roboty.

Elizabeth wyciągnęła kolejną chusteczkę z szuflady, zmoczyła ją i zawołała Emeraldę i Garnet.

- Od dziś będziemy używały osobnych chusteczek do wycierania twarzy i innych do stołu. Będziemy też zmieniać ubrania i pieluchy, jak tylko zorientujemy się, że są brudne - dodała, przypominając sobie, jak niezręcznie czuła się dziś rano w nieświeżej koszuli nocnej i jak wielką miała ochotę wykąpać się i przebrać w swój ulubiony szlafrok. - Skarby nie będą chodziły brudne. Moja babka powtarzała, że czystość i pobożność zawsze idą z sobą w parze.

- Za przeproszeniem, proszę pani - wtrąciła Delia, zerkając na elegancką suknię Elizabeth i jej delikatne białe dłonie. - Pani babka prawdopodobnie miała ciepłą i zimną wodę w kranie. Na pewno zatrudniała do prania kogoś takiego jak moja mama.

Elizabeth zastanowiła się przez chwilę.

- Więc spójrz na to inaczej, Delio: im więcej ubrań do prania, tym więcej twoja mama i Rose zarobią.

Delia zmarszczyła brwi.

- To nie tak, proszę pani. Mama i Rose dostają stałą tygodniówkę bez względu na ilość prania.

Elizabeth pstryknęła palcami i uśmiechnęła się szeroko.

- Wobec tego porozmawiam z panem Craigiem o podwyżce dla twojej mamy i dla Rose.

- Naprawdę? - Oczy Delii wypełniło bezgraniczne uwielbienie.

- Oczywiście - zapewniła ją Elizabeth, schylając się i przecierając buzie i rączki Garnet i Emeraldy. - Dzieci brudzą więcej ubrań niż dorośli, więc to naturalne, że praczki powinny dostawać specjalną premię.

- Och, proszę pani - wykrztusiła Delia. - Jeśli zrobi to pani dla mnie i dla mamy, z przyjemnością będę częściej przewijała Skarby i brudziła więcej ściereczek.

- W porządku - zakończyła Elizabeth. - Ja dotrzymam słowa, ty zrób to samo. - Elizabeth uznała, że jeśli James Cameron Craig nie zgodzi się na podwyżkę, poprosi go o zaliczkę na poczet swojej pensji i sama zapłaci mamie i kuzynce Delii.

Wyciągnęła smoczek z buzi Diamond i odstawiła pustą butelkę na stół przy fotelu bujanym. Ułożyła so-

bie śpiącą dziewczynkę na ramieniu i delikatnie poklepała ją po plecach. Kiedy niemowlęciu się odbiło, Elizabeth zaniósła je do kołyski i położyła na boku. Przez chwilę przyglądała się śpiącemu dziecku. Potem wyprostowała się i wyciągnęła ramiona wysoko nad głową, przeciągając się, by ulżyć obolałym mięśniom.

Wszystkie dziewczynki zdażyły już mocno zasnąć.

Elizabeth uśmiechnęła się z satysfakcją. Czas między śniadaniem a drzemką minął nie wiadomo kiedy. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem Jamesa: siódma rano - śniadanie; ósma trzydzieści - zabawa; dziesiąta - lekcje. Dzisiaj, na pierwszej lekcji, śpiewały piosenki o alfabetcie, uczyły się kilku nowych o liczeniu i kolorach. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak chętnie śpiewały Garnet i Emerald, nawet Ruby włączała się od czasu do czasu. Ruby. Elizabeth pochyliła się nad kołyską i delikatnie naciągnęła kocyk na ramie i plecy Diamond. Ruby. Nie uszło uwagi Elizabeth, że Ruby niechętnie brała udział we wspólnym śpiewaniu, i grach, które przygotowała. Wyraźnie zachowywała rezerwę. Nie chciała nikogo słuchać, chciała rozkazywać. Elizabeth zmarszczyła brwi. Najwyraźniej Ruby jej nie lubiła. Zdała sobie sprawę, że tak długo, jak długo Ruby jej nie zaakceptuje, Garnet i Emerald nie zawsze będą takie grzeczne.

Elizabeth jeszcze raz poklepała Diamond i odgarnęła jej włoski z czoła. Przez chwilę słuchała uważnie spokojnego oddechu dzieci, potem przymknęła drzwi. Poradziła sobie. Przetrwiała pierwszy poranek w pracy. Zasłużyła na dwugodzinną przerwę.

Postanowiła, że w tym czasie rozpakuje do końca swoje rzeczy. Bieliznę włożyła do górnej szuflady. Zajrzała do walizy i wyjęła z dna swoją najukochańszą rzecz. Portia.

Jak mogła o niej zapomnieć? Wstrzymała oddech, odwijając kilka warstw materiału, w który zawinęła lalkę. Z porcelanowej twarzy popatrzyły na nią niezwykle błękitno-zielone oczy. Elizabeth niespokojnie przesunęła palcami po malowanej twarzy lalki, szukając zadrapań i pęknięć. Nie znalazła żadnych uszkodzeń, więc mocno przytuliła. Portię. Poczuła tę samą falę ciepła i miłości, jaka ogarnęła ją, gdy pewnego ranka ojciec podarował jej tę zabawkę, Portia miała uciszyć jej niepokój wywołany narodzinami braciszka. Chociaż nie wolno jej było bawić się tak kosztowną lalką, Elizabeth pokochała ją od pierwszego wejrzenia. Uważała ją za swoją siostrę bliźniaczkę. Wiedziała, że ojciec wybrał tę akurat lalkę, bo była bardzo podobna do jego córki. Portia została najbliższą przyjaciółką Elizabeth i najdroższą powiernicą. Elizabeth odgarnęła jasnobrązowe włosy lalki, lekko potargane po podróży. Najważniejsze chwile swojego dzieciństwa spędziła, rozmawiając z Portia, zwierając się jej ze swoich najskrytszych marzeń i tajemnic. Teraz zdała sobie sprawę, że lalka była jedyną rzeczą, jaką zabrała, opuszczając dom babki.

Westchnęła ciężko.

- Proszę pani?

Pukanie do drzwi i głos Delii przestraszyły ją. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Słucham?

- Skończyłam jeść i pani Glenross przysłała mnie, żebym popilnowała dzieci, żeby pani zeszła na lunch.

- Skarby już śpią - odparła Elizabeth, powstrzymując ziewnięcie.

- Wiem, proszę pani. Ale pan Craig nie lubi, żeby dzieci były same. Posiedzę przy nich i poceruję trochę. Proszę iść. Pani Glenross czeka na panią.

Elizabeth pokręciła głową.

- Dziękuję, Delio, ale nie jestem głodna. - Spojrzała tęsknie na łóżko. - Myślę, że daruję sobie lunch i trochę się zdrzemnę.

Delia była niemal zszokowana.

- Nie, proszę pani. Nie wolno.

- Nie wolno mi się zdrzemnąć?

- Oczywiście, że wolno - odparła Delia. - Ale pan Craig nalega, żeby wszyscy mieszkańcy tego domu jedli co najmniej trzy posiłki dziennie.

- Nawet jeśli nie jestem głodna?

Delia kiwnęła głową.

- Tak.

- Ale dlaczego?

Młodziutka pokojówka wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Ale tu wszyscy jedzą trzy razy dziennie. To jedna z zasad obowiązujących w domu pana Craiga.

Elizabeth nie była przyzwyczajona do jedzenia trzech posiłków dziennie. W Akademii dla Dziewcząt Lady Wimbley serwowano tylko śniadanie i obiad. Właścicielka zrezygnowała z lunchu dla personelu i uczniów, szukając oszczędności. Tylko sama lady Wimbley miała przywilej spożywania lunchu. O lunchach, na które zapraszani byli rodzice i filantropi, krążyły legendy.

- Czy obowiązują tu jeszcze jakieś zasady?

Delia przestąpiła z nogi na nogę i spojrzała na firanki trzepoczące na wietrze. Drzwi na balkon były otwarte.

- Skarbów trzeba pilnować bez przerwy, a drzwi balkonowe w pokoju guwernantki muszą być dokładnie zamknięte, kiedy dziewczynki są w pokoju dziecięcym - wyjaśniła niechętnie.

- Ach, tak. - Elizabeth zamknęła drzwi.

- Pan Craig na pewno zapomniał pani o tym powie-
dzieć.

Elizabeth zerknęła na podenerwowaną Delię i we-
soło wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że złamanie jednej zasady dziennie wystar-
czy - uśmiechnęła się do dziewczyny. - Dziękuję, że
przypilnujesz Skarbów, kiedy zejdę na lunch.

- Dziękuję, proszę pani - wyrzuciła z siebie Delia. -
Bo naprawdę nie chciałabym znów przyzwyczajać się
do następnej guwernantki, no i stracić pieniędzy, któ-
re pan Craig dzięki pani zapłaci mamie i Rose.

Elizabeth zastanowiła się.

- Skoro pan Craig tak duży nacisk kładzie na prze-
strzeganie zasad, nie będziemy go martwić i mówić
mu, jak mało brakowało, żebym je złamała.

- Dobrze, proszę pani - zgodziła się Delia. - Bo pan
Craig nie pozwoli, żeby coś złego przydarzyło się
Skarbom, i nie pozwoli, żeby ktokolwiek w jego do-
mu był głodny. Nikt w jego domu nie zagłodzi się na
śmierć. Proszę już iść, zanim jedzenie pani wystygnie.
Przypilnuję dziewczynkę.

20

Rozległy się trzy uderzenia dzwonu Pierwszego
Protestanckiego Kościoła Episkopalnego, ogłaszając
koniec lekcji. Elizabeth przyglądała się, jak otwierają

się podwójne drzwi świątyni i po schodach wybiegają dzieci, kierując się w stronę parku.

Elizabeth, Delia i Skarby podążyły za nimi. Po raz pierwszy Elizabeth miała okazję zobaczyć miasto w świetle dnia. Szybko zorientowała się, że Coryville powstało na planie kwadratu. Ulica Główna biegła wokół rozległego parku otoczonego czarnym żelaznym ogrodzeniem. Z posiadłości Jamesa przez żelazną bramę do parku prowadziła brukowana ścieżka, którą można było obejść park dookoła. Wzdłuż ścieżki stały żelazne ławki i latarnie ustawione co pięć metrów. Już raz obeszyły główny plac miasteczka. Elizabeth wysłała list do kamieniarza, pana Dormineya, ze swoim nowym adresem i prośbą, aby przesłał jej rachunek po ustawieniu pomnika na grobie Owena. Potem wyruszyła do parku. Zatrzymała się przy jednej z ławek. Pozwoliła Delii puścić swobodnie Ruby, a Emeraldzie i Garnet wyjść z ich podwójnego wózka.

Dała znać Delii, że może zabrać dziewczynki na plac zabaw. Sama usiadła na ławce i lekko poruszała wózkiem, aby i Diamond zapewnić jakąś atrakcję.

Coryville było pięknym miasteczkiem, pełnym zieleni, drzew, brukowanych uliczek, lamp i żelaznych ogrodzeń. Bardzo różniło się od miast, które mijała w czasie podróży do San Francisco. Przeszył ją zimny dreszcz wywołany podmuchem kwietniowego wiatru. Spojrzała na wznoszące się na horyzoncie ponad miastem ośnieżone szczyty gór. Wybudowane w dolinie Coryville równie dobrze mogło być jednym z alpejskich miasteczek, o których tyle słyszała. Elizabeth otuliła się mocniej wełnianą peleryną i sprawdziła, czy Diamond jest dobrze przykryta. Ruby i Garnet na pewno nie marzły, bawiąc

się z Delią w berka. A ciepło opatulona Emeraldalida siedziała kilka kroków dalej w piaskownicy zajęta przesypaniem piasku z większej do mniejszej foremki.

Słyszając radosne piski i śmiech dziewczynek, Elizabeth nabrała ochoty, aby się z nimi pobawić. Zawołała Delię i zaproponowała zamianę. Delia podbiegła do ławki i usiadła, żeby odpocząć.

Elizabeth chciała ustawić dziewczynki w kółeczko i wyciągnęła dłoń, żeby wziąć Ruby za rękę. Ta jednak cofnęła się i schowała rękę za siebie.

- Co się stało, Ruby? - spytała Elizabeth, przykłękając na trawie i patrząc dziewczynce w oczy. - Nie chcesz się już bawić?

- Nie!

Ciemne oczy Garnet wypełniły się łzami, a jej usta wykrzywiły się w podkówkę.

- Może chcesz się pobawić w coś innego? - nie dawała za wygraną Elizabeth.

- Nie będę się z tobą bawić - oznajmiła Ruby. - Chcę Delię.

Elizabeth aż się cofnęła, słysząc stanowczy ton dziewczynki. Słowa Ruby bardzo ją zabolowały. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić i powstrzymać łzy.

- Rozumiem - odparła ze spokojem.

Powoli podniosła się z klęczek i podeszła do Delii.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli ty pobawisz się ze starszymi dziewczynkami. Ja przypilnuję młodszych.

- Czemu, proszę pani? - zdziwiła się Delia.

- Bo Ruby woli bawić się z tobą.

Delia wstała z ławki i podeszła do Ruby.

- O co ci chodzi? Przestań być niegrzeczna dla panny Elizabeth i pozwól jej też się pobawić.

- Nie - Ruby pokręciła głową. - Nie lubię panny Lizabeth. Lubię ciebie - oznajmiła.

- Ruby! Nie mów tak.

- Nic się nie stało, Delio - rzekła uspokajająco Elizabeth, choć czuła pieczenie pod powiekami. - Ruby ma prawo mieć własne zdanie. Jeśli mnie nie lubi i nie chce się ze mną bawić, to trudno.

- Cholera jasna! - James wyglądał przez okno wychodzące na park. Z wysokości dwóch pięter przyglądał się, jak jego ukochana władcza Ruby prowadzi wojnę nerwów z nową guwernantką.

- Co się stało? - spytał Will.

- Ruby - odparł James. - Chodź, sam zobacz.

Will wstał i podszedł do biurka Jamesa. Stał obok niego przy oknie. Cztery córki Jamesa, ich nowa guwernantka i Delia bawiły się w parku.

Dokładniej mówiąc, Ruby, Garnet i Delia bawiły się w berka na trawie, Emeraldą siedziała w piaskownicy, a Elizabeth na ławce, kołysząc wózek stopą.

- Co się stało? - powtórzył Will.

- Ruby nie chce się bawić z Elizabeth - z rezygnacją w głosie wyjaśnił James. - Obawiałem się, że tak będzie - przyznał. - Że Ruby nie zaakceptuje ani Diamond, ani nowej guwernantki.

- Ciągle zazdrosna, co? - zachichotał Will, wiedząc, że dziewczynka lubi rządzić w pokoju dzieciennym i owijać sobie wszystkich wokół swego niedużego paluszka.

- I to bardzo. - James przeczesał palcami włosy i pokręcił głową. Znowu zerknął za okno. Elizabeth wyprostowała się i ukradkiem wytarła oczy wierzchem dłoni. Nie mógł tego wiedzieć, ale wyczuł, że wrogość Ru-

by bardzo zraniła Elizabeth. Odwrócił się od okna i skierował do drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytał Will.

- Sprawdzić, jak sobie radzi Elizabeth. Muszę porozmawiać z Ruby - odpowiedział James, rozdarty pomiędzy miłością do córki i pragnieniem, żeby pocieszyć Elizabeth.

- Nie spodoba się jej, że się wtrącasz.

James zatrzymał się, słysząc słowa Willa.

- Nie, nie spodoba się jej - zgodził się. - Ale Ruby musi zrozumieć, że powinna szanować Elizabeth.

- Elizabeth sama musi nauczyć Ruby szacunku do siebie. W przeciwnym razie jej pozycja wśród dziewczynek będzie bardzo słaba.

- Wiem - przyznał James. - Wiem. Ale...

- Daj spokój, Jamie. - Will poklepał go po plecach.

- Chodź, im szybciej uporamy się z tymi kontraktami, tym szybciej będę mógł jechać do miasta i dowiedzieć się, co się właściwie stało z bratem Elizabeth.

James nie odezwał się już. Wrócił do biurka i otworzył teczkę z kontraktami z Central Pacific.

Elizabeth zerknęła na złoty zegarek przypięty do sukni. Z kieszeni wyciągnęła przygotowany przez Jamesa program dnia dla dziewczynek. Przeczytała go ponownie. Jeszcze godzinę miały spędzić na świeżym powietrzu. Potem powrót do domu i kąpiel przed kolacją.

Wyjęła marudną Diamond z wózka. Przykryła jej główkę miękkim wełnianym kocykiem i mocno przytuliła, delikatnie kołyszając. Do ławki podeszła młoda jasnowłosa kobieta z dwojgiem małych dzieci. Elizabeth przesunęła się, aby zrobić jej miejsce.

- Dzień dobry. - Elizabeth przełożyła Diamond na lewe ramię, uśmiechnęła się do kobiety i wyciągnęła rękę na powitanie. - Nazywam się Elizabeth Sadler.

Nieznajoma prawie szeptem odesłała dzieci do piaskownicy.

Zmierzyła Elizabeth wzrokiem.

- Nie widziałam pani wcześniej. Musi pani tu być od niedawna?

- Owszem - potwierdziła Elizabeth. - A pani nazywa się...

- Lois Marlin - odparła blondynka. - Żona Josepha Marlina. To Deborah - wskazała na dziewczynkę. - A to Joseph Junior - wyciągnęła dłoń w kierunku chłopca, siedzącego już przy Emeraldzie w piaskownicy. - Joseph Junior! - krzyknęła do syna. - Odsuń się. Przecież mówiłam ci, żebyś trzymał się z dala od tej małej Chinki.

Elizabeth zeszywniała i mocniej przytuliła Diamond.

Lois Marlin udawała, że tego nie widzi. Kiedy skończyła wydawać polecenia synowi, znów zwróciła się do Elizabeth.

- Mieszkamy w Coryville od dawna. Mój mąż jest...

- Prawnikiem - wtrąciła Elizabeth. - Przechodziłam koło jego biura, spacerując z dzieckiem.

Lois Marlin nachyliła się nad nią.

- Mogę zobaczyć dziecko?

- Oczywiście. - Elizabeth ułożyła Diamond w zgięciu lewego łokcia.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczynka - z dumą odpowiedziała Elizabeth, odsłaniając twarzyczkę Diamond, aby kobieta mogła jej się przyjrzeć.

- Boże! - wykrzyknęła Lois Marlin. - Następna żółta poganka!

- Słucham? - Elizabeth nigdy nie słyszała takiego określenia, ale nie brzmiało zbyt przyjaźnie. Wyczuła, że Lois Marlin często go używała.

- Chinka. Dobry Boże, tylko niech pani nie mówi, że to pani dziecko! - Kobieta odsunęła się. - Chyba nie wyszła pani za... jednego z nich? - zapytała wzburzona, ale i zaciekawiona.

- Diamond jest najmłodszą córką pana Craiga - chłodno odparła Elizabeth. - Jestem ich guwernantką.

- Naprawdę? Od kiedy panią zatrudnił?

- Nie zatrudnił mnie - odpowiedziała Elizabeth. Nie spodobał jej się wyniosły ton i niegrzeczne pytanie kobiety. - Jestem przyjaciółką domu. Zaraz po śmierci żony pan Craig prosił, żebym przyjechała. - Skrzyżowała palce ukryte w kocyku i pomodliła się, aby Bóg wybaczył jej te drobne kłamstewka. Elizabeth nie zamierzała pozwolić, by Lois Marlin myślała, że wie wszystko o Jamesie. - Musiała pani o tym słyszeć.

- Dlaczego tak długo to trwało? - Pani Marlin nie kryła zdziwienia.

- Nie rozumiem.

- Żona Jamesa Camerona Craiga zmarła ponad trzy lata temu.

Teraz Elizabeth zaniemówiła z zaskoczenia. Ponad trzy lata temu? Ruby miała trzy i pół roku. A więc to jej mama zmarła? A co z Garnet i Emeraldą? Gdzie jest ich matka? A matka trzydniowej Diamond? Co się z nimi stało?

- Statek się rozbił? Była pani na bezludnej wyspie? - dopytywała Lois.

Elizabeth gorączkowo szukała wykrętu. To właśnie

jedyny problem z drobnymi kłamstewkami. Jedno po-
ciąga za sobą następne i ani się człowiek obejrzy,
a opleciony jest utkaną z nich pajęczyną.

- Ależ skąd. Nie wydarzyła się żadna tragedia. Wi-
dzi pani, mój ojciec i rodzina pana Craiga zajmują się
bankowością i finansami. - To była prawda. - I odkąd
pamiętam, zawsze wspólnie robili interesy. - Teraz Eli-
zabeth przybrała plotkarski ton dziewczyny dopiero
wchodzącej do towarzystwa. - Właśnie zaczęłam studia
w akademii, gdy pan Craig zwrócił się do mojej babki
z prośbą, żebym przyjechała do niego zaraz po skoń-
czeniu nauki i roku studiów w Europie. Jego żona jesz-
cze wtedy żyła. Ale ja postanowiłam przedłużyć swój
pobyt w Europie, żeby skończyć kurs historii sztuki
w Watykanie i Atenach oczywiście. A kiedy wróciłam
do Stanów, chcąc skorzystać z jego zaproszenia, James
- to znaczy pan Craig - był już wdowcem.

- Czy pani rodzina nie bała się przysłać pani tutaj?
Pani się nie boi?

- Czego?

- Pana Craiga - wyszeptała Lois. - Jamesa Camero-
na Craiga, oczywiście.

- Dlaczego miałabym się go bać? Jest przyjacielem
rodziny, szanowanym biznesmenem i dżentelmenem
o nienagannych manierach.

- Tylko wydaje się być szanowanym biznesmenem
i dżentelmenem - sprostowała Lois. - Ale pozory my-
lą. On jest przestępcą.

- Niech pani nie mówi bzdur - przerwała jej Eliza-
beth. - Pan Craig nie jest przestępcą.

- Ależ jest - upierała się Lois. - Teraz już wszystko uci-
chło. Pani była w Europie, a pani rodzina pewnie nie

przejęła się zbyt nią sprawą, bo przecież ona była Chin-
ką. Ale James Craig nie przyjechał do Kalifornii dlatego,
że chciał, ale dlatego, że musiał uciekać przed karą.

- Karą za co? - Elizabeth nie wierzyła w ani jedno
słowo Lois Marlin, ale ciekawość wzięła górę.

- Zabił swoją żonę - wyszeptała Lois. - Własnymi
rękami.

- Nie wierzę - chłodno odparła Elizabeth. James Ca-
meron Craig nie mógł być mordercą. Był zbyt cierpli-
wy, zbyt wyrozumiały. Zbyt kochający. Nie mógłby
zabić matki swojego dziecka. Oskarżenie wydało jej się
niedorzecznością. Za bardzo kochał Ruby. Prawdziwą
ojcowską miłością, w której nie było nawet cienia po-
czucia winy. James nie mógłby spojrzeć Ruby w oczy,
gdyby zrobił coś równie okropnego. - Nie znam wie-
lu mężczyzn tak szczerze i bezinteresownie lubiących
kobiety i dzieci jak pan Craig.

- Co z tego? - Lois nie spodobał się wyniosły ton
Elizabeth. - Wszyscy wiedzą, że ma słabość do Chi-
nek. Jego żona była Chiną, a w Chinatown z pewno-
ścią ma co najmniej dwie kochanki. - Wskazała na rząd
budynków wznoszący się za ulicą Główną po prawej
stronie placu. - Inaczej skąd by się brały te dzikusy?

- Jak pani śmie sugerować... - głos Elizabeth drżał
od powstrzymywanej wściekłości.

- Ja niczego nie sugeruję - przerwała jej Lois. - Mówię
prawdę. Wszyscy w mieście o tym wiedzą. Jak mi pani nie
wierzy, niech go pani sama zapyta. Proszę go zapytać, co
się stało z jego żoną. Proszę go zapytać, jak umarła.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zadać pa-
nu Craigowi tak osobiste i bolesne pytanie - powie-
działa Elizabeth chłodno.

- Ależ zapyta go pani - z uśmiechem zapewniła ją Lois. - Zapyta pani. Z czystej ciekawości. Ale lepiej niech pani posłucha mojej rady i odejdzie, póki jeszcze pani może. Wszystkie guwernantki szybko rezygnowały ze strachu. Jak pani myśli, czemu on do dziś się nie ożenił? Chyba nie sądzi pani, że gdyby wszystko było w porządku, tak przystojny i bogaty mężczyzna wciąż pozostałby samotny w mieście pełnym niezamężnych kobiet?

Elizabeth wstała, schyliła się i delikatnie włożyła Diamond do wózka. Dała Delii znak ręką, żeby przeprowadziła dziewczynki.

- Wydaje mi się, że rozumie pani rzeczy na opak - słodkim tonem oznajmiła Elizabeth. - Nie wydaje mi się, żeby pan Craig żył samotnie dlatego, że kobiety w Coryville się go boją, bo zabił już jedną żonę. Przecież jego żona była tylko żółtą poganką. Myślę, że pan Craig nie zdecydował się na ponowne małżeństwo, bo choć żyje w mieście pełnym niezamężnych kobiet, to słusznie obawia się, że są równie ograniczone jak pani.

- Coś podobnego! - Lois Marlin zerwała się na równe nogi, czerwona z wściekłości.

Elizabeth chwyciła wózek i podeszła do piaskownicy, by wyratować Emeraldę, wrywającą się właśnie z objęć Josepha Juniora, który pokrywał jej buzię mokrymi całusami. - Na pani miejscu - Elizabeth odwróciła się do Lois Marlin, żeby zadać jej ostateczny cios - postarałabym się co prędzej poszerzyć horyzonty. W przyszłości może się to pani przydać. Joseph Junior nie ma nic przeciwko zabawie z żółtymi pogankami. Nawet bardzo mu się podobają. - Elizabeth wyciągnęła Emeraldę z piaskownicy. - Do widzenia.

21

- Żółta poganka! Co za bezczelność, żeby tak nazwać śliczną maleńką Diamond! - Elizabeth nie mogła otrząsnąć się po rozmowie z Lois Marlin. Uważnie przyglądała się, jak pani Glenross kąpie niemowlę nad umywalką we wnęce przy pokoju dziecinnym. Tymczasem Delia karmiła Emeraldę i pilnowała, żeby Ruby i Garnet zjadły kolację.

Gospodyni wzruszyła ramionami, nabierając ciepłej wody w zwiniętą dłoń i ostrożnie polewając Diamond.

- Teraz pani wie, z czym będzie się pani musiała zmierzyć.

Helen Glenross nie urodziła się wczoraj. Miała dość przezorności, żeby wysłuchać do końca opowieści Elizabeth i wstrzymać się z komentarzem, dopóki nie przekona się, czyją stronę weźmie nowa guwernantka. Zerknęła ukradkiem na Elizabeth i dodała:

- Z czym pani i pan Craig będziecie musieli się zmierzyć.

- To on zbudował to śliczne miasteczko - ciągnęła wzburzona Elizabeth. - To on sprawił, że w ogóle istnieje, a ci ludzie, którzy tu mieszkają, ośmielają się ignorować i złozyć na jego dzieci, powtarzać te ohydne plotki.

- Tak to właśnie wygląda - zgodziła się gospodyni.

- Nie wierzę w ani jedno słowo Lois Marlin o Jame...

o panu Craigu. Ani że zabił swoją żonę, ani że ma harem kochanek w Chinatown.

Pani Glenross pokiwała głową.

- Czyli tym miejscowi tłumaczą sobie pochodzenie Skarbów? A jak pani myśli, skąd się wzięły?

- Nie wiem. Dla mnie są po prostu córkami Jamesa Camerona Craiga. - Elizabeth oparła się o kredens i zastanowiła chwilę. - Nieważne, kim są ich matki i czy w ogóle mają matki. On je kocha. Spędziłam tu zaledwie jeden dzień, a już wiem, że choćbym żyła sto lat, nie spotkam nikogo, kto bardziej kochałby swoje dzieci.

Pani Glenross wyjęła Diamond z wody, ostrożnie owinęła ją w przygotowany przez Elizabeth ręcznik i podała jej dziewczynkę.

- Bardzo dużo się pani nauczyła w ciągu jednego dnia - uśmiechnęła się znacząco. - Większość ludzi potrzebuje na to całego życia.

Elizabeth zaniósła Diamond do sypialni i położyła ją na stole, wytarła dokładnie, posypała pudrem i założyła świeżą pieluchę.

Pani Glenross stanęła w drzwiach sypialni i patrzyła, jak sprawnie Elizabeth ubiera dziecko.

- Teraz pani wie, co ludzie myślą o Jamesie Craigu, zwłaszcza kobiety. Lokalni biznesmeni doceniają jego talent do robienia pieniędzy, ale ich żony nie akceptują pana Craiga. Nie są w stanie wybaczyć mu, że poślubił Chinkę, a Skarby wychowuje jak własne dzieci. Tutejsze kobiety nigdy z własnej woli nie dopuszczają Skarbów do towarzystwa w Coryville.

Elizabeth zastanowiła się przez chwilę i zdecydowanie stwierdziła:

- Wobec tego musimy je do tego zmusić.

- Od czego zamierza pani zacząć? - spytała pani Glenross.

- Zaprosimy je na herbatkę - odparła Elizabeth, przypominając sobie niezawodny sposób babki. - Nie szcędząc kosztów, przygotowujemy parę wspaniałych przyjęć tylko dla wybranych. Zaczniemy od stosunkowo niewielkiej liczby gości, potem będziemy powiększać listę. Ani się obejrzymy, a każda kobieta w Coryville będzie marzyła o tym, żeby tu przyjść.

- My przygotowujemy?

- Tak, my - zdecydowanie potwierdziła Elizabeth. - Przecież w pewnym sensie to również pani pomysł.

Pani Glenross uśmiechnęła się nieśmiało.

- Chyba rzeczywiście.

Elizabeth wiedziała, że gospodyni przyszła do pokoju dziecinnego głównie po to, żeby ją sprawdzić. Wykorzystała zainteresowanie pani Glenross, aby opowiedzieć jej o rozmowie z Lois Marlin. Gospodyni dużo wiedziała o Jamesie i jego córkach, Elizabeth postanowiła uczynić ją swoim sprzymierzeńcem w walce o przywrócenie dobrego imienia Jamesowi i Skarbom.

Elizabeth kiwnęła głową.

- Cieszę się, że to zrobimy. Chciałaby pani nakarmić Diamond?

Szeroki, radosny uśmiech przydał surowym zwykle rysom pani Glenross łagodności i piękna.

- Tylko przyniosę butelkę. Za minutkę wracam, żeby nakarmić i ukołysać do snu naszego kochanego aniołka.

James wrócił do domu o wpół do szóstej. Chciał jak najszybciej zobaczyć córki i przekonać się, jak Eliza-

beth poradziła sobie pierwszego dnia pracy. Zostawił teczkę w gabinecie i wszedł na górę.

W pokoju dzieciennym nikogo już nie było. Dzieci brały kąpiel. Słyszał ich głosy i pluskanie wody dobiegające z łazienki. Delia, klęcząc na podłodze, wycierała świeżo wykąpaną Emeraldę puszystym ręcznikiem. James domyślił się, że Elizabeth kąpie pozostałe dziewczynki.

- Dobry wieczór, panie Craig - przywitała go Delia, spoglądając w górę znad ręcznika.

- Dobry wieczór, Delio.

Emeralda ściągnęła ręcznik z buzi, uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła ręce do taty.

James wziął ją na ręce.

- Jak się masz, groszku.

- Ta - gaworzyła szczęśliwa Emeraldal - ta.

- Tak - James mocno przytulił ją do siebie. - Tata już jest w domu.

Emeralda po chwili zaczęła się wiercić, dając sygnał, że chce wrócić do zabawy z Delią. James rozumiał, że jak na jeden raz Emeraldal zniosła i tak dużo oznak miłości. Postawił ją na podłodze. Zerknął na Delię.

- Gdzie jest panna Sadler?

- Kąpie Ruby i Garnet - odparła Delia, potwierdzając jego przypuszczenia.

- Sama? - spytał, nieco zaniepokojony beztróskim tonem Delii. Kąpiel Ruby łatwo mogła skończyć się katastrofą. Zwykle uparta, w łazience stawiała się nie do pokonania. Nienawidziła samego słowa „kąpiel” i gotowa była na wszystko, byle tylko uniknąć wody i mydła. James zapomniał uprzedzić o tym Elizabeth i nie miał pojęcia, jak sobie radziła.

- Ostrzegłam ją o humorach panienki Ruby - powiedziała Delia.

- I co? - niecierpliwiał się James.

- Powiedziała, że da sobie radę. - Delia sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyciągnęła z niej biały bawełniany kaftanik. Chwyciła uciekającą Emeraldę, która najwyraźniej wolała pozostać nago, i szybko wsunęła jej przez głowę ubranko. Wstała, podniosła dziewczynkę, która zaczynała właśnie szlochać, i przeszła z nią do sypialni, żeby założyć jej pieluchę.

James stał, podziwiając sprawność, z jaką czternaastoletnia Delia radzi sobie z Emeraldą.

- Jak długo panna Sadler jest z nimi?

- Jakiś czas.

Nie mogąc opanować ciekawości, krzyknął do Delii:

- Chyba zobaczę, jak panna Sadler radzi sobie z Ruby.

- Jak pan uważa - odkrzyknęła Delia.

Zamierzając jedynie sprawdzić, czy wszystko w porządku, James podszedł do drzwi łazienki. Zanim zapukał, posłuchał wymiany zdań między Elizabeth i dziewczynkami.

- Nie mogę cię dosięgnąć stamtąd, Ruby - przymilnie mówiła Elizabeth. - Chodź tu i usiądź koło Garnet.

Ruby nie odpowiedziała i James wyobraził sobie, jak jego najstarsza córka stoi w samym rogu wanny i przecząco kręci głową.

- A więc dobrze, Ruby. Nie pozostawiasz mi innego wyjścia.

James usłyszał rezygnację w głosie Elizabeth, potem szelest materiału i plusk wody. Złapał się na tym, że poczuł satysfakcję. Wiedział, że nie powinien cieszyć

się z porażki guwernantki, ale trudno mu było nie odczuwać dumy z tego, że wciąż jest jedyną osobą, do której Ruby ma bezgraniczne zaufanie. Przyzwyczał się już do tego, że dziewczynka upierała się, aby to on ją kapał. Był przekonany, że za chwilę drzwi się otworzą i stanie w nich zwycięska Ruby. Nigdy nie odgadłby, jakiego fortelu użyła Elizabeth.

- Przesuń się troszkę, Garnet. Zrób miejsce, żebym mogła dosięgnąć Ruby - usłyszał James i zrozumiał, o czym mówiła Elizabeth, jak tylko przekroczył próg łazienki. Przez kłębki pary zobaczył, że Elizabeth kłęczy w wannie.

Zdał sobie sprawę, że pewnie wolałaby, żeby tego nie widział. Szybko się więc cofnął, ale wpadł na drzwi i niechcący je zatrzaskał.

Elizabeth zbyt była pochłonięta myciem Ruby i wyławianiem francuskiego lawendowego mydełka, które wysliznęło jej się z ręki, żeby zareagować na dźwięk zatrzaskiwanych drzwi. Sądząc, że to Delia, oznajmiła:

- Garnet jest już gotowa, jeśli skończyłaś ubierać Emeraldę - przerwała i zachichotała. - Miałaś rację, jeśli chodzi o Ruby. Ona naprawdę nie znosi kąpieli. Miałyśmy tu małą wojnę nerwów. Zdaję sobie sprawę, że moja metoda może się wydać zbyt ekstrawagancka, ale za to bez wątpienia najlepsza i skuteczna. Prawda, Ruby?

Ruby nie zamierzała odpowiadać. Całą jej uwagę pochłonięła postać, nerwowo usiłująca wydostać się z łazienki.

- Tata! - pisnęła zachwycona.

Elizabeth odwróciła się i uniosła znad ciepłej pachnącej wody, gdy James postąpił krok do przodu. Otworzyła usta, ale wydostało się z nich tylko:

- Och...

- Och, tak - przeprasza­jąco uśmiechnął się James. - Pani sposób na Ruby istotnie jest trochę ekstrawagancki, ale działa.

Zanim Elizabeth zdążyła odpowiedzieć, Ruby rzu­ciła się w stronę ojca, ochlapując Garnet.

- Tata!

- Ruby! - Elizabeth wyciągnęła rękę, żeby ją złapać.

Garnet rozpląkała się, więc Elizabeth, nie zważając na to, że dotychczas udało jej się nie zmoczyć góry sukni, przyciągnęła Garnet do siebie. Ostrożnie odgar­nęła z czoła dziewczynki mokre włosy, żeby strużki wody z mydłem nie wpadły jej do oczu.

James złapał Ruby, wspinając się już po jego udzie, i wyciągnął ją z wanny. Trzymając dziewczynkę mocno, spojrział na Elizabeth.

Ona popatrzyła na niego.

Ich spojrzenia spotkały się i zatrzymały na sobie, a obojgu zdawało się, że wilgotne powietrze wokół nich gwałtownie gęstnieje.

Oczarowany widokiem błyszczącej od wody twarzy Elizabeth i jej oszałamiająco kształtnych piersi, na których opięto się mokre ubranie, James głośno wciągnął powietrze i przestąpił z nogi na nogę, zaskoczony tym, jak silne ogarnęło go podniecenie. Nie przypuszczał, że zobaczy Elizabeth w wannie. Wiedział, że powinien zachować się jak dżentelmen i wyjść. Wyjść z łazienki tą samą drogą, którą do niej wszedł, ale nie umiał zdobyć się na dobre maniery. To było silniejsze od niego. Chciał na nią patrzeć, chciał upajać się widokiem pięknej kobiety. Chciał. Po trzech długich latach samotności, bólu, poczucia winy i bezradności tak bardzo chciał Elizabeth, że prawie poczuł jej ciało przy swo-

im. Smakował je. Chociaż wiedział, że nie powinien, że nie może jej dotknąć. Tak długo, jak długo ona jest pod jego opieką, jak długo będzie u niego pracowała. Jak długo będą mieszkać pod jednym dachem.

Widząc nagłe pożądanie w oczach Jamesa Elizabeth uznała, że powinna zachować się jak najdyskretniej. Podniosła się, żeby możliwie najszybciej wycofać się do stosunkowo bezpiecznej sypialni.

- Stop! - wyrwało się Jamesowi.

Elizabeth otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Garnet zaczęła płakać.

- Niech pani usiądzie - łagodniejszym tonem powiedział James, wyciągając rękę, jakby chciał ją odsunąć. - I poczeka. - Nachylił się i mocniej odkręcił wodę. Zdjął z półki butelkę płynu do kąpieli i wsunął Elizabeth do ręki. - Proszę. Więcej bąbelków.

Elizabeth przycisnęła butelkę do piersi, zakręciła wodę i szybko zanurzyła się w pianie. Wyciągnęła rękę po wiszący na uchwycie przy wannie ręcznik do twarzy, żeby przetrzeć buzię Garnet.

- I co pan narobił? - warknęła, zirytowana tonem jego głosu. - Radziłam sobie świetnie, dopóki pan nie przyszedł. Wszystko pan zepsuł.

- Ja... ja - Jamesa zaskoczyła jej wściekłość. Czyżby nie rozumiała, że starał się uchronić ją przed swoim spojrzeniem? Czyżby nie wiedziała, że pod wpływem wody jej ubranie prześwituje? Potrząsnął głową. Oczywiście, że nie. Była zbyt zdenerwowana albo zbyt niewinna, żeby zrozumieć, jak działa na niego jej ciało. Dlatego nie odgadła jego intencji. James spuścił wzrok, by powściągnąć swą nieoczekiwane bujną i wyjątkowo aktywną wyobraźnię, i ku swemu przerażeniu odkrył

porozrzucaną po podłodze damską bieliznę. Na spodzie leżała suknia, którą Elizabeth miała na sobie rano w parku, na niej leżały białe batystowe halki, stanik, haftowany gorset i turniura z końskiego włosia. Ale to para granatowych jedwabnych pończoch, przerzuconych przez skórzane buty Elizabeth, na nowo rozpałała jego wyobraźnię. Zamknął oczy i zacisnął zęby, aby odsunąć od siebie obraz jej długich, zgrabnych nóg w granatowych pończochach, mocno obejmujących jego biodra.

- Tata mnie dusi!

James nie zdawał sobie sprawy, jak mocno ścisnął Ruby. Dziewczynka zaczęła się wiercić, próbując uwolnić się z jego ramion.

- Guziczku, strasznie cię przepraszam - wyszeptał zawstydzony.

Ruby parsknęła, wciąż rozdrażniona z powodu kąpieli i braku uwagi ojca.

James popatrzył na córkę. Dobrze wiedział, co znaczą jej wydęte usta. Posadził ją sobie na ramieniu i palcem uniósł jej brodę lekko do góry.

- Tata nie zdawał sobie sprawy, że tak mocno cię ściska. Bardzo cię przepraszam. - Puścił jej brodę i czule pocałował w czoło.

- Zapomniał też przeprosić za wtargnięcie bez zaproszenia - wtrąciła Elizabeth, zawstydzona i troszkę zazdrosna o Ruby, którą James delikatnie pieścił i całował. - Nam wszystkim należą się przeprosiny.

James skinął głową w kierunku dziewczyny, podchodząc do szafki i wyciągając z niej parę grubych ręczników. Jednym z nich owinał Ruby i postawił przy wannie.

- Pukałem - powiedział, wpatrując się w Elizabeth. - Ale nie sądzę, żeby mnie pani słyszała. Tak czy inaczej,

jestem pani winien przeprosiny. Na swoją obronę mogę jedynie dodać, że trochę się martwiłem, bo zapomniałem uprzedzić panią co do Ruby. Poza tym nie spodziewałem się, że będzie się pani kąpała razem z dziećmi.

Elizabeth poczuła, że pod przenikliwym spojrzeniem Jamesa jej twarz okrywa się gorącym rumieńcem. Nie była w stanie ukryć przyspieszonego oddechu.

- Ruby bała się - próbowała się bronić. - Tylko wchodząc do wanny, mogłam ją umyć.

Boże, ta dziewczyna doprowadzała go do szaleństwa. Zacisnął zęby tak mocno, że aż mięśnie wokół szczęki zaczęły drgać. Musiał jak najszybciej wyjść z łazienki. Elizabeth najwyraźniej nie była w stanie zrozumieć, jak jej niewinne tłumaczenia rozpałały jego wyobraźnię. Rozłożył drugi ręcznik, wyciągnął go przed sobą niczym tarczę i wykrztusił:

- Dla Garnet. Trzęsie się z zimna.

- Wiem - przyznała Elizabeth, opierając dłonie o brzegi wanny, żeby wstać. - Spóźniamy się. Kąpiel powinna była skończyć się pół godziny temu. Niech pan zabierze Ruby. Garnet i ja zaraz do was dołączymy.

- Nie! - gwałtownie wykrzyknął James. - Proszę zostać w wannie. Ja zabiorę Garnet, a pani w spokoju dokończy kąpiel.

- Ja wcale nie zamierzałam się kąpać - wyjaśniała Elizabeth, pomagając Garnet wstać. Przytrzymała dziewczynkę, dopóki ojciec nie wyciągnął jej z wanny.

- Ale chyba może to pani zrobić - stwierdził James. - Ma pani za sobą długi, męczący dzień. Proszę odpocząć w gorącej kąpielu. Delia i ja zajmiemy się Skarbami.

- Doceniam pana troskliwość. Ale to nie jest konieczne - odpowiedziała Elizabeth, mimo że chętnie

zostałaby jeszcze w gorącej, pachnącej wodzie. Rzeczywiście czuła się zmęczona. Znacznie bardziej, niż była gotowa to przyznać.

- Ależ tak - nalegał James. - Przecież ma pani zjeść ze mną kolację o ósmej, prawda? Jeśli teraz nie skorzysta pani z kąpieli, może pani nie mieć na nią czasu. Poza tym - pochylił się nisko, żeby odkręcić kurek z gorącą wodą, i wyszeptał - nie ma wątpliwości, że już się pani kąpie. Jeśli jeszcze się pani nie zorientowała, jest przezroczyście... - James ugryzł się w język - oczywiście, że jest pani całkowicie przemoczona.

Elizabeth spojrzała na mokry materiał tak ciasno przylegający do jej piersi, że więcej ujawniał, niż zakrywał, i zabrakło jej tchu.

- Nie wiedziałam...

Nie mogąc się powstrzymać, James uśmiechnął się i wyszeptał:

- A ja tak.

Błysk wściekłości w jej oczach ostrzegł go wcześniej niż pełen złości pisk. Otworzył drzwi i szybko wypchnął dziewczynki z łazienki. Chwilę później mokry stanik Elizabeth wylądował na framudze z głośnym plaśnięciem.

- Nie trafiła pani - stwierdził James, uchylając drzwi i wsuwając głowę do środka.

Ale już chusteczka rzucona w ślad za stanikiem dosięgła celu, pozostawiając na jego twarzy mokry ślad.

Zaskoczona własnym zachowaniem Elizabeth nie mogła powstrzymać chichotu, słysząc za drzwiami wybuch śmiechu Jamesa.

Elizabeth pogładziła palcami brzegi satynowego szlafroka i rozwiązała pasek. Usiadła na brzegu łóżka i ostrożnie przesunęła Portię, potem wyciągnęła się na całej szerokości łóżka.

Po dwudziestu minutach kąpieli do drzwi łazienki zapukał James i powiedział, że na klamce powiesił jej szlafrok. Elizabeth jak dziecko pokazała drzwiom język i mruknęła coś pod adresem swego chlebobdawcy. W końcu musiała jednak przyznać, że dobrze zrobił. Przecież wszystko, co wcześniej miała na sobie - i bielizna, i suknia - było całkowicie przemoczone.

Teraz zastanawiała się, jak zdoła zjeść z nim kolację po tym, co zaszło w łazience. Elizabeth zerknęła na szafkę. Postanowiła włożyć swoją ulubioną suknię; eleganczką suknię z zielonego jedwabiu, w której tak było jej do twarzy. Zdawała sobie sprawę, że powinna założyć coś skromniejszego, co bardziej przystoi guwernantce. W spojrzeniu Jamesa było jednak coś, co sprawiało, że jej ciało reagowało w sposób, jakiego wcześniej nie znała. Kiedy tak na nią patrzył, czuła, że ogarnia ją niezrozumiałe pragnienie, od którego jej ciało zaczyna delikatnie drżeć. Chciała poznać dokładniej te uczucia.

Co takiego miał w sobie James Craig, że przy nim traciła spokój, zapominała o dobrym wychowaniu i poddawała się emocjom? Elizabeth zmarszczyła brwi.

Była jednocześnie i zażenowana, i podniecona odkryciem tej nowej strony swojej osobowości. Ledwie przed godziną kłęczała w wannie na oczach swego pracodawcy. Rzeczywiście nie zdawała sobie sprawy, że jej ubranie pod wpływem wody stało się niemal przezroczyste. Żadne to usprawiedliwienie, myślała dalej Elizabeth. Nie powinna była wchodzić do wanny. A on nie powinien był wchodzić do łazienki.

Ale wszedł i zobaczył ją. Teraz zażenowanie mieszało się w niej z zaciekawieniem i poruszeniem wywołanym reakcją jej ciała, podnieceniem, przyspieszonym biciem serca pod spojrzeniem Jamesa. Przed dwoma dniami w biały dzień zdemolowała lokal w centrum San Francisco, za co trafiła do aresztu. Powinna była się tego wstydzić. Ona jednak odczuwała jedynie satysfakcję na myśl, że miała odwagę pomścić Owena i wszystkich chłopców, którzy ulegli własnej słabości i uzależnili się od opium. Przed kilku dniami w środku nocy wpuściła do swojego pokoju hotelowego nieznanego mężczyznę, któremu pozwoliła się pocieszyć, a nawet utulić do snu. Nie protestowała, kiedy ten sam mężczyzna całował ją do utraty tchu przed pensjonatem, cieszącym się sławą domu schadzek. Nic nie mogło usprawiedliwić takiego jej zachowania. Nawet fakt, że tym nieznanym był James. Choć z drugiej strony Elizabeth miała absolutną pewność, że nikogo innego nie wpuściłaby do swojego pokoju. Nikomu innemu nie pozwoliłaby się tak całować. Nie umiała powiedzieć dlaczego, ale czuła się jak motyl wyłaniający się z kokonu. Nie umiałaby też wskazać, kiedy i od czego zaczęła się ta przemiana. Wiedziała tylko, że James ją wyczuł i na nią zareagował.

Elizabeth chwyciła poduszkę i przycisnęła ją do

piersi. Dzisiejszy dzień stanowi! kolejną przygodę, gJównie dzięki Ruby. Ruby. Komu przyszyłoby do głowy, że trzyipółletnie dziecko może być tak rozkapry-szone i uparte? Ze może aż tak bać się wody? Być tak niesłuchanie zaborcze w stosunku do ojca?

Ojciec Ruby. Wciąż przyjemnie rozmarzona po gorącej kąpieli Elizabeth wbiła wzrok w baldachim nad łóżkiem i stłumiła ziewnięcie. Wsłuchiwała się w dochodzący z sąsiedniego pokoju głęboki melodyjny głos Jamesa. Specjalnie zostawiła uchylone drzwi, żeby słuchać opowieści o Don Kichocie. Bardzo jej się podobał sposób, w jaki James modulował głos, ożywiając postaci literackie, jak cierpliwie odpowiadał na nie kończące się pytania Skarbów, aby maluchy dobrze zrozumiały fabułę. Dziś kończyli rozdział dwudziesty drugi. Pasamonte i jego banda zamierzali właśnie obrzucić kamieniami Don Kichota i Sancho Panse, żeby ukraść im ubrania. James omijał najbardziej drastyczne fragmenty, które mogłyby wystraszyć dziewczynki, i podkreślał odwagę rycerza. Elizabeth uśmiechnęła się na myśl, że James tak samo chronił córki przed niebezpieczeństwem grożącym fikcyjnemu Don Kichotowi, jak chronił je przed niebezpieczeństwem czyhającym na nie w prawdziwym życiu. Elizabeth zamknęła oczy i pozwoliła, by za sprawą głosu Jamesa w jej wyobraźni pojawili się odważni rycerze i damy ich serc. Rycerskość wcale nie zginęła. Wciąż kwitła w sercu pewnego wyjątkowego mężczyzny.

James nerwowo chodził po pokoju. Nagle zatrzymał się i wbił wzrok w szybko wypalające się woskowe świece w srebrnym kandelabrze na stole. Po raz kolejny spojrzął na zegar wiszący na ścianie jadalni. Dwadzie-

ścia sześć po ósmej. Upłynęły więc trzy minuty, odkąd sprawdzał, która godzina. Przeczesał palcami włosy. Elizabeth spóźniała się. A może postanowiła wcale nie schodzić na kolację.

Podszedł do stołu i zadzwonił małym srebrnym dzwoneczkiem, który stał przy jego talerzu. Annie pojawiła się w drzwiach prawie natychmiast.

- Czy mam podawać, proszę pana? - spytała, unosząc rąbek fartuszka i grzecznie dygając.

James potrząsnął głową.

- Nie, jeszcze nie.

Podszedł do przeciwległego krańca stołu i popatrzył na nakrycie Elizabeth. Zawahał się przez chwilę, podniósł talerz i sztucce i przeniósł je na miejsce po swojej prawej stronie.

- Może ja to zrobię, proszę pana?

- Nie, dziękuję, Annie, dam sobie radę. Nie ma sensu zawracać ci tym głowy. - Z końca stołu przeniósł talerze na chleb i deser oraz szklanki.

- Ależ ja to z chęcią zrobię - nalegała Annie.

- Prawdę mówiąc, wolę zrobić to sam - odparł. - Chyba już nabrałem wprawy. W ciągu ostatnich trzydziestu minut już trzy razy przestawiłem nakrycia - James uśmiechnął się do cichej, nieśmiałej pokojówki. Poczzerwieniały mu koniuszki uszu, gdy uświadomił sobie tę swoją niespodziewaną szczerłość. Nagłe zdał sobie sprawę, że Annie już dawno powinna iść do domu. - A co ty tu robisz? Jest późno. Czemu nie poszłaś jeszcze do domu?

- Poprosiłam panią Glenross, żeby pozwoliła mi zostać trochę dłużej. Myślałam, że może jeszcze będę mogła w czymś pomóc. - Annie wzruszyła ramionami i spuściła wzrok.

- Dlaczego takiej ładnej dziewczynie zależy na pracy po godzinach?

- Ależ ja nie jestem ładna. Jestem zwykła - odpowiedziała. - Trochę za chuda. Sama skóra i kości. Żadnej figury. No i te czerwone włosy, twarz bez rzęs i brwi i piegi. Wszyscy wiedzą, że nigdy nie będę nawet przeciętna, a co dopiero ładna. Wszyscy tak mówią. - Skuliła ramiona, jakby chciała ukryć się przed wzrokiem swego pracodawcy.

James przyjrzał się zawstydzonej dziewczynie, jej zarumienionym policzkom, przygarbionej sylwetce. Za wszelką cenę pragnęła ukryć swoje nie w pełni jeszcze rozwinięte ciało. Rzeczywiście jej włosy były ogniste czerwone, ale były też gęste i pięknie się kręciły. James mógłby się założyć, że za jakieś pięć lat ściemnieją, nabierając intensywnego miedzianego odcienia. Za kilka lat również po piegach nie zostanie ani śladu i wszystkie kobiety w mieście będą jej zazdrościć mlecznobiałej karnacji i ogromnych błękitnych oczu.

- Kto ci naopowiadał takich bzdur?

- Moi bracia. I chłopcy w mieście. No i... tata - wyrzuciła z siebie.

- Ile masz lat? Czternaście? Piętnaście?

- Szesnaście - skuliła się jeszcze bardziej.

- A ile lat mają twoi bracia?

- Jedenaście, czternaście i osiemnaście.

- To wszystko wyjaśnia - oznajmił zdecydowanym tonem James.

- Co wyjaśnia? - W oczach Annie pojawiła się ciekawość.

- Dlaczego twoi bracia i inni chłopcy nie mają racji - uświadomił ją James. - Wszyscy wiedzą, że chłopcy

w tym wieku to straszne gbury, zwłaszcza wobec własnych siostr. Ci z miasta są zbyt niedojrzali, żeby rozpoznać prawdziwe piękno. Zapamiętaj moje słowa. Za pięć, sześć lat ci sami smarkacze, którzy teraz tak ci dokuczają, będą błagać o choć jedno spojrzenie. Widzisz, Annie, twoje włosy i karnacja pochodzą od najpiękniejszych kobiet Szkocji, Irlandii, Anglii i Walii. Ucieleśniasz ideał celtyckiej urody. A chłopcy, których znasz, jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy.

- Naprawdę? - spytała z nadzieją. - Myśli pan, że kiedyś to zobaczą?

- Założę się o wszystko, co mam - uśmiechnął się do niej.

- A mój tata? - wyszeptała.

James zmarszczył brwi.

- Twojego ojca nic nie usprawiedliwia - odparł szorstko. - Ale tak już jest, że niektórzy mężczyźni po prostu są ślepi na otaczające ich piękno. A na to nie ma usprawiedliwienia. Nic też nie usprawiedliwia ojca, który nie uważa swej córki za najpiękniejszy na świecie dar od Boga - James przerwał na chwilę, żeby Annie dobrze zrozumiała, o czym mówi. Gdy zauważył w oczach dziewczyny błysk zaufania, dodał: - Więc może teraz powiesz mi, co jest prawdziwą przyczyną twojego zapału do pracy dziś wieczorem?

- Bo dziś jest piątek - odparła, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Bardzo mi przykro, Annie - przeprosił James za swoją ignorancję w dziedzinie piątkowych sposobów spędzania czasu w Coryville - ale nie wiem, co piątkowy wieczór ma wspólnego z twoją chęcią do pracy. Prędzej pomyślałbym, że możesz mieć ochotę zwolnić się nieco wcześniej.

- Mój tata pije - wyznała dziewczyna. - Mój najstarszy brat, Calvin, też. W piątkowe wieczory zapraszają do domu znajomych na wódkę. I - w jej oczach błysnęły łzy, a głos zdrzął - czasem zachowują się okropnie, obłapiają mnie i mówią, że włożą mi na głowę papierową torbę i choć z bólem, to zrobią mi tę przysługę i nauczą, jak dziewczyna powinna zadowolić mężczyznę.

- Czy ktoś ci kiedyś zrobił coś takiego? - James zacisnął pięści, czując, jak wzbiera w nim wściekłość. Martwił się o Annie, z trudem hamował wybuch gniewu na jej braci i ojca. Cóż to za ojciec i cóż to za bracia, skoro nie są w stanie dostrzec urody dziewczyny i którzy poniżają i upokarzają ją w najtrudniejszym momencie jej życia. James był na nich wściekły za to, że nie potrafili zatroszczyć się o Annie i kochać jej, tak jak na to zasługiwała po prostu dlatego, że była sobą.

- Nie, proszę pana, jeszcze nie. Ale nie zawsze udaje się zejść im z drogi, jeśli piją w każdy piątek.

- Obok apartamentu pani Glenross jest dodatkowa sypialnia. Jeśli chcesz, może być twoja.

- Na piątki?

- Na każdy dzień tygodnia, jak długo będzie ci potrzebna - zapewnił James.

- Och, panie Craig, dziękuję - zapominając się, Annie rzuciła się Jamesowi na szyję i mocno przytuliła się do niego. Po chwili szybko się odsunęła i zaczerwieniła. - Przepraszam pana.

- Nic nie szkodzi, Annie - uspokoił ją James. - Potrzebowałem pocieszenia, bo wygląda na to, że straciłem towarzyszkę na dzisiejszy wieczór. - Słyszac burczenie w brzuchu, zerknął na zegar, potem na dwa puste nakrycia. Była ósma trzydzieści trzy. - Jadłaś już?

- Tak. Już dawno. - Annie przestąpiła z nogi na nogę. - Czy mogę powiadomić panią Glenross o sypialni?

James uśmiechnął się z rezygnacją i tęsknie spojrzął na stół.

- Oczywiście, biegnij. Nie będę cię na razie potrzebował.

Annie wychodziła już z jadalni, gdy przypomniała sobie, co chciała mu powiedzieć. Odwróciła się i uśmiechnęła do Jamesa.

- Nie wierzę w nic z tego, co ludzie o panu mówią.

Serce Jamesa забиło mocniej. Czyżby nawet Annie znała plotki o tym, jakoby zamordował żonę? Głośno przełknął ślinę.

- Naprawdę?

Annie pokiwała głową.

- Nie wierzę, jak mówią, że ma pan bzika na punkcie córek.

- Tak mówią ludzie?

- Tak. Twierdzą, że zwariował pan na ich punkcie i że po to je pan kształci, żeby były aroganckie, a nie po to, żeby znały swoje miejsce na ziemi jak inni Chińczycy. Wszyscy mówią, że uczy pan Skarby myśleć, że są tyle samo warte co biali ludzie właśnie dlatego, że są Chinkami, a nie wbrew temu.

James odetchnął głęboko. Wiedział, że miejscowi nie akceptowali jego miłości do córek, ale zdziwiło go, że komentują nawet to, że postanowił je uczyć.

- A ty co o tym myślisz, Annie?

- Myślę, że wychowuje pan je tak, bo je pan kocha - odparła po prostu. - Bo nie jest pan ślepy na otaczające go piękno i dlatego, że pan naprawdę z całego serca lubi dziewczyny. Nawet takie jak ja.

- Każda dziewczyna jest skarbem, Annie. Każda jest wyjątkowa jak drogocenny klejnot. Podobnie myślał też Bóg. To dlatego nie obdarzył mężczyzn tym największym darem, jakim jest rodzenie dzieci - mrugnął do niej. - Twoje babki i prababki były pięknymi kobietami. Nie zapominaj o tym i nie pozwól, żeby ktokolwiek wmawiał ci, że było inaczej.

- Będę o tym pamiętać, panie Craig, obiecuję. - Annie wyszła z jadalni i skierowała się do kuchni. James zauważył, że uniosła wyżej głowę i wyprostowała plecy. Widać było, że już ta krótka rozmowa sprawiła, że dziewczynka nabrała godności i szacunku do siebie.

Kilka chwil później w drzwiach jadalni pojawiła się gospodyni.

- Co powiedział pan Annie? - zapytała.

- Powiedziałem jej, jak bardzo ją cenimy.

- Cokolwiek to było, zmieniło ją całkowicie. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby była tak dumna. Jest taka podtekstowana, że będzie miała swój pokój. Bóg jeden wie, jak ona się uchowała w domu pełnym chłopaków i z ojcem pijakiem. Wie pan, że jej matka uciekła od nich?

- Nie - przyznał James. - Nie wiedziałem. - Zamierzał jak najszybciej zmienić tę sytuację.

- Przyszłam, żeby także panu podziękować, panie Craig. Annie jest dobra i pracowita, należy jej się nagroda. Poza tym dziewczyna w jej wieku powinna mieć własny pokój. Mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że pozwoliłam jej pomalować go na taki kolor, jak będzie chciała.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu - odparł James. - Proszę też pomóc jej wybrać tapetę i inne drobiazgi.

Pani Glenross wytarła dłonie w fartuch.

- Muszę iść do kuchni pilnować, żeby kolacja się nie przypaliła. Nie wiem, jak długo jeszcze będzie można ją podgrzewać bez przypalania. Kiedy usłyszałam dzwonek, myślałam, że skończył pan swoją sherry i czeka na pierwsze danie. Czemu nie chce pan jeszcze zacząć?

- Panna Sadler - odrzekł James - jeszcze nie zesłała na dół.

- Słucham? - Pani Glenross rozejrzała się po jadalni i dopiero teraz zauważyła, że istotnie nie ma tu Elizabeth.

- Myślę, że może nie chciała zjeść ze mną - przyznał James - i że może posłała jej pani kolację na górę.

- Panna Sadler nie prosiła o podanie kolacji do pokoju - zaprzeczyła gospodyni. - Nic dla niej nie przygotowałam.

- Wiem, że postawiłem ją w niezręcznej sytuacji - wymruczał cicho. - Ale... - spojrzał na gospodynię, a w jego oczach pojawił się strach - nie myśli pani, że postanowiła więcej nie jeść?

Pani Glenross wzruszyła ramionami.

- To możliwe - odparła ostrożnie. - Może pójdę na górę i sprawdzę?

- Nie - James potrząsnął głową. - Proszę zostać i zacząć się kolacją. Sam do niej pójdę i sprawdzę, co ją zatrzymało. Zawstydzilem ją dziś. Jeśli postanowiła, że zje sama, to trudno. Zmienimy rozkład posiłków. Ale chcę, żeby powiedziała mi prosto w oczy, że nie zamierza siedzieć ze mną przy jednym stole. Nie będzie opuszczała posiłków, chowając się w sypialni. - Przerwał na chwilę, a potem wyszeptał sam do siebie: - Nie mogę na to pozwolić. Nigdy więcej.

Helen Glenross patrzyła, jak jej pracodawca pewnym krokiem opuszcza jadalnię. Musiała przyznać, że czasem trudno jej było zrozumieć ludzi. Nikt by nie podejrzewał, że tak przystojny, zdrowy mężczyzna ma obsesję na punkcie jedzenia trzech posiłków dziennie. Już po kilku pierwszych dniach pracy u niego zrozumiała, że w domu Jamesa Craiga nikt nie może opuszczać posiłków bez ważnego powodu.

Elizabeth Sadler opuściła już jeden posiłek. Lepiej dla niej, żeby miała przekonującą wymówkę na opuszczenie kolejnego.

23

Tego wieczora Elizabeth nie potrzebowała żadnej wymówki. James przekonał się o tym, gdy wszedł z pokoju dziecinnego do jej sypialni. Podniósł rękę, żeby zapukać, ale zrezygnował, bo drzwi były uchylone. Przez szparę James ujrzał smacznie śpiącą Elizabeth, rozłożoną na całej szerokości łóżka.

Już miał odejść, ale nie mógł się powstrzymać, by nie otworzyć drzwi szerzej. Popchnął je łokciem i cicho wszedł do środka. Pomyślał, że od czasu kiedy poznał Elizabeth, nader chętnie zapomina o dobrych manierach. Zmarszczył brwi. Już chyba ze trzy razy wtargnął bez zaproszenia do jej pokoju, cztery, jeśli liczyć noc w Russ House w San Francisco. A gotów był przyznać, że i wtedy sam się wprosił, wykorzystując przygnębienie Elizabeth. To on się jej narzucał, nigdy odwrotnie. Musiał

przyznać, że poza tym nie tylko nauczył się wchodzić bez zaproszenia wszędzie tam, gdzie mógł ją znaleźć, ale nawet gotów był doprowadzić do jej aresztowania pod byle pretekstem, byle tylko móc odegrać rolę wielodusznego wybawiciela i wyratować ją z opresji. Był naprawdę oburzony własnym postępowaniem. Zwłaszcza że Elizabeth nie potrzebowała wybawienia. Policjanci zorientowali się, że stawiane jej zarzuty były bezzasadne, od razu zrozumieli, z kim mają do czynienia, i złożyli się na kaucję za Elizabeth. Tak naprawdę nie było powodu, żeby się wtrącał i szantażem wymuszał na niej przyjęcie posady guwernantki w jego domu. Jedynym powodem było to, że nie chciał nikogo innego.

James pokręcił głową. Ależ nisko upadł! Elizabeth zmorzona snem po całym dniu wyczerpującej pracy leżała wyciągnięta na łóżku. Mała lampka na toalecie paliła się równym płomieniem, drzwi do szafy były otwarte, ale najwyraźniej Elizabeth nie miała już siły, aby przygotować się do kolacji. Miała na sobie satynowy szlafrok, ten sam, w którym zeszła na śniadanie. Przyniósł go z sypialni i powiesił na drzwiach łazienki, kiedy się kąpała. W czasie snu szlafrok lekko się rozchylił i poskręcał wokół jej ciała, odsłaniając jej dekolt i długie zgrabne nogi. James siłą woli powstrzymał dręczące jego wyobraźnię fantazje i skupił się na jej złotobrazowych włosach rozrzuconych po poduszce i zabawnych kosmykach wokół twarzy. Spała mocno jak dziecko, przyciskając poduszkę do piersi. Ukochana lalka leżała obok.

Jej równy oddech przypominał mu śpiące córki, podobnie jak one spała z lekko rozchylonymi ustami. James delikatnie poprawił jeden z kosmyków, który przylgnął do kącika jej ust, przy czym musnął jej gład-

ki jak jedwab policzek. Nieskazitelnie biała skóra jej twarzy była równie delikatna jak skóra jego córek. Na jej powiekach dostrzegł jednak siateczkę niebieskich żyłek, a pod oczami ciemne purpurowe cienie. Dopiero teraz zrozumiał, jak zmęczona musiała być Elizabeth, skoro zasnęła tak szybko i tak mocno. Na pewno w ciągu ostatnich dni niewiele spała, zwłaszcza w czasie podróży pociągiem ze Wschodniego Wybrzeża do Kalifornii. Przypomniał sobie, jak wyczerpana i delikatna wydała mu się tej nocy, gdy tulił ją w ramionach w Russ House. Jak mógł nie pomyśleć o tym, że ma za sobą nader burzliwy pobyt w San Francisco? Nie mógł uwierzyć, że przyłapał się na takim braku troski.

Właściwie odkąd przybył do Kalifornii, jego życie przebiegało równie burzliwie. Bardzo się zmieniło, odkąd pojawiła się w nim Ruby. Czasem zastanawiał się, czy aby na pewno to jego życie. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio mógł normalnie spać, nie nasłuchując bez przerwy, czy Ruby albo któraś z pozostałych dziewczynek go nie potrzebuje. Bał się zasnąć zbyt mocno, żeby nieświadomie nie zignorować potrzeb córek. Wszystko wskazywało więc na to, że w ciągu ostatnich trzech lat tylko drzemał, jednocześnie pracując na pełnych obrotach w Craig Capital. Nie zamierzał się użalać nad sobą. Chętnie oddałby każdą godzinę snu, byle tylko mieć pewność, że będzie przy Skarbach zawsze, gdy będą tego potrzebowały. On sam zdążył się przyzwyczać do kilku godzin snu dziennie. Zapomniał, że Elizabeth nigdy wcześniej nie zajmowała się tak małymi dziećmi i że pewnie nigdy wcześniej nie pracowała tak ciężko.

Ostrożnie przysiadł na brzegu łóżka, tak żeby nie obudzić śpiącej. Sumienie nie dawało mu spokoju. Dał się

zwieść pozorom. Elizabeth miała siłę, dzięki której wydawała się niepokonana, kiedy dochodziło między nimi do sprzeczek. Ale bywała też słaba i bezbronna. Już pierwszej nocy, kiedy się spotkali, miał okazję poznać zarówno jej siłę, jak i bezbronność. Nie powinien był zapominać, że jest drobna, delikatna i krucha, jak wtedy gdy trzymał ją w ramionach. Spojrzał teraz na nią. Była wysoka i szczupła, i - jak zdążył zauważyć już w łazience - nie miała ani grama zbędnego tłuszczu. Nie powinna opuszczać posiłków. A już nie zjadła dwóch, i to przez niego. James westchnął ciężko. Miał nadzieję, że zaproszenie jej na kolację okaże się genialnym pomysłem, że za jednym razem pozwoli mu upewnić się, że Elizabeth daje sobie radę, jak i poznać ją bliżej. James pokręcił głową. Wszystko zepsuł, obarczając ją zbyt ciężką pracą. Teraz też mógł się wreszcie zdobyć na szczerość wobec samego siebie. Powody, dla których chciał zjeść z nią kolację, nie były aż tak szlachetne, jak to sobie wmawiał. Oczywiście bardzo chciał ją lepiej poznać i tak dalej, ale przede wszystkim chodziło mu o to, by ją oczarować.

Elizabeth fascynowała go tak bardzo, że gotów był zrobić wszystko, co w jego mocy, aby ją usidlić i zdobyć. Próbował sobie wmawiać, że jego zainteresowanie Elizabeth mieści się w granicach zainteresowania pracodawcy nową guwernantką. Może nawet w to wierzył, gdy postanowił ją zatrudnić. Może jeszcze wtedy, na początku, była to nawet prawda. Ale dziś rano podczas śniadania zdał sobie sprawę, że kiedy tak na nią patrzy tulącą w ramionach niemowlę, oddałby wszystko, aby oglądać ten widok każdego dnia.

To podczas śniadania zrozumiał również, dlaczego tak łatwo przyszło mu zlekceważenie wszystkich wpajanych

mu zasad, byle tylko ją odnaleźć, dlaczego uruchomił wszystkie swoje kontakty, aby zatrzymano Elizabeth pod najbłahszym z powodów. Nie chodziło mu o to, by Elizabeth matkowała jego dzieciom. On chciał, żeby Elizabeth była ich matką. Siedząc przy stole i obserwując, jak karmi Diamond, James poczuł tak wielkie wzruszenie pomieszane z czułością, że zakręciło mu się w głowie.

Pragnął każdego ranka oglądać Elizabeth przy śniadaniu. Pragnął, by opiekowała się jego dziećmi. Ale przede wszystkim ją kochać, dać jej więcej dzieci, dać jej ich dzieci. Pragnął dzielić z nią przywilej wydawania ich na świat i patrzenia, jak dorastają. To było tak proste, a jednocześnie tak skomplikowane.

James westchnął. Był już zmęczony. Miał dosyć samotności. Oczywiście miał Ruby, Garnet, Emeraldę i Diamond i kochał je mocniej, niż to sobie można wyobrazić, ale to nie wystarczało. James odziedziczył majątek swojej rodziny i stał się milionerem. Był chciwy. Nie umiał już cieszyć się z byle czego, skoro mógł mieć wszystko. Nagle uświadomił sobie, że jego najlepsze cechy zabrała ze sobą Mei Ling, umierając przed trzema laty. Elizabeth umiała jakoś je odnaleźć i wskrzesić.

Dziewczyna zadrzała z zimna. James nachylił się, żeby okryć ją szlafrokiem, a na nogi narzucił jej koc. Tego mu właśnie brakowało. Tej szczególnej czułości dla kobiety, poczucia, że to właśnie jej powinno się dotykać.

Mei Ling nie żyła od trzech lat. Odkąd odeszła, Jamesowi nie zdarzyło się pragnąć na dłużej kobiety. Odkąd przybył do Kalifornii, z żadną się nie spotykał. Nie spotkał żadnej, którą chciałby tulić w ramionach, gdy spała, żadnej nie ufał na tyle, żeby powierzyć jej opiekę nad Skarbami. Dopiero Elizabeth zmieniła tę sytuację. Ja-

mes patrzył na nią i zastanawiał się, co go tak bardzo w niej pociągało, poza jej urodą, osobowością, gotowością do pokonywania wszelkich przeszkód, zaradnością. Czy stało się tak, bo spotkał ją akurat wtedy, gdy znów intensywnie zaczął myśleć o Mei Ling? A może mimo to? Może dlatego, że jej płacz obudził go w środku nocy, a on pomyślał, że to płacz jego żony? A może stało się tak, że słysząc ten płacz sądził, że to płacze Mei Ling, i przez chwilę miał nadzieję, że oto zdarzył się cud, bo on, James, otrzymał właśnie jeszcze jedną szansę. I może nawet wtedy, gdy zorientował się, że to nie Mei Ling, ta nadzieja go nie opuściła. Czyżby Elizabeth przypomniała mu Mei Ling? A może chodziło o to, że była inna? James nie znał odpowiedzi na te pytania. Wiedział tylko, że kiedy ujrzał Elizabeth, w jego sercu pojawiła się nadzieja, życie nagle nabrało sensu. Pierwszy raz odkąd Mei Ling zburzyła ich szczęście.

James zmarszczył brwi. Elizabeth i Mei Ling były tak różne jak ogień i woda. Trudno było wyobrazić sobie, by dwie kobiety mogły bardziej się różnić. Łączyło je tylko jedno - obu zapragnął od pierwszej chwili.

James przeczesał włosy palcami. Obie zresztą pojawiły się w jego życiu w bardzo odmiennych okolicznościach. Elizabeth musiał ścigać, żeby sprowadzić ją do swego domu, a Mei Ling została mu podarowana. Prezent na szesnaste urodziny.

James uśmiechnął się na to wspomnienie. Ojca rozbawił, a matkę oburzył fakt, że jeden z najstarszych i najbardziej zaufanych chińskich doradców Randalla Craiga kupił Mei Ling na aukcji i podarował ją Randallowi jako prezent dla jego syna. Randall Craig nie mógł odmówić przyjęcia dziewczyny. Gdyby to zrobił, jego przyja-

ciel Cho czułby się upokorzony, a Mei Ling znalazłaby się na ulicy. To były trudne czasy dla prowincji Kanton, rodzina dziewczyny sprzedała ją pewnemu handlarzowi, który przemycił ją z Chin do Hongkongu. Cho Xing wypatrzył ją na aukcji i zaprezentował ją w domu swego szanownego pracodawcy, bo wiedział, że ma syna, który zapewne bardzo ucieszyłby się z takiego prezentu.

I tak w dniu szesnastych urodzin Jamesa czternastoletnia Mei Ling weszła do domu Craigów. Cho z wielką pompą oddał ją Jamesowi. Smukła piękność znana jako Mei Ling stała się jego własnością. James wiedział, że rodzice nie pozwolą mu zatrzymać jej jako konkubiny, ale i on rozumiał konieczność dostosowania się do sytuacji. Słuchał uważnie, gdy Cho rozwodził się nad cnotami Mei Ling, jej biegłością w sztuce kochania i umiejętnością zadowolenia mężczyzny. Już gdy ją zobaczył po raz pierwszy, James zapragnął, aby to ona wprowadziła go w miłosne arkana, gdy przyjdzie na to czas.

Ostatecznie uczyli się nawzajem. Mei Ling zamieszkała w domu Craigów nie jako konkubina czy służąca, lecz jako podopieczna Randalla Craiga. Wysłano ją do Prezbiteriańskiej Szkoły Misyjnej prowadzonej przez ojca Willa, pastora Francisa W. Keegana, gdzie odebrała wykształcenie. James wiedział, że jego rodzice chcieli, by traktował Mei Ling jak siostrę. Próbował przez dwa lata, które spędził w domu przed wyjazdem na uniwersytet do Anglii. Jednak świadomość, że Mei Ling należała do niego, działała jak silny afrodyzjak. Oboje od samego początku wiedzieli, że została mu podarowana jako konkubina. I choć próbował traktować ją jak siostrę, nie był w tym szczery. Nie potrzebował przybranej siostry, pragnął kochanki, pragnął Mei Ling. Pierwszy raz w życiu był zakochany.

James przypomniało się teraz, jak dobrze znała go nieśmiała, łagodna Mei Ling. Nigdy nie próbowała zdobywać jego miłości, wiedziała, że nie musi. Wprawdzie została mu podarowana, ale i on należał do niej. Los postawił ją na drodze Cho Xinga w dniu szesnastych urodzin Jamesa. Przeczuwała, że czeka ich wspólna przyszłość. Należeli do siebie. Mei Ling nawet nie próbowała go uwodzić. Wiedziała, że pewnego dnia wypełni się ich przeznaczenie i zostaną kochankami. Chociaż w towarzystwie była cicha, zamknięta w sobie i skromna, emanowała z niej siła. Mei Ling była młoda i piękna i doskonale świadoma, jak wielką daje jej to władzę. Od pierwszego dnia w domu państwa Craigów była przez nich rozpieszczana, stała się ich oczkiem w głowie. Ale jednocześnie zawsze była upartą osobką, z którą należało się liczyć. Nie wystarczało jej, że Julia i Randall Craig kochali ją jak własną córkę. Nie zamierzała rezygnować z roli, do odegrania której została przeznaczona. Nie zamierzała być dla Jamesa przybraną siostrą, skoro mogła zostać jego żoną, nie tylko konkubiną.

Zostali kochankami wkrótce po tym, jak James wrócił do domu z uniwersytetu w Anglii. Miał dwadzieścia jeden lat, Mei Ling dziewiętnaście. W czasie pobytu za granicą nabrał doświadczenia w sztuce kochania. Piękna, dziewicza Mei Ling nie miała o tym pojęcia, ale on był szczęśliwy, bo wreszcie należała do niego.

Kiedy rodzice dowiedzieli się o ich romansie, postanowili nie ingerować. Uznali, że ich namiętność prędzej czy później się wypali, a wtedy każde z nich będzie gotowe do związku z bardziej odpowiednim dla siebie partnerem. James miałby poślubić jakąś Europejkę, jedną ze spadkobierczyń fortun bankowych gromadzonych w Hongkon-

gu, Mei Ling zaś obiecującego młodego Chińczyka z dobrej rodziny. Jednak James i Mei Ling mieli inne plany. Trzy miesiące po tym jak zostali kochankami, James poinformował rodziców, że zamierza ożenić się z Mei Ling.

- Chyba nie mówisz poważnie! - wybuchnął ojciec, doskonale zdając sobie sprawę, że James nie żartuje.

- Zastanów się, Jamie - błagała matka. - Wiem, że kochasz Mei Ling. Wszyscy ją kochamy, ale ty jesteś Brytyjczykiem, a ona Chinką. Nigdy nie zostanie zaakceptowana w towarzystwie.

- Już została zaakceptowana - zaproponował James. - Mieszka z nami od lat. Traktujecie ją jak córkę. My po prostu chcemy zalegalizować nasz związek.

Matka spoważniała.

- Zaakceptowano ją, bo jest naszą podopieczną. Tylko i wyłącznie dlatego. Nie możesz tego pojąć? Teraz ją akceptują, bo jeden z najzamożniejszych ludzi w Hongkongu postanowił wypełnić swój chrześcijański obowiązek i dać biednej Chince schronienie, odziać ją i nakarmić. Ludzie ją traktują, jakby należała do naszej rodziny tylko dlatego, że do niej nie należy.

- Co za różnica? - James przepełniony młodzieńczym idealizmem nie rozumiał. - Jak weźmiemy ślub, będzie moją żoną. Wejdzie do naszej rodziny.

- Teraz to może nie ma dla ciebie znaczenia, bo z racji swojego urodzenia zawsze byłeś akceptowany. Nie musiałeś zdobywać sobie pozycji, bo zawsze ją miałeś. Nie musiałeś przejmować się niczyją opinią. Jesteś mężczyzną, więc możesz sobie na to pozwolić. Mei Ling jest inna. Uwielbia przyjęcia i spotkania rodzinne. Może brać w nich udział, dopóki jest naszą podopieczną. Będzie mogła również wtedy, gdy wasz romans wygaśnie, a ona zo-

stanie żoną jakiegoś wykształconego Chińczyka.

- Mei Ling nie jest dziwką, którą poderwałem w jakimś burdelu w dzielnicy portowej. Znasz ją. Wiesz, jaka jest. Od lat mieszka w naszym domu, traktujecie ją jak córkę. Przecież jest damą! I była dziewicą, dopóki się z nią nie przespałem.

- Jamie! - oburzyła się matka na taką obcesowość.

- Chcesz się z nią ożenić z poczucia winy, bo się z nią przespałeś? - spytał ojciec.

James potrząsnął głową.

- Żenię się z nią z waszym błogosławieństwem lub bez niego, bo ją kocham, a ona kocha mnie. Zrozumcie wreszcie, że to prawdziwe uczucie! Nie skończy się tylko dlatego, że tego chcesz, mamó. Kochamy się od lat. Chcemy wziąć ślub i założyć rodzinę. Chcielibyśmy mieć wasze błogosławieństwo.

- Ale, Jamie - zaprotestowała matka - zrozum, że jeśli to romantyczne i nierozsądne małżeństwo dojdzie do skutku, Mei Ling będzie poniżana przez tych samych ludzi, którzy teraz twierdzą, że ją uwielbiają. A co gorsza, również Chińczycy ją odrzuca. Was oboje. Zostaniecie wykluczeni z towarzystwa za przekroczenie dopuszczalnych granic. Tobie może na tym nie zależeć. Możesz sobie myśleć, że to wszystko jest bez znaczenia, ale pamiętaj, że jesteś mężczyzną, więc możesz robić, co zechcesz. Mei Ling znajdzie się w potrzasku, będzie uwięziona między dwiema kulturami. Załamię się i sprawi, że i ty będziesz nieszczęśliwy. Nie wątpię, że ona kocha cię z całego serca, ale jest przecież ambitna. Chce być kimś, zapomnieć o swoim skromnym pochodzeniu. Ona chce być żoną Jamesa Camerona Craiga.

- I nią będzie - zapewnił James.

Ale matka smutno potrząsnęła głową.

- Nie, Jamie, nie będzie. Nie tu. Nie za naszego życia. Bez względu na to, ile razy i jaki wzięłbyś z nią ślub, dla mieszkańców Hongkongu na zawsze pozostanie chińską poganką, małą konkubina przygarniętą przez Randalla Craiga, bo jego syn dostał ją w prezencie. Fakt, że się kochacie, nie będzie miał żadnego znaczenia dla ludzi, których uważaliście za swoich przyjaciół. Będą oburzeni, że James Cameron Craig poślubił dziewczynę, którą i bez tego może mieć w każdej chwili.

- To również twoje zdanie? - chciał wiedzieć James.

- Nie - szczerze odpowiedziała matka. - Ale musisz liczyć się z tym, że tak właśnie zachowają się wszyscy wasi przyjaciele. Tak będą mówić.

- Nie interesuje mnie, co będą mówić - oznajmił *James*. - Kocham Mei Ling, ona kocha mnie. Nic innego nie ma znaczenia.

- Z całego serca chciałabym, żebyś miał rację.

Naiwnie sądził, że poza ich miłością nic się nie liczy. Pomylił się. Jego rodzice znacznie lepiej przewidzieli, co ich spotka. Julia Craig zrobiła wszystko, aby ułatwić swojej synowej wejście do ich świata, ale Mei Ling nigdy nie została w nim zaakceptowana jako żona Jamesa.

Julia Craig próbowała złagodzić ból Mei Ling i poczucie wykluczenia ze środowiska, do którego wcześniej przecież prawie należała, urządzając przyjęcia i różne imprezy, w których brały udział wszystkie szanujące się amerykańskie i brytyjskie rodziny. Niestety, bezskutecznie. James i Mei Ling złamali niepisane prawo brytyjskiej kolonii i musieli ponieść karę.

Na oczach Jamesa piękna, dowcipna, pełna życia młoda kobieta, którą poślubił, wracała do zwyczajów,

jakie wyniosła z dzieciństwa. Jakby postanowiła odrzucić wszystko co brytyjskie po tym, jak Brytyjczycy odrzucili ją. Porzuciła europejskie stroje i zwyczaje i stała się przykładną chińską żoną. Kiedy Julia Craig nie zgodziła się, aby Mei Ling urządziła cały dom na wzór skrzydła, które zamieszkiwali z Jamesem, kupił dla nich dom na obrzeżach dzielnicy brytyjskiej, zarezerwowanej prawie wyłącznie dla chińskich kupców. James zgodził się, aby Mei Ling urządziła go po swojemu i zatrudniła chińskich służących.

Był szczęśliwy. Ona również wydawała się zadowolona z życia, które dla siebie wybrali. Przyjmowali zaproszenia do domu rodziców Jamesa, do siebie na obiady regularnie zapraszali ich, Willa Keegana i kilku niezonatych przyjaciół Jamesa. Żaden z jego żonatych współpracowników ani dawnych przyjaciół Mei Ling nie przyjmował ich zaproszeń. James i Mei Ling żyli więc w stosunkowo błogiej izolacji od środowiska Brytyjczyków. James nie przejmował się, że w jego domu nie kultywuje się szkockich tradycji ani w ogóle tradycji europejskich. Jedynym sygnałem przynależności do innej kultury był strój, jaki zakładał do pracy. Nie przeszkadzało mu, że Mei Ling powróciła do chińskich zwyczajów. Była jego żoną i bardzo ją kochał. Pragnął, aby była szczęśliwa. Jeśli miało się to stać dzięki odrzuceniu kultury europejskiej, nie miał nic przeciwko temu. Przez siedem lat ich życie upływało w spokoju, dopóki Mei Ling nie zaszła w ciążę. Świat, który z takim trudem dla siebie zbudowali, legł w gruzach.

James ostrożnie wstał z łóżka Elizabeth. Cicho zdjął buty i aby jej nie zbudzić, bosy podszedł do drzwi na balkon i otworzył je. Wyszedł na zewnątrz i z kiesze-

ni marynarki wyjął wąską cygarniczkę. Podeszedł do krat i zapalił cygaro. Zaciągnął się. Oczy zapiekły go i napełniły się łzami. Nie był pewien, czy to na skutek bolesnych wspomnień, czy z powodu dymu. Koniuszek cygara jarzył się w ciemnościach. James odwrócił się w stronę pokoju, oparł o kraty i wyciągnął przed siebie długie nogi. Mei Ling już nie żyła. On zaś bezskutecznie starał się pamiętać tylko dobre chwile, które spędzili razem. W pamięci pozostał mu jedynie koszmar ostatnich miesięcy, jakie wspólnie przeżyli, wściekłość przemieszana z bolesnym uczuciem straty.

James patrzył na przytłumiony blask lampy w pokoju Elizabeth. Elizabeth Sadler to była druga szansa, na którą czekał. Szansa, której potrzebował, aby uwolnić się od świata zagubionych i opuszczonych dusz, który przez *tyle lat* uważał za *swój dom*. Może Will miał rację. Może najwyższy czas coś zmienić. Nauczyć się zapomnieć o przeszłości. Wybaczyć Mei Ling jej tragiczną pomyłkę i to, że opuściła go bez pożegnania.

James zaciągnął się głęboko. Już raz oddał swoje serce i omal nie przypłacił życiem utraty ukochanej. Tym razem ryzykował coś więcej niż tylko swoje własne uczucia. Musiał myśleć o córkach. Mógł narazić na ból siebie, ale dzieci musiał chronić.

Na razie jednak wystarczyła mu świadomość, że nie jest już sam. Była przy nim Elizabeth.

Ze snu wyrwał Elizabeth natarczywy wrzask niemowlęcia. Otworzyła oczy. Nocna bryza przyniosła do pokoju delikatną woń drogiego cygara. Słaby płomień lampy stojącej na toalecie rozjaśniał nieco mrok panujący w pomieszczeniu. Elizabeth wpatrywała się w baldachim nad swoim łóżkiem w oczekiwaniu na kolejne krzyki dziecka. Po chwili rzeczywiście usłyszała płacz. Tym razem był silniejszy, bardziej natarczywy, nagłacy. To Diamond. Elizabeth momentalnie usiadła, spuściła nogi na podłogę i wstała. Jeszcze nie całkiem rozbudzona, potknęła się o parę butów stojących przy jej łóżku i utykając wyszła z sypialni. Udała się do pokoju dziecięcego, kierując się krzykiem Diamond i światłem małej lampki gazowej palącej się przed wejściem.

- Ciii...

Elizabeth stanęła jak wryta na dźwięk niskiego męskiego głosu.

- Ciii... - powtórzył James, trzymając w dłoni butelkę i niosąc Diamond do pokoju dziewczynek. Postawił butelkę na stole i wszedł do sypialni Skarbów. Po chwili wrócił z dużym drewnianym fotelem bujanym w prawej ręce, lewą tuląc do piersi Diamond. Fotel ustawił przy kominku. Ogień rzucał na ścianę migocące cienie.

James podniósł butelkę.

- Wiem, że jesteś głodna, ale nie wolno tak głośno

płakać. Obudzisz Elizabeth. Miała długi, ciężki dzień i potrzebuje snu. Proszę, kochanie, wytrzymaj jeszcze chwilę.

Sadowiąc się na fotelu, James przysunął sobie stopą stołek pod nogi. Kołysząc się w fotelu, przystawił smoczek do buzi Diamond.

- Już, już masz. Moja mała dziewczynka - uspokajał ją, a ona zaczęła ssać.

Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

Elizabeth stała w drzwiach, patrząc na niego. Z trudem oddychała. Wciąż w garniturze, James siedział w fotelu bujanym, trzymając Diamond w ramionach. Biała wykrochmalona koszula wysunęła mu się ze spodni, teraz była rozpięta. Czarne onyksowe spinki dyndały przy dziurkach mankietów. Końce ciemnego satynowego krawata zwisały wzdłuż rozpiętej koszuli. Elizabeth nie mogła oczu oderwać od jego owłosionej klatki piersiowej. Serce zabiło jej mocniej na widok Jamesa tulącego niemowlę do wykrochmalonej koszuli i karmiącego je z butelki. Patrząc na niego, Elizabeth zrozumiała, czym jest pożądanie. Ogarnęły ją uczucia, które znała tylko z książek, ale których sama nigdy jeszcze nie doświadczyła. Nagle zrozumiała, jakiego rodzaju namiętności przeżywali Tristan i Izolda, Heloiza i Abelard, Romeo i Julia.

Diamond poruszyła się w objęciach Jamesa. Natychmiast otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Niewygodnie ci, kochanie? Nic dziwnego. Ja też nie lubię tej sztywnej koszuli. - Uniósł nieco leciutką dziewczynkę, aby odsunąć koszulę. Przesunął Diamond tak, aby jej malutka twarzączka spoczywała na jego ciepłej skórze, a nie na sztywnym, szorstkim materiale.

Elizabeth czuła się tak, jakby za chwilę oszalałe ser-

ce miało wyskoczyć jej z piersi. Usta jej wyschły i z trudem łapała oddech. Wydawało jej się, że stoi nieruchomo, ale chyba musiała się poruszyć, skoro James podniósł głowę i popatrzył na nią.

- Dobry wieczór - powiedział miękko. - A właściwie dzień dobry. - Całą wieczność wpatrywał się w Elizabeth, zanim spytał: - Obudziła panią?

Nie było sensu udawać, że nie. Elizabeth kiwnęła głową.

- Słyszałam, jak płacze.

James zmarszczył brwi.

- Tego się obawiałem.

- Czy coś się stało?

- Zgłodniała - wzruszył ramionami. - Tak to już jest z niemowlętami. Nie ostrzegają o swoich zamiarach. Potrafią spać twardo, aby za chwilę wydzierać się wniebogłose. Zanim zdążyłem przyjść z balkonu i zgrażyć jej butelkę, zdążyła się zdenerwować.

- Co pan robił na balkonie?

„Pilnowałem cię” - omal nie odpowiedział James, ale w porę ugryzł się w język.

- Wyszedłem na balkon, żeby zapalić cygaro.

- Tak późno w nocy? - Elizabeth odgarnęła włosy z twarzy. - Kiedy pan śpi? - I zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Właściwie która jest godzina?

- Nie mogłem spać. - James uśmiechnął się do niej i Elizabeth dostrzegła pajęczynę zmarszczek wokół jego oczu. - Dlatego wyszedłem na balkon. Jest po trzeciej. Słyszałem bicie zegara kilka minut temu.

- Ja nic nie słyszałam - przyznała Elizabeth. - Spałam jak zabita, dopóki Diamond nie zaczęła płakać.

- Aha - skomentował James i cmoknął. Potrząsnął

głową ze współczuciem. - To zły znak. Najwyraźniej już to pani ma.

- Co? - wydawało jej się, że James zaczyna z niej żartować.

- Instykt macierzyński - odpowiedział poważnie.

- To źle? - teraz już wiedziała, że to żarty. Nikt nie uznałby, że instykt macierzyński to coś niewłaściwego.

- Zależy, jak na to spojrzeć - wyjaśnił James. - Dla mnie to dobrze, bo jako pani pracodawca mogę być pewien, że w nocy zawsze usłyszysz pani dziewczynki, gdy będą pani potrzebowały. Ale dla pani może się to okazać niekorzystne. - Potrząsnął głową, jakby doskonale zdawał sobie sprawę z jej trudnego położenia. - Kiedy ma się dzieci, a do tego instykt macierzyński, nigdy już nie śpi się spokojnie. Dopóki dzieci nie dorosną na tyle, żeby same mogły dawać sobie radę, cały czas trzeba być czujnym.

Elizabeth wzdrygnęła się na myśl, że posiadanie dzieci musi wiązać się z utratą spokoju.

- Tak właśnie się pan czuje?

- Codziennie - przytaknął.

Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedzialność, jaką wzięła na siebie, przyjmując u niego posadę, była ogromna, ale opieka nad Skarbami nie wydawała jej się zadaniem ponad siły, skoro wiedziała, że James tak chętnie dzieli z nią ten obowiązek. Rodzicielstwo przedstawiało być tak przerażające, kiedy współuczestniczyło w nim dwoje ludzi.

- Myślę - powiedziała miękko - że ja powinnam to robić.

- Co? - popatrzył na nią, szczerze zdziwiony.

- Karmić dziecko.

Jej ciche słowa sprawiły, że w wyobraźni James zoba-

czył obraz, który poruszył go do głębi: Elizabeth karmiąca dziecko, ich dziecko. Elizabeth oparta o poduszki w jego łóżku - z nim przy boku - rozchylająca koszulę, by podać pięknemu ciemnowłosemu noworodkowi nabrzmiałą pierś. Wyobraził sobie jej prześliczną pierś tak wypełnioną mlekiem, że różowy sutek otoczony był dwukrotnie większą niż normalnie aureolą. Słuchając mlaskania Diamond, James ujrzał oczami wyobraźni jej drobne usteczka, chciwie ssące nabrzmiałą pierś Elizabeth.

- Tak - zgodził się wreszcie - prawdopodobnie powinna pani. Ale ja lubię to robić.

- Naprawdę, to ja powinnam ją karmić - nalegała Elizabeth. - Za to mi pan płaci.

James uśmiechnął się szeroko.

- Jeszcze pani nie zapłaciłem. Poza tym - dodał, wyciągając z ust Diamond smoczek i odstawiając pustą butelkę na podłogę przy fotelu - ona już skończyła, a mnie jest zbyt wygodnie, żeby wstać. - Delikatnie odwrócił Diamond na brzusek, kładąc ją sobie na kolanach i klepiąc ją po plecach. Nie było mu zbyt wygodnie. Było mu zbyt *niewygodnie*. Nie zamierzał wstawać, aby nie ujawnić przed Elizabeth skutków swoich fantazji erotycznych. - Wygląda pani na zmęczoną. Może wróci pani do łóżka?

- Byłam zmęczona - oznajmiła Elizabeth. - Tak zmęczona, że ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to Pasamonte rzucający kamieniami w Don Kichota i Sancho Panse.

James spojrział na nią zdziwiony.

- Słuchałam, jak czytał pan „Don Kichota” Skarbow, kiedy przebieierałam się na kolację. - Przerwała nagle. Była naprawdę przerażona. - Kolacja! - Wpatrywała się w Jamesa, błagając wzrokiem o wyrozumiałość. - Tak mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć. Zapo-

mniałam o kolacji. - Weszła do środka. - Jak minęła?

- Samotnie.

Atmosfera wokół nich wyraźnie zgęstniała. Elizabeth nie mogła spokojnie oddychać ani myśleć racjonalnie, kiedy stała przed półnagim mężczyzną, ubrana jedynie w satynowy szlafrok. Spuściła głowę i nawinęła sobie na palec nitkę wystającą z paska. Ciągnęła ją, dopóki nie spruła szwu. Uświadamiając sobie, co zrobiła, próbowała ukryć zdenerwowanie i naprawić szkodę, zawiązując koniec paska w węzeł.

- Miałam na myśli jedzenie - wyszeptwała.

- Nie wiem - odparł. - Nie jadłem.

- Więc złamał pan jedną z kardynalnych zasad, jakie sam pan ustanowił.

Miała tyle wdzięku. James nie mógł oderwać od niej wzroku. Upajał się widokiem satyny opinającej jej piersi, biodra i uda. Patrzył na odbłask ognia na materiale przylegającym do wżgórka poniżej talii.

- Co to za zasady? - spytał, jakby nigdy o nich nie słyszał.

- To pańskie zasady - odparła. - Powinien pan pamiętać.

- Proszę odświeżyć mi pamięć - poprosił James niskim, ochrypłym głosem.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Proszę mi je przypomnieć.

- No dobrze - ustąpiła. - Zasada numer jeden: nigdy nie zostawiać dziewczynek samych. Zasada numer dwa: nigdy nie zostawiać otwartych drzwi na balkon. I zasada numer trzy: nigdy, przenigdy nie opuszczać śniadania, obiadu ani kolacji.

James zamknął oczy. To były zasady, których miał

przestrzegać jego personel. Chyba można je było nazwać kardynalnymi. Jeśli złamanie ich groziło karą, już powinien znaleźć się w czyścicu, bo właśnie złamał nie jedną, ale wszystkie trzy. I mało brakowało, a złamałby i czwartą: pod żadnym pozorem nie uwodzić guwernantki córek ani nie pozwolić, by ona uwiodła jego. James wstrzymał oddech, gdy Elizabeth podeszła bliżej i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu krzesła. Zdjął stopy ze stołka i popchnął go w jej kierunku. Elizabeth usiadła na nim, a James stopą przysunął sobie inny.

- Dobrze pan sobie radzi - pochwaliła go.

- Zwykle ręce mam czymś zajęte - wyjaśnił. - Musiałem nauczyć się korzystać z innych części ciała.

- Niewątpliwie - rzuciła Elizabeth, wpatrując się nie w jego stopę, ale mięśnie poniżej linii włosów na jego piersi. Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała te słowa na głos, dopóki nie usłyszała jego śmiechu.

Zaczerwieniła się po uszy.

- Przez takie uwagi może pani narobić sobie kłopotów.

Elizabeth uniosła brodę i wyzywająco odrzuciła do tyłu kosmyk włosów. Czuła, że stąpa po krawędzi przepaści. Jeden niewłaściwy krok i runie w dół. Jednak nie mogła się zatrzymać. Musiała zlekceważyć niebezpieczeństwo, balansować na krawędzi, kontynuować tę ekscytującą podróż w nieznane.

- Czyżby?

- Aha - niewiele pozostało w Jamesie z poprawnego, dobrze wychowanego biznesmena.

Elizabeth zwilżyła koniuszkiem języka nagle wyschnięte wargi.

Ten nieświadomy sygnał sprawił, że James stał się jeszcze bardziej spięty. Wszystkie nerwy miał nacią-

gnięte jak struny. Całe ciało aż go bolało, błagając o zaspokojenie, mimo że ostatniej nocy prawie nie spał, a teraz siedział ze swoją trzydniową córką na kolanach, czekając, aż się jej odbije.

- Robiąc to, może się pani znaleźć w jeszcze większych tarapatach.

Elizabeth spojrzała na niego ze swojego stołeczka, ustawionego tuż przy jego stopach.

- Myślę, że już za późno na ostrzeżenie. Chyba już mam kłopoty - wyszeptała gorączkowo. - Co powinienam zrobić?

James spojrział uważnie w jej niezwykle błękitnozielone oczy i wyczytał w nich pożądanie przemieszane z zakłopotaniem.

- Uciekaj - wyszeptał. - Ratuj się, póki jeszcze możesz. Elizabeth z trudem się podniosła.

- Tego właśnie pan chce?

James zacisnął zęby i popatrzył na nią znacząco. Chciał, żeby zrozumiała. Nie, wcale tego nie chciał. Wcale tego nie potrzebował. Ale tak było najlepiej dla niej. Elizabeth musiała zrozumieć, jak szlachetną ofiarę ponosiła dla jej dobra. Poklepał Diamond jeszcze raz i wreszcie małej się odbiło. Podniósł ją z kolan i oddał Elizabeth.

- Chcę - powiedział twardo - żeby robiła pani to, za co pani płacę. Proszę zabrać Diamond, położyć ją spać i...

Elizabeth odebrała Diamond, zanim skończył.

James odetchnął z ulgą, gdy zniknęła w sypialni Skarbów. Przez chwilę stał w ciszy, zastanawiając się nad swoim następnym ruchem. Byli bezpieczni. Przynajmniej na razie. Teraz musiał zniknąć. Odwrócił się i popatrzył na drzwi. Zastygł nieruchomo, widząc, że Elizabeth stanęła tuż przed nim.

- I? - spytała miękko, prowokacyjnie zwilżając wargi koniuszkiem języka.

James wpatrywał się w nią bez słowa.

- Chciał pan, żebym położyła Diamond spać i...

James poczuł, że jego ciało aż drży, tyle wysiłku musiał włożyć, żeby się opanować. Każdy nerw miał napięty do granic wytrzymałości. Zdusił w sobie naturalne pragnienie, by porwać Elizabeth w ramiona i zanieść do łóżka. Zaciśnął zęby.

- Niech to diabli...

Elizabeth zrzędała mina. Jej oczy napełniły się łzami, które zaraz mogły spłynąć po policzkach.

James patrzył na te jej błyszczące oczy i wszystkie jego dobre intencje się rozwiały.

- I - wyszeptał, przyciągając ją do siebie - pocałuj mnie na dobranoc.

25

Już pierwsze dotknięcie jego ust sprawiło, że serce Elizabeth zaczęło walić jak oszalałe, a po jej ciele przeszedł dreszcz. Wtuliła się w niego i oplotła jego szyję ramionami. Odchyliła głowę, by mógł się do niej mocniej przytulić. James położył dłoń na jej jędrnej piersi. Koniuszkiem języka przesunął wzdłuż szczeliny między jej wargami, smakując, badając, dopóki nie rozchyliła ust.

Zadrzała, gdy tak ją uwodził. Całował ją coraz namiętniej. Elizabeth zatraciła się w tym pocałunku, w ciepłe męzczyzny, jego zapachu, dotyku jego sprężystego ciała.

Jeśli całowanie było sztuką, to James był mistrzem, a ona zaś najbardziej złąknioną wiedzy i oddaną uczennicą, chętnie przyswajającą sobie wszystko, czego chciał ją nauczyć.

Zanurzyła palce w jego gęstych włosach, pragnąc go coraz bardziej, pragnąc jego miłości.

Nagle James przerwał pocałunek. Jego oddech stał się ciężki i nieregularny, a serce biło znacznie szybciej niż zwykle. Cofnął się kilka kroków, by móc na nią patrzeć. Boże, jaka jest piękna! Jej usta były teraz ciemnoczerwone i nabrzmięte, spojrzenie nieco zamglone, rozmarzone i zmysłowe. Wyglądała jak świeżo wyciąłowana i gorąco ukochana panna młoda. Nawet biała jak mleko skóra na jej policzkach nabrała kolorów.

- A niech to - mruknął, przesuając wskazującym palcem wzdłuż jej policzka. Otworzył usta, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale zaraz bez słowa wyszedł z pokoju. Elizabeth została sama i próbując się uspokoić, szukała odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że w ciągu zaledwie czterech dni i dwóch pocałunków zdążyła się w nim zakochać po uszy.

Nie miała pojęcia, jak znowu spojrzy mu w oczy. Co miała powiedzieć mężczyźnie, który całował ją, jakby już nigdy nie chciał się z nią rozstać, a potem odwrócił na pięcie i zostawił ją samą? Czy powinna zapomnieć o tej najwspanialszej rzeczy, jaka jej się w życiu przydarzyła? A może powinna przypomnieć Jamesowi, że całował ją z taką samą przyjemnością, z jaką ona poddawała się jego pocałunkom? A jeśli nawet chciałyby mu o tym przypomnieć, to w jaki sposób? Jak można okazać mężczyźnie miłość, jeśli on na to nie pozwala? Zwłaszcza wtedy, gdy on na to nie pozwala? Elizabeth westchnęła ciężko

i wsunęła ostatnią szpilkę w gruby kok upięty na karku. Przeciągnęła dłońmi po dopasowanym staniku zielonej sukni, wygładzając niewidoczne fałdy. Schyliła się, żeby pościelić łóżko. Była szósta rano. Czas, żeby budzić Skarby i zejść na śniadanie. Właściwie było już kilka minut po szóstej, dziewczynki powinny już wstać, ale dziś Elizabeth poświęciła nieco więcej uwagi toalecie. Z jakiegoś powodu chciała, żeby dziś rano James musiał zobaczyć ją w jak najlepszej formie. Coś więcej niż jej duma ucierpiało wczoraj, gdy zostawił ją samą. Uraził jej próżność i Elizabeth chciała za wszelką cenę, aby dobrze zdał sobie sprawę, co zlekceważył.

Elizabeth zdjęła Portię z poduszek i posadziła na krzesełku przy lustrze. Wygładziła pościel, strzepnęła poduszki i przykryła je narzutą w kratę.

- Kto to?

Elizabeth odwróciła się na pięcie na dźwięk dziecięcego głosiku i potknęła się o parę butów. Dużych butów. Męskich butów. Butów Jamesa. Stojących pod jej łóżkiem. Nie mogła oderwać wzroku od ich lśniącej skóry. Więc James nie tylko siedział na balkonie, ale spędził też trochę czasu w jej pokoju, wystarczająco dużo, żeby rozgościć się i zdjąć buty.

Oczami wyobraźni ujrzała Jamesa, takiego jakim go zapamiętała nad ranem w pokoju dziewczynek. James w rozpiętej koszuli, przysuwający jej stopą stołeczek. Elizabeth wyciągnęła buty i położyła je na toalecie.

- Tata - szeroko uśmiechnęła się Garnet.

- Tak, taty - potwierdziła Elizabeth, schylając się i podnosząc Garnet wysoko nad głowę, a potem sadzając ją sobie na biodrze. - Co ty tu robisz tak wcześnie? I jak sądzisz, co buty twojego taty robią pod moim łóżkiem?

Garnet uśmiechnęła się nieśmiało, popatrzyła przez ramię Elizabeth i powtórzyła:

- Kto to?

Patrząc w lustro nad toaletką, Elizabeth podążyła za wzrokiem Garnet.

- To Portia - wyjaśniła. - Moja najstarsza i najdroższa przyjaciółka. Ojciec dał mi ją, kiedy byłam taka mała jak ty, żeby złagodzić moją zazdrość o małego braciszka.

Garnet otworzyła i zamknęła dłoń, dając Elizabeth do zrozumienia, że chce potrzymać lalkę.

- Chcesz potrzymać Portię, jak będę cię ubierać do śniadania? - spytała Elizabeth.

Garnet entuzjastycznie przytaknęła, więc Elizabeth podała jej lalkę.

Dziewczynka mocno przytuliła ją do siebie. Elizabeth aż się skrzywiła, widząc, na co narażone są wyszukana fryzura i aksamitna suknia Portii. Gdy jednak Garnet wyciągnęła rączkę, żeby objąć i ją, Elizabeth stwierdziła, że może nadszedł już czas, żeby znów jakaś mała dziewczynka przytulała Portię i gniotła jej ubranie. Była to chyba odpowiednia nagroda za wszystkie lata, które Portia spędziła samotnie na półce w sypialni Elizabeth.

- Dobrze, Skarbie - zgodziła się Elizabeth, czując jak jej serce wypełnia się miłością, ilekroć patrzy na Garnet. - Chodźmy więc do łazienki, a potem ubierzemy cię na śniadanie.

Przewijanie Emeraldy, przebieranie Garnet, czesanie i wpinanie dziewczynkom we włosy wstążek pasujących do ich sukieneczek poszło o wiele szybciej, niż się Elizabeth spodziewała. Najgorzej było z ubiera-

niem Ruby, nawet kąpanie i przewijanie Diamond okazało się o niebo prostsze.

Najstarsza dziewczynka bez przerwy stawała okoniem. Wyrwała się, kiedy Elizabeth zdejmowała jej koszulkę nocną. Wierciła i krzyczała, gdy Elizabeth zakładała jej czerwoną sukienkę i fartuszek. Wyrwała z włosów czerwoną wstążeczkę i rzuciła ją na podłogę w napadzie złości. Elizabeth zrozumiała, że ubieranie Ruby oznaczać będzie taką samą wojnę nerwów, jak jej kąpanie, ryle że z innych powodów. Ruby nie chciała się kąpać, bo bała się wody. Nie chciała, żeby ubierała ją Elizabeth, bo nie miała ochoty ani na rozmowę, ani na zabawę z nową guvernantką. Na pomoc przybyła wprawdzie Delia, ale Elizabeth powierzyła jej łatwiejsze zadanie, czyli opiekę nad Diamond, i sama zajęła się Ruby. Moralne zwycięstwo w tej walce odniosła ona, bo koniec końców sama ubrała wszystkie cztery dziewczynki. Wprawdzie spóźniły się dziesięć minut na śniadanie, ale nie miało to znaczenia wobec faktu przełamania oporu Ruby. Kiedy jednak schodziły na dół, Elizabeth przestała już być taka pewna swego. Ruby miała na sobie sukienkę, wybraną przez Elizabeth, ale nie pozwoliła założyć sobie ani rajtuzów, ani butów. Dwukrotnie ściągała je i rzucała nimi w Elizabeth. Tak więc szła na śniadanie boso, z gołymi nogami i wściekła. Tylko dlatego, że Elizabeth pozwoliła Garnet odnieść Portię do pokoju, a Ruby chciała się nią pobawić.

- Dzień dobry. - James spojrział znacząco na zegar i wstał od stołu, gdzie, czekając na Elizabeth i dziewczynki, przeglądał gazety, które porannym ekspressem Will przywiózł z San Francisco. - Spóźniłyście się dziesięć minut

Elizabeth, trzymając Ruby za rękę i niosąc Emeraldę, spojrzała na niego ze złością.

- Więc może pan wnieść oskarżenie przeciwko mnie. James zrobił zdziwioną minę. Ruby wyrwała się Elizabeth i podbiegła do niego. Mocno objęła go za kolana.

- Co się stało, córeczko? - spytał.

- Jest wścicka - odparła Elizabeth, wciskając mu rajtuzy i buty Ruby razem z Emeraldą. - Proszę, niech pan sam spróbuje. I proszę wziąć Emmy. Muszę wrócić na górę po Garnet i Diamond.

Will podniósł do ust filiżankę i pociągnął łyk gorącej kawy. Uważnie obserwował Jamesa i Elizabeth.

James pocałował Emeraldę w czoło i posadził ją sobie w zgięciu ramienia. Schylił się i wyplątał z objęć Ruby. Dziewczynka zaczęła płakać.

- Co ją tak zezłościło? - spytał James, sadzając Emeraldę w jej wysokim dzieciennym krzeselku. Wziął Ruby na rękę, żeby ją uspokoić.

- Sam pan zobaczy - odpowiedziała Elizabeth, kierując się w stronę schodów.

- Zobaczę? - krzyknął za nią James. - Co to znaczy?

- To znaczy - odparła Elizabeth - że powinien pan zdjąć te śliczne laleczki z półek i pozwolić córkom bawić się nimi. Powinny móc przytulać, ubierać, rozbierać i kochać te lalki. Bo to przecież ich własne lalki.

- O czym ona mówi? - spytał zdezorientowany Will. James wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Skarby mają mnóstwo zabawek.

Kiedy jednak Elizabeth wróciła kilka chwil później, trzymając Garnet za rękę, zrozumieli, o czym mówiła. Garnet z całych sił przyciskała do siebie złocistowłosą lalkę, którą James widział na łóżku Elizabeth. Szła powolutku, najwyraźniej bojąc się, że upuści zabawkę.

Ruby siedziała na kolanach Jamesa, który właśnie za-

wiązywał jej sznurówki. Kiedy do kuchni przydreptała Garnet, rozpętało się piekło. Kiedy Ruby zobaczyła, że Garnet trzyma w ramionach lalkę, zaczęła się wiercić i kopać, wrzaskiem domagając się, by siostra jej ją oddała. Ale Garnet tylko mocniej przycisnęła Portię. Im głośniej krzyczała Ruby, tym większy upór wywoływało to w Garnet.

- Dlatego się spóźniłyśmy - oznajmiła Elizabeth z zadowoleniem na twarzy.

- Ruby chce dzidzie! - krzyknęła Ruby.

- Nie! - zaprotestowała Garnet.

Ruby była całkowicie zaskoczona reakcją zwykle uległej Garnet. Jeszcze bardziej rozdrażniona zdecydowanie wyciągnęła rękę, żeby odebrać siostrze lalkę. Garnet cofnęła się, przyciskając do siebie Portię. Ruby ponowiła próbę, ale teraz wtrącił się James.

- Dość tego! - zarządził głosem zaledwie o ton głośniejszym niż zwykle.

Ale to wystarczyło. Dziewczynki nigdy wcześniej nie słyszały, żeby ojciec podnosił głos, więc natychmiast się uciszyły. Łzy Ruby wyparowały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy James sadzał ją na jej zwykłym miejscu przy stole. Podszedł do Garnet, która ssała kciuk i tuliła do siebie lalkę. Kucnął przy niej.

- Kto to? - spytał.

- Libeth - łagodnie odpowiedziała dziewczynka.

Zerknął na Elizabeth, oczekując wyjaśnienia.

- Nie, kochanie, ona ma na imię Portia, pamiętasz?
- poprawiła Elizabeth.

- Libeth - upierała się Garnet.

- Wiecie co - wtrącił zamyślony Will - myślę, że Garnet ma rację. Ta lalka wygląda dokładnie tak jak Elizabeth.

James przyjrzał się zabawce.

- Skąd ją wzięłaś? - spytał córkę.

- To moja lalka - odparła Elizabeth. - Pozwoliłam Garnet ją potrzymać, kiedy przyszła do mnie dziś rano. Tak bardzo jej się spodobała, że zgodziłam się, żeby zabrała ją ze sobą do swojego pokoju. - Elizabeth popatrzyła na Ruby. - I już nie chciała jej oddać. Nie przyszłoby mi do głowy, że Portia wywoła wojnę domową Craigów tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku - dodała z przekąsem.

James uśmiechnął się, rozbawiony jej słowami.

- Pozwolisz Ruby potrzymać Portię, Libeth, na chwilę? - jeszcze raz spróbował dogadać się z Garnet.

Dziewczynka wyjęła z buzi kciuk.

- Nie.

- Pozwolisz tacie popilnować Libeth w czasie śniadania?

- Ona ma na imię Portia - wtrąciła Elizabeth.

- Nie dla Garnet - odparł James. - Mogę ją potrzymać? Garnet potrząsnęła głową.

- Tylko na chwilę?

- Nie. - Dziewczynka zdecydowanie pokręciła głową.

Nie przyzwyczajony do dyskusji z Garnet, która zawsze była bardzo grzeczna i spokojna, James spróbował innej sztuczki.

- A może chcesz, żeby Portia zjadła z nami śniadanie? Garnet przytaknęła.

James uśmiechnął się triumfalnie.

- Chcesz, żeby Portia usiadła z tatą?

- Nie - uśmiechnęła się nieśmiało do ojca. - Libeth. - Garnet podbiegła do Elizabeth, oddała jej lalkę i przytuliła się do jej sukni.

Elizabeth zapało dech w piersiach, w oczach poja-

wiły się łązy. James odtrącił ją po wczorajszym pocałunku, ale Garnet najwyraźniej całkowicie ją zaakceptowała. Był to już jakiś początek.

- Pomyślałem sobie - oznajmił James, gdy Elizabeth odzyskała Portię i wszyscy zasiedli do stołu, aby zjeść owsiankę podaną w równie dziwacznych naczyniach jak poprzedniego ranka - że być może byłem dla pani niesprawiedliwy.

Will jęknął.

- W jakim sensie? - obojętnym tonem zapytała Elizabeth.

- Przygotowałem program dnia Skarbów, uwzględniając wyłącznie własne oczekiwania.

Will znów jęknął, a Elizabeth zeszywniała na swoim krześle. James był zbyt zajęty szukaniem odpowiednich słów dla opinii, którą chciał wyrazić, żeby zorientować się, że zaraz popełni głupstwo.

- Więc zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeśli...

- Jeśli opuszczę tę posadę - dokończyła za niego Elizabeth.

James był całkowicie zaskoczony.

- To chciał pan powiedzieć? - ciągnęła. - Z powodu tego, co stało się dziś rano w pokoju dzieci?

- Co się stało dziś rano w pokoju dziewczynek? - Will nie mógł dłużej powstrzymać ciekawości.

- Nie wtrącaj się - James i Elizabeth zgodnie zganiłi Willa.

- Czy pani tego chce? - spytał James, powtarzając pytanie, które ona zadała mu poprzedniego wieczora.

- Oczywiście, że nie. - Elizabeth odłożyła serwetkę. - Chcę tu zostać z pa... ze Skarbami. Chcę być ich guwernantką.

- Ja też tego chcę - łagodnie odparł James, wpatrując się w jej śliczną twarz i przywołując to, co czuł, trzymając ją w ramionach. Zupełnie zapomniał, że nie są sami. - Chcę, żeby pani została.

- Więc dlaczego znów chciał mnie pan zwolnić?

- Wcale nie - zaprzeczył James. - Po prostu chciałem ułatwić pani pracę, zmieniając nieco program Skarbów. Pomyślałem, że gdybyśmy zrezygnowali ze wspólnego śniadania, mogłybyście dłużej pospać.

Teraz Elizabeth wyglądała na zszokowaną.

- Ale przecież pan lubi jadać śniadania ze Skarbami.

- Kto tak pani mówi? - spytał James, sądząc, że ktoś ze służby powiedział Elizabeth, że śniadanie ze Skarbami to jedna z jego zasad.

- Nikt nie musiał mi o tym mówić - odparła Elizabeth. - Sama widzę, że lubi pan, co tam lubi, że uwielbia pan to poranne zamieszanie. - Ruchem głowy wskazała na stół przykryty obrusem upstrzonym plamami po mleku i owsiance, której nie udało się dotrzeć z misek do buź. - Nie zamierzam pozbawiać pana tej przyjemności.

- Była pani tak zmęczona, że nie zjadła kolacji - przypomniał jej James. - I to już dwukrotnie - podkreślił. - Dwa wieczory z rzędu. Zasnęła pani, przebierając się do kolacji.

Elizabeth rozjaśniła się, bo wreszcie zdała sobie sprawę z tego, że James wcale nie kwestionuje jej umiejętności. Zrozumiała, że chodzi mu tylko o to, żeby nie traktowała tak rygorystycznie swoich obowiązków, dopóki nie nabierze doświadczenia. Nie krytykował jej, tylko okazywał swoją troskę. A to zmieniało wszystko.

- Za bardzo się pan martwi - rzuciła zalotnie.

- Wcale się nie martwiłem - szybko zaprzeczył James.

- Czyżby? - Elizabeth rzuciła mu zuchwałe spojrzenie. - Wczoraj w nocy siedział pan na balkonie przy moim pokoju.

- Mówiłem już, że paliłem tam cygaro - wyjaśnił James coraz bardziej skrępowany. Nie wiedział, do czego zmierza Elizabeth.

- Czy tylko dlatego? Żeby zapalić cygaro?

- Oczywiście - skłamał James. - Po cóż innego miałbym siedzieć w nocy na balkonie?

- Nie wiem. - Elizabeth nonszalancko wzruszyła ramionami. - Sądziłam, że może być jeszcze jakiś inny powód, skoro - zrobiła przebiegłą minę - zapomniał pan butów.

James otworzył usta ze zdumienia.

- Znalazłam je u siebie pod łóżkiem. Dziś rano.

26

- I czego się dowiedziałeś? - spytał James przyjaciela w drodze do biura. - Twój znajomy z „Kroniki” miał jakieś informacje o bracie Elizabeth?

- Stary Cromartie to istna kopalnia wiedzy na temat Owena. - Will uśmiechnął się szeroko do Jamesa, zadowolony z siebie, bo wszystkie potrzebne informacje udało mu się zebrać w jeden dzień. Oczywiście James zrobiłby to jeszcze szybciej, gdyby w San Francisco nie zajął się wyłącznie sprowadzaniem Elizabeth do Coryville. - Owen Sadler zmarł ponad dwa miesiące temu w Czerwonym Smoku Lo Penga na ulicy Washingtona.

-Jak?

- Narkotyki - wyjaśnił Will, zerkając do niewielkiego notesu. - Cromartie rozmawiał ze wszystkimi znajomymi Owena Sadlera, których udało mu się odnaleźć. Mówią, że młody Sadler przyjechał do San Francisco z Providence na Rhode Island w poszukiwaniu przygód. Niestety, któryś z kolegów zaraził go upodobaniem do rozrywek oferowanych w Czerwonym Smoku. Najprawdopodobniej kolega chętniej korzystał z usług zatrudnionych tam kobiet, Owenowi przypadło do gustu opium. Skończyły mu się pieniądze. Zamiast zwrócić się do rodziny, zatrudnił się w Banku Wells Fargo przy ulicy Montgomery. Jeden z jego kolegów zapamiętał ten fakt, bo wydało mu się dziwne, że Owen wolał pracować niż wziąć pieniądze od zamożnej rodziny. Wiedział, że jej rodzina ma bank w Providence?

James przytaknął.

- Tak, wspomniała o tym. Co jeszcze?

- Najprawdopodobniej Owen napisał do Elizabeth, bo kiedy przyjechała do San Francisco, wiedziała, że mieszkał w Pensjonacie Ordley's na ulicy Montgomery. Wiedziała też, że pracował w Banku Wells Fargo. Nie miała jednak pojęcia, co się stało. Kiedy przyjechała do pensjonatu, pani Ordley odesłała ją na policję i dopiero tam oficer dyżurny powiadomił ją, że Owen nie żyje od ponad dwu miesięcy. I że przypuszczalnie zmarł w Czerwonym Smoku, bo jego ciało znaleziono w miejscu, gdzie ludzie Lo Penga zawsze wyrzucają martwych białych.

James zamknął oczy, wyobrażając sobie, co musiała czuć Elizabeth, kiedy po przebyciu trzech tysięcy mil na spotkanie z bratem dowiedziała się, że on nie żyje. Sam widział, jak bardzo to przeżyła.

- Coś jeszcze?

- Spędziła noc w Russ House, wyszła wcześniej rano i wróciła na policję. Rozmawiała z sierżantem... - Will zerknął do notatek - Darnellem, który powiedział jej o cmentarzu dla nędzarzy przy kościele Saint Mary. Elizabeth wyszła z komisariatu i pieszo...

- Pieszo przyszła do kościoła? - przerwał James. - Przez Chinatown? Sama?

- Obawiam się, że tak.

- Co się wydarzyło w kościele?

- Ojciec Paul, jeden z tamtejszych księży, poszedł z nią na cmentarz. Nie pamiętał Owena, ale przypomniał sobie, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy na cmentarzu pochowano trzech młodych chłopców, których ciała znaleziono w pobliżu. Elizabeth uznała, że jeden z tych trzech grobów to grób Owena, i udała się do kamieniarza Dormineya na ulicy Larkin. Zamówiła marmurowy pomnik. Zapłaciła połowę ceny z góry i obiecała dopłacić resztę po dostarczeniu pomnika - Will przerwał na chwilę. - Chcesz, żebym spłacił kamieniarza?

- Jeszcze nie - odparł James. - Ale skontaktuj się z nim i poproś, żeby mnie powiadomił, jak pomnik będzie gotowy. Niech przyśle mi rachunek. Coś jeszcze?

- Elizabeth podarowała także sporą sumę ojcu Paulowi na opiekę nad grobem. Potem znalazła sobie pokój u Augusty Bender i tam spędziła noc. Czerwonego Smoka zdemolowała po tym, jak jedna z dziewcząt madame Bender ostrzegła ją, że poszukuje jej policja za kradzież chusteczki pewnego bogatego dżentelmena. Tego samego dnia po południu została aresztowana w Czerwonym Smoku pod zarzutem kradzieży i wandalizmu. Sądził ją sędzia Clermont. Wymierzył jej grzywnę w wysokości pięćdziesięciu dolarów z zamianą na trzy dni więzienia.

Najwyraźniej nie miała tylu pieniędzy, bo zdecydowała się spędzić te trzy dni w więzieniu.

James podniósł dłoń.

- Dobrze, wystarczy. Resztę znam - spojrzał na Willa. - Jestem pod wrażeniem. Skąd Cromartie tyle wie?

- Powtórzyłem mu wszystko, czego dowiedziałem się o niej od ciebie. On podjął ten ślad i dotarł aż do więzienia, gdzie teraz mówi się o tobie niezbyt pochlebnie - Will uśmiechnął się do Jamesa. - A tak przy okazji, jesteś mi winien trzy butelki brandy i skrzynkę szampana... aha, i dwa bilety sezonowe do opery.

James gwizdnął przez zęby.

- Nieźle kosztowały te informacje!

- Cromartie wiele ryzykował, przyjmując to zadanie - przypomniał mu Will.

- Nie mówię o cenie - sprostował James. - Fakt, że jego informacje były aż tak drogie, dobitnie świadczy o tym, jak wiele ryzykował.

Will przytaknął.

- Cromartie nie miał problemu z zebraniem informacji. Ryzykował, przekazując mi je - zerknął na Jamesa. - Lo Peng nie tylko o tobie wie absolutnie wszystko, wie też wszystko o mnie. Cromartie będzie się musiał nieźle natrudzić, żeby przekonać Lo Penga, że nie jest po naszej stronie - powiedział Will, kiedy dotarli do biura.

- Przepraszam - westchnął James. - Nie powinienem był wciągać was w swoje sprawy.

- A od czego ma się przyjaciół i partnerów? - spytał Will, wzruszając ramionami. - Zresztą i tak tkwię w tym po uszy. Nie chodzi przecież tylko o Elizabeth i Owena.

James zdziwił się.

- Sytuacja w obozach górniczych nie wygląda dobrze

- poinformował go Will. - Walijczycy i Kornwalijczycy nie chcą mieszkać w jednym obozie z Chińczykami.

James zaklął ze złością.

- I będzie coraz gorzej. Słyszałem dziś rano, że Ton-gowie odwracają się od ciebie. Cofnęli ci pozwolenie. Już nie będziesz dostawał dziewczynek.

- Lo Peng i ja zawarliśmy układ. On wie, że ja też mam swoje wpływy zarówno w Hongkongu, jak i w Chinach.

- Zawarliście układ, który sprawiał, że Lo Peng wstrzymywał się z otwartym wystąpieniem przeciwko nam - poprawił go Will. - Ale awantura z Elizabeth wszystko zmieniła. Lo Peng uważa, że to ty odpowiadasz za zniszczenie Czerwonego Smoka i za to, co stało się w Hongkongu.

- Dlaczego ten stary hipokryta miałby się przejmować tym, co się działo w Hongkongu? - nie mógł zrozumieć James. - Przecież to on sprzedał ją handlarzowi.

- Mei Ling była jego siostrzenicą. Obwinia cię za jej śmierć.

James ciężko wciągnął powietrze. Odkąd umarła, nikt prócz niego nie wymawiał głośno jej imienia.

- I ma rację. Jestem winien jej śmierci.

- Jamie - łagodnie powiedział Will. - Mei Ling po prostu chciała umrzeć.

James odwrócił się do Willa. Na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Spróbuj mnie o tym przekonać! Ona chciała tylko, żebym jej wybaczył. A ja nie mogłem! Nie mogłem jej wybaczyć.

- Chciała, żebyś jej wybaczył, bo chciała, żeby wszystko wróciło do normy. Niezliczoną ilość razy

w czasie waszego małżeństwa Mei Ling robiła coś wbrew tobie, a potem błagała o wybaczenie. Uważała, że wybaczenie oznacza aprobatę. I skoro jej wybaczasz, to znaczy, że aprobujesz wszystko, co zrobiła.

- Wiem - powiedział James ze łzami w oczach. - Bardzo chciałem móc jej przebaczyć. Ale nie umiałem. To dlatego zmarła.

- Mei Ling umarła, bo sama sobie nie umiała wybaczyć. Nie umiała żyć z takim brzemieniem. Gdybyś ty jej wybaczył, na pewno wmówiłaby sobie, że zrobiła to tylko dlatego, że ty tego chciałeś. Nawet jeśli sam nie byłeś do tego zdolny. Wmówiłaby sobie, że tak właśnie musiała postąpić. Dla ciebie. Dla swojego męża.

James odwrócił się do Willa, przygważdżając go spojrzeniem.

- Ty umiałbyś jej wybaczyć.

Will zamrugał powiekami i patrzył na Jamesa w milczeniu.

- Kochałeś ją tak samo jak ja.

- Jamie, ja...

James uniósł dłoń, by powstrzymać dalsze słowa Willa.

- To bez znaczenia. Ja ją kochałem. Ty ją kochałeś. Obaj ją kochaliśmy. Wiedziałem o tym od samego początku - James potrząsnął głową. - Tak samo jak ja nie mogłeś na to poradzić. Nie żywiłem do ciebie z tego powodu żalu. Jesteś bratem, którego nigdy nie miałem. Jesteśmy do siebie wyjątkowo podobni. Czemu nie mielibyśmy zakochać się w tej samej kobiecie?

- Nie chciałem, żebyś się o tym dowiedział. Nie chciałem nawet, żeby Mei Ling wiedziała.

- A wiedziała?

Will potrząsnął głową.

- Nie interesowała się mną. Kochała ciebie.

James ze zrozumieniem skinął głową. Żaden z nich nie chciał powiedzieć na głos tego, z czego obaj zdawali sobie sprawę. Mei Ling wybrała spadkobiercę Craig Capital. Gdyby było odwrotnie, gdyby to Will dziedziczył Craig Capital, prawdopodobnie Mei Ling wybrałaby jego.

- Ty nie pozwoliłbyś jej umrzeć, Will - rzekł z przekonaniem James. - Potrafisz być wielkoduszny. Masz większe serce - zacisnął oczy, powstrzymując łzy. - Gdyby Mei Ling poślubiła ciebie, wciąż byłaby z nami.

- Nie, Jamie - zaprzeczył Will. - Mylisz się. Ja nie widziałem tyle co ty. Nie wycierpiałem tyle co ty, a mimo to dręczą nas takie same koszmary. Nie wybaczyłem jej, kiedy żyła, a i teraz nie umiem. Są rzeczy, które tylko Bóg może przebaczyć. Zbrodnia Mei Ling to jedna z takich rzeczy.

James przytaknął. Przez ostatnie trzy lata często zastanawiał się, co czuje Will. Teraz już wiedział. Nie wiedział natomiast, czy świadomość, że Will nie obwinia go za śmierć Mei Ling, wystarczy, aby mógł spokojnie spać, ale przecież nie o sen tu chodziło. Wyciągnął rękę do Willa i poklepał go po ramieniu.

- Dziękuję, przyjacielu.

- Wystarczyło zapytać, Jamie. Jak sam to powiedziałaś, jestem bratem, którego nigdy nie miałeś.

Will podszedł do barku za biurkiem Jamesa i wyciągnął z niego wiekową szkocką whisky i dwa kieliszki. Nalał im obu. Jeden kieliszek podał Jamesowi, drugim wzniosł toast.

- Za starych przyjaciół i lepsze czasy.

- Niech będzie - zgodził się James.

Stuknęli się kieliszkami i podnieśli je do ust.

Zgodnie z planem dnia Elizabeth, Delia i Skarby wróciły ze spaceru o czwartej po południu. Ruby wciąż kaprysiła, broniąc się za wszelką cenę przed kontaktem z Elizabeth. Dziesięć po czwartej Delia zabrała się za przygotowywanie kolacji dla dzieci. Między wpół do piątej i szóstą ze swojego miejsca na poduszce na łóżku Elizabeth zniknęła Portia.

Główną podejrzaną stała się Ruby. Nie trzeba było szczególnej przenikliwości, żeby się domyślić, dlaczego lalka zniknęła. Elizabeth musiała bardzo się hamować, żeby nie wybuchnąć złością. Jedyna rzecz, jaką zabrała ze sobą z domu na ulicy Hemlock, zniknęła tylko dlatego, że jednocześnie chciały ją mieć i Ruby, i Garnet.

Jeszcze przed skończeniem kolacji rozpoczęły się poszukiwania Portii. Podczas gdy Elizabeth kąpała Diamond, Emeraldę i Garnet i szykowała je do snu, pani Glenross i Annie przeszukały parter, a Delia pokój dziecinny. Gospodyni wraz z dwiema pokojówkami przerzuciły dom do góry nogami, zaglądając do wszystkich ulubionych skrytek Ruby, wszystkich kątów i zakamarków, które mogłyby zainteresować trzylatkę. Jednak Portia się nie odnalazła.

Elizabeth próbowała rozmawiać z Ruby, ale bezskutecznie. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko czekać i mieć nadzieję, że gdy Ruby przestanie się złościć, lalka się odnajdzie. Jednak Garnet nie umiała być równie cierpliwa. Chciała dostać Portię i nie rozumiała, dlaczego nikt nie może jej znaleźć. Kiedy zaczęła płakać, prosząc o lalkę, Elizabeth z trudem się powstrzymywała, żeby jej nie zawtórować.

Na razie, kierując się rozsądkiem, Elizabeth zdecydowała, że tego wieczora Delia umyje Ruby i położy ją spać.

Bała się, że mogłaby stracić panowanie nad sobą, gdyby dziewczynka nadal próbowała z nią walczyć w łazience.

Elizabeth zamknęła się w swoim pokoju, zanim James wrócił do domu, gotów kontynuować opowieść o Don Kichocie.

Późnym wieczorem, kiedy dzieci już spały, ktoś zapukał do drzwi pokoju Jamesa. Kiedy otworzył, zobaczył na korytarzu panią Glenross.

- Czy coś się stało? - spytał.

Gospodyni zmarszczyła brwi.

- Bardzo mi przykro, że zawracam panu głowę, panie Craig, ale pomyślałam, że chciałby pan wiedzieć, że panna Sadler znów nie zeszła na kolację. I nie chciała zjeść u siebie.

- Co takiego? - James również nie schodził na kolację. Pani Glenross przyniosła mu kanapki do gabinetu zaraz po tym, jak skończył czytać Skarbom na dobranoc.

- Przez całe popołudnie była zdenerwowana - wyjaśniła gospodyni. - Odkąd zginęła jej lalka.

- Co się stało? - zdziwił się James.

- Kiedy po południu panna Sadler wróciła z dziewczynkami ze spaceru w parku, zauważyła, że jej lalka, ta która tak bardzo wpadła w oko panience Garnet, gdzieś zniknęła.

- O, nie - wymruczał James, przeczuwając najgorsze. - Ruby.

Pani Glenross przytaknęła.

- Też nam się tak wydaje - przyznała. - Ale przewróciliśmy cały dom do góry nogami i nie znalazłyśmy ani śladu Portii. Jeśli panienska Ruby naprawdę ją schowała, to muszę powiedzieć, że wybornie jej się to udało.

- Co mam teraz zrobić?

- Mógłby pan porozmawiać z Ruby z samego rana - poradziła gospodyni. - I chyba powinien pan też pomówić z panną Sadler. Jest tym bardzo przygnębiona.

- Co mam jej powiedzieć?

- Niech pan znajdzie jakiś pretekst, powie na przykład, że chce pan z nią porozmawiać o Skarbach, programie, o czymkolwiek. Tylko proszę do niej iść. Bardzo ją polubiłam, panie Craig, i trochę się o nią martwię.

- Dobrze. Zobaczę, co mi się uda zrobić.

- Dziękuję panu - pani Glenross odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję bardzo.

James poczekał, aż gospodyni opuści pokój. Potem zawiązał w serwetkę ostatnią kanapkę. Wsunął ją do kieszeni szlafroka i udał się do pokoju dziecinnego. Przystanął na chwilę w sypialni dziewczynek i popatrzył na nie. Skulone w łóżeczkach spały spokojnie. James uśmiechnął się, widząc słodką buzię Ruby. Nikt by nie uwierzył, ile zamieszania dziś wywołała. Potrząsnął głową. I to z powodu jakiejś lalki! Zerknął w górę na półkę, gdzie wysoko nad głowami Skarbów siedziały trzy piękne lalki. Każda z nich była inna. Jedna miała rude loki i wielkie zielone oczy. Druga brązowe włosy i niebieskie oczy, a trzecia włosy blond i także niebieskie oczy. Kupił je w San Francisco dla Ruby. Jeszcze wtedy była za mała, żeby się nimi bawić, więc wraz z panną Glenross usadzili je wysoko na półce. O ile się orientował, dziewczynki nie zwracały na nie najmniejszej uwagi. Dopiero dziś Ruby i Garnet rozpętały prawdziwą wojnę o lalkę Elizabeth. Popatrzył na śpiącą Garnet. Trzymała w buzi kciuk i marszczyła czoło. Podeszedł do jej łóżeczka, schylił się i delikatnie wygła-

dził opuszką palca jej brwi, jakby chciał usunąć z jej główki wszelkie zmartwienia, które się w niej zebrały. Na palcach przeszedł pod drzwi sypialni Elizabeth.

Zapukał do drzwi.

- Elizabeth?

Nie odpowiadała, ale James wiedział, że jest w środku. Zza drzwi dobiegał go zduszony szloch. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte.

Zapukał jeszcze raz.

- Proszę, niech mi pani otworzy.

Nie było odpowiedzi.

- Nie zjadła pani kolacji. Czy wszystko w porządku?

Na dźwięk głosu Jamesa Elizabeth wypuściła poduszkę z rąk i usiadła na łóżku.

- Bardzo mi przykro z powodu lalki - usłyszała zza drzwi. - Przykro mi z powodu Portii.

Potem James wrócił do swojego pokoju.

Elizabeth sturlała się z łóżka i podeszła do lustra. Miała spuchnięte powieki i czerwony nos. Nie chciała, żeby James wiedział, że płakała z powodu takiego głupstwa jak lalka. Ale nie chciała też stracić okazji zobaczenia się z nim. Zbliżyła się do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Wyszła na zewnątrz, ale było za późno. James odszedł. Znow odszedł.

Zamknęła drzwi i otworzyła balkon. Wyciągnęła na zewnątrz rozkładaną kanapę, usiadła i czekała.

- Ojciec dał mi ją w dniu, kiedy urodził się mój brat - powiedziała, słysząc odgłos zapalanej zapałki. Kilka sekund później dostrzegła niebieskopomarańczowy ognik. To James przypalał cygaro. - Oprócz prezentów na święta i urodziny ojciec nigdy nic mi nie podarował z wyjątkiem Portii.

- Więc jest mi tym bardziej przykro, że zginęła - rzekł James, podchodząc ze swojego końca balkonu. Zatrzymał się zaledwie kilka kroków od niej. Był bo- so i bez koszuli, tak jak pierwszej nocy, gdy się spo- tkali. Miał na sobie tylko swój ulubiony jedwabny szla- frok i spodnie. I wcale nie wydawał się zaskoczony na jej widok. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podał jej.

Elizabeth przyjrzała się jej, szukając w przyćmio- nym świetle wyszytych w rogu inicjałów. J. C. C.

- Czy pójdę do więzienia, jeśli ją przyjmę?

James potrząsnął głową.

- Nie, ale jeśli nie przyjmie pani tego - z drugiej kie- szeni wyjął zawiniątko i podał jej - będę musiał roz- ważyć i taką możliwość.

Elizabeth rozwinęła paczuszkę i znalazła w niej pla- ster pieczonej wołowiny pomiędzy dwiema kromkami chleba.

- Proszę wytrzeć oczy i zjeść kanapkę - polecił James.

- Zachowuję się jak dziecko - pociągnęła nosem Eli- zabeth. - Żeby tak płakać z powodu lalki - ugryzła ka- napkę raz, potem drugi.

- Myślę, że ma pani do tego prawo - odparł James.

- Najpierw Owen, teraz lalka.

Na dźwięk imienia brata Elizabeth otworzyła sze- roko oczy ze zdziwienia.

- Wiem o Owenie. Zebrałem trochę informacji - przy- znał się. - Wiem, gdzie i jak zmarł. I dlaczego przy uży- ciu parasola tak zdemolowała pani Czerwonego Smoka.

Elizabeth odetchnęła.

- Co za ulga - powiedziała. - Bałam się, że pomyśli pan, że zamierzam demolować wszystkie palarnie opium po kolei.

- Palarnie opium są całkowicie legalne - przypomniał jej James. - Może i dzieją się w nich okropne rzeczy, ale mogą działać. Pani brat miał ponad dwadzieścia jeden lat. Sam dokonał wyboru.

- Wiem. I to właśnie jest najsmutniejsze. Ludzie tacy jak Lo Peng bogacą się, żerując na słabości innych. Owen miał tylko dwadzieścia jeden lat. Był młody, nigdy nie miał silnej woli, ale ja kochałam go mimo wszystko. Nie zasługiwał na śmierć. Ani na to, żeby wyrzucić go na ulicę, jak wyrzuca się śmieci.

- Więc postanowiła pani zdemolować Czerwonego Smoka - James pokręcił głową. - Dlaczego wcześniej mi pani nie powiedziała? - Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby usiąść.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Co miałam powiedzieć? Owen nie żyje. Jego ciało wyrzucono na ulicę. Nie da się zmienić faktów - mówiąc to, podciągnęła nogi pod siebie, żeby zrobić miejsce dla Jamesa.

James westchnął.

- Wiem, że nie zmniejszy to pani bólu, ale ciało pani brata wyrzucono na ulicę nie dlatego, że to akurat jego ciało. Nie twierdzę, że to nie było okropne. Mówię tylko, że dla Lo Penga to konieczność. Widzi pani, w tym kraju Chińczycy nie mają wielu praw. Muszą przechodzić na drugą stronę ulicy, jeśli biały idzie chodnikiem. Mogą posiadać sklepy, ale zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że policja i lokalna społeczność nie dadzą im spokoju. Właściciele palarni opium i kasyn są na to najbardziej narażeni, bo mężczyźni często wdają się tam w bójki i giną. Wielu umiera też z przedawkowania narkotyku. - Zaciągnął się cygarem.

- Kiedy umiera Chińczyk, nikt nie zwraca na to uwagi, ale kiedy umiera biały, zaraz podnosi się krzyk. Chińscy handlarze często oskarżani są o spowodowanie śmierci lub trucie klientów. Jeśli znajdą martwego białego w lokalu Chińczyka, właściciel pada ofiarą lin-czu. - James wypuścił z ust dym z cygara.

Elizabeth przeszył dreszcz.

- Ale i tak jest to niewybaczalne.

- Owszem - zgodził się James.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie James przerwał ciszę.

- Czy wiedziała pani, że Owen jest uzależniony od opium? Czy to dlatego wyjechała pani z Providence?

- Do San Francisco przyjechałam na skutek błędnej decyzji. Nie miałam pojęcia o tym, że Owen jest starym bywalcem Czerwonego Smoka. Dopiero na miejscu dowiedziałam się o jego śmierci.

- W takim razie co się stało? - spytał, wstając z kanapy i podchodząc do krat balkonu.

Elizabeth parsknęła niezbyt elegancko.

- Babka mnie wydziedziczyła. Kazała mi opuścić dom, w którym się wychowałam, i w ogóle Providence. Nie miałam dokąd pójść, więc postanowiłam zamieszkać z Owenem.

Jamesowi nie chciało się wierzyć, żeby Elizabeth mogła zasłużyć sobie na tak surową karę.

- Dlaczego panią wydziedziczyła?

- Zostałam skompromitowana.

- Nie wierzę - krótko stwierdził James.

- To prawda - oświadczyła Elizabeth. - W każdym razie tak to widziała moja babka.

- A co pani o tym myśli? - 2 tego, co James już wcze-

śniej usłyszał o babce Elizabeth, podejrzewał, że to niezwykle surowa w swych sądach kobieta.

- Zajmowałam się starym przyjacielem rodziny, który przyjechał chory do miasta na święta.

- Przyjaciół?

Elizabeth przytaknęła.

- Ma na imię Samuel Wright. Jeszcze w szkole przyjaźnił się z moim ojcem.

- Tak? - zaciekał się James.

- Znałam Samuela od zawsze, Kiedy więc przyjechał wcześniej, niż planował, nie widziałam nic złego w tym, żeby odprowadzić go do hotelu. Mojej matki i babki nie było akurat w mieście. Mieszkałam u lady Wirnbley razem z kilkoma innymi dziewczętami, które nie wyjechały do domu na święta, więc nasz dom był zamknięty, a służba miała wolne. Samuel miał wysoką gorączkę, bardzo się pochorował. Odprowadziłam go do pokoju i wezwałam lekarza. - Elizabeth popatrzyła na swoje mocno zaciśnięte pięści. - Nie mogłam go zostawić. Nikt inny nie mógł się nim zająć. Był sam, chory, leżał rozpalony. Lekarz poradził, żebym została z Samuelem, dopóki mu się nie polepszy albo... - głos uwiązł jej w gardle. - I zgodziłam się. Nie myślałam wtedy ani o przyzwoitości, ani o reputacji, ani o tym, że Samuel to wdowiec. Wcale mnie to nie obchodziło. Zależało mi tylko na tym, żeby nie umarł.

- Ale pani babka uznała, że to było nieprzyzwoite - domyślił się James.

- Tak - przyznała Elizabeth. - Dla mojej babki przyzwoitość zawsze była najważniejsza. Nie życie Samuela, nie ja, tylko przyzwoitość. A ponieważ spędziłam trzy dni i dwie noce sama w towarzystwie nieżonatego męż-

czynny, babka uznała, że zszargałam swoją reputację.

I co było potem? - łagodnie dopytywał James.

- Tak tylko Samuel wyzdrowiał i zrozumiał, co się stało natychmiast udał się do babki i poprosił o moją rękę.

- Odmówiła mu? - nie mógł uwierzyć James.

- Ależ skąd - odparła Elizabeth. - Babka była zachwycona. Ja się nie zgodziłam.

- Dlaczego?

Elizabeth znów parsknęła.

- Był w wieku mojego ojca. Poza tym me kochał mnie. Nie tak, jak mąż powinien kochać żonę Samuel kochał mnie jak córkę. A ja kochałam go jak ojca. Nie mogłam wyjść za niego. To me byłoby właściwe. To byłoby jak... kazirodztwo. - Spojrzała na Jamesa, mając nadzieję, że ją zrozumie.

- Jak sądzę, babka myślała inaczej.

Elizabeth kiwnęła głową.

- Myślała, że zwariowałam. Powiedziała, że jestem szalona, kazała mi jeszcze raz to przemyśleć i przyjąć propozycję Samuela. Babka wiedziała że Samuel ponowi oświadczyzny. Czuł się odpowiedzialny za to, że zniszczył moją reputację. Jedynym sposobem na uratowanie jej było nasze małżeństwo. Wiedziała że będzie czekał tak długo, aż się w końcu zgodzę. A kiedy po raz drugi odmówiłam Samuelowi, moi przyjaciele odwrócili się ode mnie, wymówiono mi posadę u lady Wimbley, babka mnie wydziedziczyła i kazała opuścić dom i miasto.

James skrzywił się. Zdążył nadszarpnąć reputację Elizabeth znacznie bardziej niż Samuel. Tyle że Samuel Wright był człowiekiem honoru i oświadczył się jej. Dwukrotnie.

- Dlatego że została pani skompromitowana, czy dlatego że odmówiła pani Wrightowi?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Tak czy inaczej cena była zbyt wysoka. - Przyjrzała się profilowi Jamesa w nikłym świetle księżyca. - A pan? Dlaczego wyjechał pan z Hongkongu?

- Miałem swoje powody - odpowiedział dokładnie tak samo jak ona, kiedy przedstawił jej Skarby.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- No dobrze - uspokoił ją. - Proszę skończyć kanapkę, to pani opowiem.

Elizabeth zjadła kanapkę w trzech kęsach.

James uśmiechnął się.

- Nie była taka zła, prawda?

Elizabeth wytarła usta serwetką i kiwnęła głową.

- Teraz proszę mi opowiedzieć, co sprowadziło pana do Kalifornii.

- Statek - zażartował James.

- Dlaczego? - spytała. - Dlaczego opuścił pan dom i przyjechał tutaj?

- Zbyt wiele wspomnień - przyznał wreszcie. - Zbyt wiele duchów. Zbyt wiele spraw, spędzających sen z powiek.

- Wciąż nie może pan spać - wytknęła Elizabeth, przypominając mu, że siedzą na balkonie, a od dawna powinni już być w łóżku.

- A pani nie je wystarczająco dużo.

- A więc tworzymy dobraną parę - zgodziła się Elizabeth.

James spojrział na nią. Wyciągnął rękę i delikatnie ujął ją pod brodę.

- Jeśli rzeczywiście tak pani myśli, to znaczy, że nie słyszała pani krzących o mnie plotek.

- Słyszałam.

James popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Lois Marlin powiedziała mi - wyjaśniła. - Wczoraj w parku. Ale ja w to nie wierzę.

James miał ochotę ją pocałować, więc opuścił rękę i spojrział na gwiazdy.

- Nie zabiłem jej - oświadczył zdecydowanym tonem. - Nie potrafiłem jej wybaczyć tego, co zrobiła, ale jej nie zabiłem.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiałam - zapewniła żarliwie Elizabeth.

- A ja tak - oznajmił James. - To znaczy niby wiedziałem, że sama to zrobiła, ale aż do dziś nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nie jestem odpowiedzialny za jej śmierć. Powtarzałem sobie, że wciąż by żyła, gdybym jej wybaczył. A ja nie umiałem. Kiedy umarła, winiłem siebie. Myślałem, że to ja ją zabiłem. - Spojrzał na Elizabeth. - Powinna się pani cieszyć, że dotarła tu pani po śmierci Owena. Nie ma nic gorszego od poczucia bezradności, gdy umiera ktoś bliski. Zwłaszcza wtedy, jeśli umiera powoli, po prostu zanika. Dlatego tak się przejmuję. Próbuję uwolnić się od takiego myślenia, ale to jest silniejsze ode mnie. Za każdym razem, gdy ktoś opuszcza posiłek, mam wrażenie, że wszystko zaraz się powtórzy.

Elizabeth z trudem odetchnęła, powoli pojmując, jak wielki koszmar przeżył James.

- Mój Boże, co ona zrobiła?

- Mam pieniądze - odparł James. - Miliony funtów. Mogłem dać jej wszystko, czego zapragnęła. Próbowałem. Ale nie wpuszczała mnie do siebie. Nie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć. Kiedy zorientowałem się, że

coś jest nie w porządku, było za późno. Nie mogłem zmusić jej do jedzenia.

W oczach Elizabeth błysnęły łzy.

- James, tak mi przykro. - Pod wpływem impulsu, pragnąc go pocieszyć, nachyliła się ku niemu, objęła go w pasie i przycisnęła policzek do jego ramienia.

- Mnie też - powiedział łagodnie. - Ale każdego dnia żyję ze świadomością, że w domu, w którym niczego nie brakowało, nie umiałem powstrzymać własnej żony od umyślnego zagłodzenia się na śmierć.

27

Gdy James znalazł się wreszcie w ramionach Elizabeth, nic na świecie nie zdołałoby przeszkodzić jej w obdarowaniu go czułością, której tak bardzo potrzebował. W tej samej chwili ogarnęło ich pożądanie. Elizabeth przymknęła oczy, gdy on szukał ustami jej warg.

Elizabeth zasługuje na delikatność, upominał się w myślach James, starając się nie spieszyć. Zasługuje na czułość. Postanowił, że da jej wszystko, na co zasługiwała. Leciutko kasał jej wargi, potem delikatnie przesunął po nich ustami. Koniuszkiem języka dotykał szczeliny między jej wciąż zamkniętymi wargami. Elizabeth poczuła niezwykłą przyjemność, gdy powolutku milimetr po milimetrze badał miękkość jej warg. Pochylił się ku niej, mocno przyciskając biodra do jej ciała, a potem wsunął dłoń w jej włosy. Spinki rozsypały się po całym balkonie, gdy przyciągnął ją do siebie, by cało-

wać z coraz większą zachłannością. Sięgnął językiem daleko w głąb jej słodkich ust. Język Elizabeth dotykiem łączył się z jego językiem, naśladował jego ruchy.

Elizabeth omdlewała w ramionach Jamesa, drżała z rozkoszy, gdy pocałunkami znaczył całą jej twarz. Całował powieki, policzki, nos, usta, delikatnymi muśnięciami dotarł do jej szyi. Elizabeth, zawsze tak dumna ze swojej niezależności i wykształcenia, nagle zrozumiała, że z radością wyrzekłaby się swojej niezależności, aby stać się niewolnicą tych pragnień, których istnienie właśnie odkryła. W ramionach Jamesa bezwstydnie się im poddawała.

James wtulił nos w zagłębienie pod jej uchem, wdychając świeży lawendowy zapach i zwilżając językiem miejsce, gdzie wyczuł pulsowanie krwi. Kilkakrotnie przemierzał ustami ścieżkę między jej wargami, szyją i różową muszelką ucha z finezją, o której prawie zdążył zapomnieć. Skubał wargami jej skórę, drażnił ją, kusił. Gwałtowne fałde pożądania wprawiały jego ciało w drżenie. Pragnął dotykać ją całą, całą wycałować. Pamiętał, jak wyglądały jej piersi pod mokrą, przezroczystą koszulą, pamiętał, jak ich zaróżowione końce marszczyły się niczym nabrzmiałe usta w oczekiwaniu na pocałunek kochanka. Na jego pocałunek. I James poprzysiągł, że ich nie zawiedzie.

Elizabeth osunęła się na kanapę i patrzyła na migoczące gwiazdy. Ogarniał ją płomień podobny do palącego ognia, jaki czuje się po wypiciu szklanki brandy na pusty żołądek. Było to upojenie po tysiackroć silniejsze od upojenia, jakie daje alkohol. Elizabeth oddychała ciężko, wiała się pod jego dotykiem, powoli przybliżając do niego, wreszcie zanurzyła dłonie w jego gęstych czarnych włosach i przyciągnęła ku sobie. Jęknęła zduszonym głosem,

gdy James zwilżył językiem jej satynowy stanik, a gorącym oddechem wzniecał w jej ciele iskry pożądania.

James niemal zachłystywał się radością wywołaną brakiem cierpliwości Elizabeth. Był oszołomiony tym, jak gwałtowne emocje nimi zawładnęły. Był poruszony niezwykłą świadomością, że jego dotyk sprawia Elizabeth taką samą przyjemność, jak jemu dotykanie jej. Odwrócił głowę, próbując wyrównać oddech.

Wrócił ustami do jej warg. Potem wsunął rękę pod spódnicę Elizabeth i odnalazł zagłębienie między jej udami.

Elizabeth wiedziała, że powinna być oburzona tak doskonałą orientacją Jamesa we wszystkich zakazanych zakamarkach jej ciała, wiedziała, że powinna być zatrwożona łatwością, z jaką grał na niej niczym na instrumencie, wydobywając słodkie tony. Ale pieścił ją z taką czułością i rozbijającym wycuciem, że nie mogła być na niego zła. Jak mogłaby udawać złość czy oburzenie, skoro dawał jej tak niewyobrażalną rozkosz?

- Proszę - wyszeptała z tak wielką udręką w głosie, że James nie wiedział, czy prosi, żeby kontynuował, czy też błaga, żeby przestał.

Wiedział, że jest bardzo blisko cudownego zaspokojenia, nawet jeśli nie zdaje sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje. Jego wciąż głodne ciało sprawiało mu ból, tak bardzo pragnął przeżyć razem z nią błogosławione spełnienie, ale wiedział, że na to musi jeszcze poczekać.

Elizabeth krzyknęła z ustami na jego ustach, zadrżała gwałtownie, tracąc resztki panowania nad swoim ciałem, wreszcie opadła bezsilnie na kanapę. Gdy otworzyła oczy i popatrzyła na niego z czystym zachwytem i radością, głos uwiązł Jamesowi w gardle. Wyraz jej

oczu po dziesięciokroć wynagrodził mu niezwykłą powściągliwość, jaką sam sobie narzucił.

Elizabeth spłonęła rumieńcem.

- Co się ze mną działo?

- Mam nadzieję, że dotknęłaś gwiazd - odrzekł James.

- Nie tylko ich dotknęłam - uśmiechnęła się do niego - ale je widziałam i czułam, i całowałam i spadałam między nimi. - Jej oczy błyszczały od przepełniających ją uczuć. Wyciągnęła dłonie i położyła je na jego policzkach. - Dziękuję - powiedziała po prostu, przyciągając jego twarz do swojej.

- To dla mnie zaszczyt - wyszeptał i przycisnął wargi do jej ust.

Znów ją całował. Tym razem jego pocałunki wyrażały powstrzymywane do tej pory namiętność, pasję i pragnienie.

Drżąc z pożądania, oderwał się od niej.

- Co się stało? - nie rozumiała Elizabeth.

- Nic się nie stało - odparł.

- Więc dlaczego przestałeś mnie całować?

- Bo cię pragnę - James oparł czoło na jej czole - ciebie całej - dodał zduszonym drżącym głosem.

- Masz mnie całą.

James potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien, czy wiesz, o co mi chodzi. Ale wiem, że nie zostałam aż tak skompromitowana, jak sądziła twoja babka.

Elizabeth uśmiechnęła się do niego radośnie.

- Więc pokaż mi, jak to się robi. Zrób to.

Jamesowi nie potrzeba było większej zachęty. Objął ją, podniósł z kanapy i skierował się do swojej sypialni.

Elizabeth otoczyła jego szyję ramionami. Gdy jednak

weszli do sypialni i położył ją na łóżku, powiedziała:

- James, nie tu.
- Dlaczego nie? - jęknął głośno.
- Skarby.

Po raz pierwszy, odkąd dziewczynki znalazły się pod jego opieką, James poczuł się mężczyzną w takim samym stopniu jak ojcem i przedłożył swoje potrzeby nad potrzeby dzieci.

- Co, Skarby?
- Zasada numer jeden: nigdy nie zostawiaj dzieci samych.

Wokół oczu Jamesa pojawiły się zmarszczki, gdy uśmiechnął się do niej.

- Wobec tego mamy prawdziwy problem, kochanie, bo nie sądzę, żeby było wskazane, aby Skarby oglądały to, co się tu zaraz wydarzy.

- To aż takie straszne?
- Takie piękne.
- Więc może być jeszcze lepiej? - spytała z takim zdumieniem, że James nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Zawsze tak myślałem - oznajmił. - Zawsze myślałem, że całować gwiazdy najlepiej jest we dwoje - wzruszył ramionami. - Ale możesz mieć inne zdanie.

- Jak mogę mieć inne zdanie? - spytała Elizabeth. - Przecież nie mam żadnego porównania.

- Wiedziałem, że to powiesz.

Zaczął rozpinać jej stanik. Całował ją, szamocząc się z drobnymi guziczkami, które najwyraźniej postanowiły zniweczyć jego wysiłki. Kiedy wreszcie się z nimi uporał, dokładnie sprawdził palcami gorset w poszukiwaniu dalszych guzików lub haftek, które musiałyby rozpiąć. Nie miał wiele doświadczenia z gorsetami.

Mei Ling zarzuciła ich noszenie zaraz po ślubie, gdy zdecydowała się nosić luźne kimona i spodnie.

- Jak się to rozpina? - spytał, czując, że jego pożądanie rośnie w takim samym tempie jak zdenerwowanie.

- Haftki - zduszonym głosem wyszeptała Elizabeth, gdy korzystając z tego, że udało mu się rozpiąć stanik, przesunął szorstkimi opuszkami palców po jej sutkach. - Haftki są schowane pod spodem.

- Schowane? - mruknął James. - Przed kim? Który mężczyzna zwracałby uwagę na haftki, gdy może upajać wzrok tak wspaniałą obfitością? - Wsunął dłoń pod spód i jęknął, gdy wyczuł około stu małych haftek. - Niech to diabli!

Elizabeth powinna była przestraszyć się, gdy zaklął, ale zamiast tego zachichotała. Zdenerwowanie Jamesa spowodowane jej skomplikowanym strojem działało jak wyjątkowo silny afrodyzjak.

James odetchnął z ulgą, gdy wreszcie uwolnił ją z gorsetu. Teraz leżała przed nim naga od pasa w górę. Zachęcony sukcesem, jaki odniósł w zmaganiach z gorsetem, James odpiął jej spódnicę i halki, rozwiązał koronkowe majtki. Wszystko to ściągnął z jej długich, zgrabnych nóg razem z jedwabnymi pończochami i plisowanymi podwiązkami.

Całkowicie naga i nagle onieśmielona, Elizabeth zamknęła oczy i przewróciła się na bok, żeby zgasić lampę, którą James zostawił zapaloną. On jednak objął ją ramieniem w pasie, nie pozwalając gasić światła.

- Zostaw - polecił. - Chcę na ciebie patrzeć.

- Proszę - zaczęła. - Jestem...

- Tak piękna, że zapiera mi dech w piersiach - wyszeptał zachwycony.

Elizabeth otworzyła oczy, żeby przekonać się, czy wy-

raz jego twarzy odpowiada tonowi jego głosu. Natychmiast uspokoiła się, widząc, że tak. Oblała się rumieńcem.

James uśmiechnął się do niej.

- Leż spokojnie i poddaj się swoim uczuciom.

Zaskoczył ją, gdy wyciągnął się między jej nogami i oparł głowę na jej udzie. Odwrócił ją i przyciągnął do siebie. Czując niespodziewanie jego gorący oddech, Elizabeth ścisnęła nogi. James podniósł głowę i popatrzył na nią.

- Zaufaj mi, Elizabeth. Nie skrzywdzę cię - kusił. - Chcę cię tylko kochać. Jeśli mi pozwolisz.

Kiedy tak na nią patrzył, Elizabeth zrozumiała, że nie jest w stanie niczego mu odmówić, nie chce niczego mu odmówić. Dopóki dotrzyma słowa i będzie ją kochał, mógł z nią zrobić, co tylko chciał.

Doprowadził ją do granic rozkoszy, a nawet jeszcze dalej. Przysunął jej ciało bliżej ku sobie i tulił, pochłaniając pocałunkami jej westchnienia, gdy przytomniała w jego ramionach. Odgarnął z jej zarumienionej twarzy wilgotne włosy, wytarł jej łzy i szeptał do ucha słowa pochwały i zachęty.

Otworzyła oczy i ujrzała wpatrzonego w nią Jamesa.

- Miła podróż? - James przypomniał sobie, jak pierwszej nocy, gdy się spotkali, pomyślał, że mężczyzna mógłby się zatracić w jej przepięknych błękitno-zielonych oczach. Teraz wiedział, że to prawda.

- Hmm - wymruczała, przeciągając się u jego boku jak kot.

- Jakie były gwiazdy? - spytał, całując czubek jej nosa. Elizabeth popatrzyła na niego przeciągle.

- Samotne - odparła.

- Naprawdę?

Przytaknęła.

- Mówiono mi, że podróż do gwiazd jest o wiele przyjemniejsza, gdy ma się towarzysza.

- Tylko towarzysza? - spytał zawiedziony.

Elizabeth zwilżyła usta koniuszkiem języka, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Kochanek byłby lepszy.

James wziął głęboki oddech.

- Czyżby szukała pani kochanka, panno Sadler?

- Chyba już go znalazłam, panie Craig - odpowiedziała dumnie. - Ale może pan mieć odmienne zdanie.

- Wcale się nie skarżę - zapewnił ją James.

- A ja tak - wyznała Elizabeth. Łobuzerski uśmiešek plątał się w kącikach jej ust, a oczy błyszczały rozbawieniem. Wyciągnęła ramię, by przyciągnąć go do siebie i pocałować. - Bo tylko jedno z nas jest nagie.

James pocałował ją szybko i zaczął rozwiązywać szlafrok.

Elizabeth odsunęła jego dłonie.

- Jeszcze nigdy nie rozbierałam mężczyzny - rzekła nieśmiało. - Pozwól, że ja to zrobię.

- Bardzo proszę - oddał się w jej ręce, po raz pierwszy od tylu lat czując na sobie kobiece dłonie.

Elizabeth rozwiązała pasek jego jedwabnego szlafrocka i zsunęła go z jego szerokich ramion, odsłaniając twarde mięśnie klatki piersiowej i brzucha. Przesunęła dłonią po jego owłosionym torsie, potem dotknęła go sutkami.

James czuł, że cała krew spływa w nim ku dołowi. Aż do bólu pragnął zanurzyć się w Elizabeth, zakończyć tę wyrafinowaną torturę. Delikatnie przewrócił ją na plecy. Elizabeth powiodła dłońmi wzdłuż jego kręgosłupa i pośladków, a potem dotknęła jego płaskiego

brzucha. James jęknął głośno, gdy jej dłonie powędrowały w dół i poczuł na sobie jej palce.

Zamknął oczy i odrzucił głowę, zanurzając się w niej. Cały drżał, starając się opanować.

Elizabeth krzyknęła z bólu, chciała się odsunąć. Dopiero teraz James uświadomił sobie, że właśnie pozbawił ją dziewictwa. Trzymał ją mocno, żeby wyrwijąc się nie przysporzyła sobie więcej bólu. Uspokajał ją, scałowując słone łyzy z jej policzków.

- Wszystko w porządku, kochanie, zaraz przestanie cię boleć. Nie ruszaj się. Pozwól, że cię pocałuję.

- To nie miało boleć. Miało być piękne.

- Zawsze boli za pierwszym razem, kochana - uspokajał. - Ale ból zaraz minie i obiecuję, że będzie pięknie. Razem sprawimy, że to będzie najpiękniejsze przeżycie.

Ból ustał, dokładnie tak jak James obiecywał, i Elizabeth spróbowała się poruszyć. James stracił panowanie nad sobą, zaczął przysuwać i odsuwać od niej biodra w rytmie starym jak świat. Elizabeth poszła w jego ślady. Tuliła się do niego, gdy obdarzał ją rozkoszą, o jakiej nigdy nie marzyła. Zaciśnęła powieki. Z jej oczu pociekły łzy, spłynęły po policzkach. Czując w ciele pierwsze dreszcze, Elizabeth poddała się rozszalałym w niej emocjom i wykrzyczała swoją namiętność, gdy James przycisnął ją do siebie i nadeszło spełnienie.

Przesunął ustami po jej policzku i zanurzył twarz w jej włosach. Poczuł słoność jej łez i podniósł głowę, by na nią spojrzeć. Jakże była piękna. Zadrżał. Powinien był mówić jej o miłości, nie o pożądaniu. Powinien był delikatnie ją pieścić, a nie wykorzystać do zaspokojenia swoich rozszalałych żądz. Przecież była dziewczyną. Zasługiwała na więcej, niż kiedykolwiek mógł jej dać. Westchnął. Nie chciał

myśleć, co będzie dalej. Nie zamierzał wystawiać na próbę swojego szczęścia, nie chciał prosić o zbyt wiele. Po prostu będzie ją kochał, dopóki uczucie to będzie trwało.

Jej oczy błyszczały, gdy James nachylił się i pocałował ją. Zrobił to tak delikatnie, z taką miłością, że do jej oczu napłynęły łzy.

- Dotknąłem gwiazd - wyszeptał. - Zabrałem je ze sobą - popatrzył na nią. - Świecą w twoich oczach.

Elizabeth pogładziła dłonią jego twarz.

- Są tu, żeby się tobą opiekować - powiedziała czule. - Żebyś już nigdy nie zdręczał się duchami przeszłości.

28

Elizabeth obudziła się, bo tuż przy jej twarzy coś się poruszyło. Otworzyła oczy i zorientowała się, że jej głowa spoczywa na barku Jamesa, który ciasno oplótł ją ramionami. Westchnęła, czując, że wreszcie znalazła się na właściwym miejscu.

- Co się stało? - wyszeptała, gdy James położył jej głowę na poduszce.

- Diamond - odparł, całując Elizabeth w powieki. - Chce jeść.

- Tak wcześnie? - mruknęła. Kochali się już dwa razy po powrocie z balkonu, James utulił Elizabeth do snu, ale ona miała wrażenie, że ledwie zdążyła zamknąć oczy.

- Uhm - potwierdził. - Muszę ją nakarmić.

- Musisz? - Elizabeth ziewnęła szeroko i przytuliła się do niego mocno jak kociak spragniony pieszczot.

James zachichotał.

- Właściwie moglibyśmy poczekać, aż guwernantka wstanie i się nią zajmie.

- Hmm, świetny pomysł - zgodziła się, zamykając oczy i niemal zasypiając, zanim dotarło do niej, co się dzieje. - Przecież to ja jestem guwernantką.

- Właśnie - przytaknął. - A Diamond płacze. Chcesz do niej wstać, czy sam mam iść?

Elizabeth zmierzyła wzrokiem odległość do drzwi. Była słodko wyczerpana i ciało bolało ją w miejscach, których nie potrafiłaby nawet nazwać. James, przeciwnie, wyglądał kwitnąco i zdawał się wypoczęty, rozbudzony i ożywiony.

- Jesteś bliżej.

James zaśmiał się cichutko, potem odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem. Sturlał się z łóżka i wyciągnął rękę po jedwabny szlafrok. Elizabeth położyła się na boku, podparła głowę na łokciu i podziwiała proste plecy i krągłość jego pośladków, dopóki nie przykrył ich szlafrokiem. Westchnęła.

James zerknął na nią przez ramię i uśmiechnął się.

- Jaka nienasycona.

- Mam dwadzieścia pięć lat - wyjaśniła. - Jest co nadrabiać.

- Tylko czy można to nadrobić w jedną noc? - drażnił ją. - Nie mówię, że nie jestem zachwycony każdą minutą - zaczął się tłumaczyć, nachylając się, by ją ucałować na dzień dobry. - Ale chciałbym jeszcze zobaczyć, jak dorastają moje dzieci, a obawiam się, że w takim tempie nie dożyję śniadania.

- Gdybym była tak spragniona i nienasycona, jak sugerujesz - odpowiedziała - musiałabym zjeść cię na śniadanie.

James uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko.

- Świetny pomysł. - Płacz Diamond stawał się coraz głośniejszy i świadczył o coraz większym rozdrażnieniu. - Wracam, jak tyłko naszykuję butelkę dla małej. - James nie mógł oderwać wzroku od Elizabeth. - Może miałybyś ochotę razem ze mną powitać naszą małą sówkę? - Podszedł do drzwi i chwycił za klamkę.

Elizabeth wsunęła się w pościel i wtuliła w jego poduszkę.

- Jak tylko wszędzie słońce.

James zachichotał.

- A ja wczorajszej nocy tak chwaliłem twój niespotykany instynkt macierzyński.

Natychmiast usiadła.

- Mam niespotykany instynkt macierzyński - odcięła się. - Ruby jest tego najlepszym świadectwem.

- Jak to? - James zatrzymał się i odwrócił do niej.

- Ruby wymigała się wczoraj od kąpieli - zażartowała Elizabeth. - I bardzo dobrze, bo po awanturze, jaką wczoraj urządziła, miałam ochotę ją utopić.

James zeszywniał. Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

Elizabeth natychmiast zorientowała się, że palnęła głupstwo.

- Żartowałam, James. Przepraszam. - Wyrzebała się z łóżka, podbiegła do niego i objęła w pasie. - James, ani przez chwilę tak nie myślałam. Wiesz, że nigdy ani sama nie skrzywdziłabym Skarbów, ani nie pozwoliłabym, żeby ktoś inny je krzywdził. Nic złego im się nie stanie, dopóki jestem przy nich.

James spojrział w oczy Elizabeth.

- Słuchaj - powiedział, przeczesując palcami włosy, rozdarty pomiędzy rosnącym uczuciem do Elizabeth a miłością do najstarszej córki. - Wiem, że Ruby potrafi dokuńczyć. Widziałem, co się stało wczoraj w parku. Znam jej wady. Wiem, jak się zachowuje, jak potrafi być niegrzeczna. Oboje też wiemy, że to ona schowała gdzieś Portię...

- Portia to tylko lalka. Nie ma żadnego znaczenia. Wybacz, że tak głupio zażartowałam.

James uśmiechnął się słabo.

- Nie ma czego wybaczać - powiedział, tuląc do siebie Elizabeth i czując, że jego serce znów zaczyna bić rytmicznie. - Dobrze wiem, że czasem Ruby umiałyby wyprowadzić z równowagi nawet świętego. - Ucałował ją namiętnie, odwrócił na brzuch i figlarnie poklepał po nagich pośladkach. - Nie przejmuj się, śpiochu. Idź spać. Masz przed sobą długi, ciężki dzień.

Zbliżył się do drzwi.

Elizabeth mrugnęła szelmowsko i prowokacyjnie oblizła usta.

- Następnny długi, ciężki dzień. Czy tylko to mnie czeka?

- Zawsze możesz zmienić zdanie i dołączyć do mnie. Będę w pokoju u dzieci. Muszę tylko cię ostrzec, że znam kilka bardzo interesujących sposobów wykorzystania fotela bujanego.

Elizabeth rozważała w myślach, co zrobić.

- Daj mi chwilkę, tylko włożę koszulę.

W domu Craigów wszystko toczyło się swoim zwykłym rytmem. James nadal nie mógł przespać całej nocy, ale i tak od lat nie sypiał tak dobrze. Elizabeth przestała opuszczać kolację. Oczywiście twardy sen Jamesa

był naturalnym następstwem długich godzin płomiennej miłości. A opieka nad Skarbami, niewiele czasu na wypoczynek i niezwykle długie nocne godziny spędzane na wyczerpujących igraszkach pobudzały apetyt Elizabeth.

Po trzech tygodniach, jakie Elizabeth spędziła w domu Jamesa i Skarbów, wszyscy domownicy mieli wrażenie, że jest z nimi od zawsze. Wciąż nie udawało się jednak odnaleźć Portii. Elizabeth i James zaczęli martwić się nie na żarty, że Ruby nigdy jej nie odda, a tym samym nie zaakceptuje Elizabeth jako członka rodziny. Dziewczynka nie kryła lekceważenia wobec guwernantki. Każdy ranek zamieniała w walkę o dominację w pokoju dziecinnym. Zmartwienie Elizabeth było tym większe, że prawie codziennie po przebudzeniu Garnet pytała o Portię. Rozczarowana wybuchała płaczem, gdy mówiono jej, że lalki wciąż nie ma. Elizabeth zaczęła żałować, że w ogóle zabrała ją ze sobą.

- Znajdzie się - uspokajał James, zasiadając w skórzanym fotelu, który przeniósł do pokoju dziecinnego ze swojego gabinetu. Nie widział Elizabeth od kolacji. Po jedzeniu długo pracował. Bicie zegara w hallu przypomniało mu, że zbliża się pora karmienia Diamond. Odłożył na bok kontrakty i przetargi, wyjął z barku brandy i szklankę, po czym udał się do pokoju dzieci, gdzie zamierzał oddać się swojej nowej ulubionej rozrywce, czyli obserwowaniu, jak Elizabeth karmi noworodka. Wciąż w garniturze, James usiadł na krześle, zrzucił buty i ułożył skrzyżowane stopy na obitym skórą stołku. Nachylił się i podniósł butelkę.

- Wiem - powiedziała Elizabeth. Przez kilka ostatnich minut, karmiąc Diamond, zamyślona wpatrywała się w lalki siedzące wysoko na półkach. Popatrzyła na Jamesa

i uśmiechnęła się. - Tylko czy wystarczy nam cierpliwości?

James potrząsnął głową. W jego domu wszystko działało jak w zegarku z wyjątkiem poranków, które niezmiennie kończyły się awanturą, bo Ruby i Garnet kłóciły się o lalkę. Ani James, ani Elizabeth nie byli w stanie załagodzić panującego między dziewczynkami napięcia. Ruby podzieliła rodzinę na dwa obozy: tych, których lubiła, i tych, których nie lubiła. Elizabeth i Garnet należały do tej ostatniej kategorii, wszyscy pozostali dawali się lubić.

James ze zdziwieniem zauważył, że konflikt między dziewczynkami nie tylko nie osłabił jego uczuć do Elizabeth, ale nawet je wzmocnił. Od kilkunastu dni towarzyszył Elizabeth w pokoju dziecinnym podczas porannego karmienia Diamond. Dzielił się z nią wrażeniami z minionego dnia, a gdy Diamond zasypiała, kochali się w fotelu bujanym. Tych spędzonych razem chwil brakowało mu nawet bardziej niż fizycznej miłości. Uwielbiał jej bliskość. Uwielbiał patrzeć na nią i wiedzieć, o czym myśli. Uwielbiał świadomość, że Elizabeth widzi w nim mężczyznę, nie milionera. Przed laty James zamierzał spędzić życie u boku Mei Ling. Gdy umarła, postanowił żyć wspomnieniami szczęścia. Nie przypuszczał, że dane mu będzie doświadczyć bliskości z inną kobietą. Nie był na to przygotowany. W jakiś niezwykły sposób Elizabeth stała się ważną częścią jego życia. Chętnie przejęła wiele jego codziennych obowiązków. James z trudem przypominał sobie, jak samotny tryb życia prowadził, zanim ona się pojawiła. Nie potrafił już wyobrazić sobie życia bez niej.

Ostatnie dwa i pół tygodnia porównywał w myślach do miodowego miesiąca. Codziennosc stawała się łatwiejsza, gdy mógł się nią z kimś dzielić. Niezwykłość i młodość ich miłości przyćmiewała wszystkie

zmartwienia. Pragnął, by problemy świata zewnętrznego jak najdłużej ich nie dotykały.

Jednak sprawy rodziny, utrzymania domu, interesy zakłócały ich szczęście. James wiedział, że bezsenne noce i ciągłe walki o dominację w pokoju dziewczynek nie pozostaną bez wpływu na to, co działo się między nimi dwojgiem.

- Nie mamy wyboru - odparł. - Musimy uzbroić się w cierpliwość.

- Ciekawa jestem... - zadumała się.

- Tak? - zdecydowany i skupiony wyraz jej twarzy zaciekawił go.

- Co takiego jest w Portii, że Gamet tak bardzo ją polubiła, a Ruby wręcz przeciwnie?

James uśmiechnął się do niej.

- To proste. Portia wygląda tak jak ty. Złocistobrązowe włosy, ogromne błękitnozielone oczy i subtelne usta.

- Mnie też to się w niej podobało - przyznała Elizabeth. - Kochałam Portię, bo była jedyną lalką, która tak bardzo przypominała mnie samą. - Popatrzyła na Jamesa, potem znów na lalki na półce. - Może dlatego Ruby i Garnet nie zwracają uwagi na te - wskazała głową na lalki. - Ich twarze nie wyglądają ani trochę jak buzie, które Ruby i Garnet widzą w lusterku.

- Hmm - James zastanowił się nad tym, co powiedziała. Bez słowa wyjął z kieszeni portfel, wyciągnął z niego kilka banknotów, podszedł do Elizabeth i włożył jej pieniądze do kieszeni szlafroka.

- Za co? - nie udało jej się ukryć zaniepokojenia. Płaci się prostytutkom, utrzymankom, ale nie ukochanej. Z drugiej strony James nigdy nie wyznał, że ją kocha.

- Żebyś jutro w sklepie Kellermana zamówiła za-

bawki, które spodobają się Skarbom. Na pewno mają jakieś lalki o orientalnych rysach twarzy.

- Nie sądzę, żeby trzy lalki kosztowały tak dużo - sucho odrzekła Elizabeth.

- Pomyślałem, że może zechcesz kupić coś dla siebie - zakłopotany James zaczerwienił się po koniuszki uszu.

- Nie musisz mnie kupować - wyszeptała. - Pracuję u ciebie, mam u ciebie dług.

James zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Na miłość boską, Elizabeth, weź te pieniądze!

- Jestem w Coryville od trzech tygodni i jak na razie nie martwiłeś się, czy mam pieniądze na swoje wydatki czy nie. Dlaczego dajesz mi je teraz? Żeby uspokoić sumienie?

Wypowiedziała te nieprzyjemne słowa, zanim zdążyła się zastanowić. Wiedziała, że się czepia. Wiedziała, że jej uwagi mogły go zabołec, ale przecież od ponad dwóch tygodni razem spędzali noce, a James nawet słowem nie wspomniał, co do niej czuje.

- Tak - odparł. - Żeby uspokoić sumienie. Bo trzymam twoją pensję na koncie i nie wypłaciłem ci ani grosza, bo ci nie ufałem. Bałem się, że weźmiesz pieniądze i uciekniesz ode mnie i od Skarbów.

Cała złość Elizabeth wyparowała, gdy usłyszała jego szczere wyznanie. Sama doświadczyła strachu i wątpliwości. Doświadczyła straty. Dobrze znała strach przed stratą.

- Koch... - w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie powiedzieć tego, na usłyszenie czego nie był jeszcze gotowy. - Wiesz, że nie miałabym dokąd pójść. - To była pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy.

- Być może - zgodził się James. - Ale najwyższy czas, żebyś dowiedziała się, że ci ufam. Przyjmij te pieniądze w prezencie. Niech to będzie twoja pierwsza wypłata.

- Wypłata - powtórzyła Elizabeth, przypominając sobie obietnicę złożoną Delii. - James, zupełnie zapomniałam, że obiecałam coś Delii. Że pomówię z tobą o podwyżce dla jej matki i Rose za dodatkowe pranie.

- Jakie dodatkowe pranie? - spytał.

Elizabeth powtórzyła Jamesowi historię, którą opowiedziała jej Delia o swojej mamie, Rose i siedmiorgu rodzeństwa biegającym nago, żeby matka mogła zaoszczędzić na praniu. - Obiecałam jej, że dostaną podwyżkę, jeśli będzie używać czystych chusteczek i przewijając Skarby tak często, jak tego potrzebują.

James zdrzął na myśl o rodzeństwie Delii.

- Oczywiście, że dam im podwyżkę. Jest mi wstyd, że sam o tym wcześniej nie pomyślałem. - Wyjął z portfela jeszcze kilka banknotów. - Już zapłaciłem Delii i jej matce za zeszły tydzień, ale daj jej to jutro i podziękuj ode mnie.

- Dobrze.

James poczekał, żeby Diamond się odbiło, wziął ją od Elizabeth i zaniósł do sypialni. Kiedy wrócił, na chwilę oparł się o framugę drzwi i patrzył na Elizabeth, która z zamkniętymi oczami bujała się w fotelu. Chciał jej powiedzieć, co do niej czuje, ale wstrzymał się przez wzgląd na Ruby. Stanowiła przeszkodę, z którą nie umiał sobie poradzić.

Ile jeszcze czasu upłynie, zanim Ruby zaakceptuje Elizabeth? Kiedy nauczy się jej ufać? Lubić ją? Może kochać? Chciał poślubić Elizabeth. Pragnął tego najbardziej na świecie. Nie mógł jednak o tym myśleć, dopóki Ruby nie zaakceptuje Elizabeth. Przysiągł to Ruby, gdy przed trzema laty w Hongkongu, usłyszawszy jej oszalałe krzyki, wyłowił ją z wody. Jeszcze wtedy

nie nosiła imienia Ruby, była po prostu kolejną dziewczynką porzuconą przez rodziców na skałach, skąd miał ją zabrać ocean. James wyłowił ją i obiecał, że dopóki będzie żył, niczego jej nie zabraknie. Że nigdy nie przedłoży swoich potrzeb nad jej potrzeby, nigdy nie będzie musiała obawiać się, że stanie się jej krzywda tylko dlatego, że urodziła się dziewczynką. Tej obietnicy James chciał dotrzymać. Dał jej imię szlachetnego kamienia i chociaż miała wtedy zaledwie sześć albo siedem miesięcy, sprawiła, że starał się zasłużyć sobie na jej zaufanie. Nie było to łatwe, ale udało mu się stworzyć dla niej i dla jej siostr bezpieczny świat. Co do Garnet, dosłownie wydobył ją z pyska bezpańskiego psa obok kosza na śmieci w Chinatown w San Francisco, a Emeraldy o mały włos nie rozjechał powozem, wracając wieczorem do domu. Każda z dziewczynek była dla niego podarunkiem od losu. James nie zamierzał narażać ich spokoju i bezpieczeństwa, nawet jeśli miałyby to oznaczać rezygnację z własnego szczęścia.

Poza tym Elizabeth była dumną kobietą. Nigdy nie dopuściłaby do sytuacji, w której miałby wybierać między nią a córką. O nic by go nie prosiła. Obawiał się tylko, że wcześniej czy później upór Ruby doprowadzi do konfliktu. Nie do pomyślenia było, żeby Elizabeth mogła zlekceważyć tak ważną dla niego istotę, jaką była Ruby. Kochał swoje dzieci i wierzył, że najlepiej dla nich byłoby, gdyby poślubił Elizabeth i uczynił ją ich matką. Jednak w głębi serca wiedział, że Elizabeth nie zgodzi się zostać jego żoną, dopóki nie zaakceptują jej wszystkie dziewczynki. Wiedział, że ona musi mieć wszystko albo nie zechce niczego. Nie satysfakcjonowałyby jej kompromisy. Mimo że bardzo chciał jej powie-

dzieć o swoich planach, na razie milczał, bo nie mógłby ich zrealizować, dopóki Ruby nie da za wygraną. Nie chciał, aby Elizabeth pomyślała, że jej przyszłość zależy od kaprysu trzyletniej dziewczynki. To dlatego nie zdradzał swoich uczuć i sam dręczył się myślą, że teraz, kiedy spotkał Elizabeth, tak łatwo może ją stracić.

Otworzyła oczy, jakby wyczuwając jego obecność, i uśmiechnęła się na powitanie.

- Obudziła się?

- Nie, wszystkie twardo śpią.

- Ale my nie śpimy - łagodnie powiedziała Elizabeth. - Co będziemy robić?

James podszedł do jej fotela i pochylił się nad nią.

- Ciągle jesteś na mnie zła?

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Nie byłam zła na ciebie. Byłam zaskoczona... zdezorientowana... sama nie wiem.

- Zła - upierał się James. - I miałas prawo być zła. Potrafię być bardzo nietaktowny.

Ujął to nader delikatnie, pomyślała, ale komentarz zachowała dla siebie.

- Powinienem był zastanowić się, co poczujesz, kiedy wręcę ci pieniądze bez uprzedzenia, szczególnie po... - urwał.

- Nie wiem, czego się ode mnie oczekuje - Elizabeth wytrzymała jego wzrok bez mrugnienia. - Nie wiem, jaka jest moja pozycja, ani kim jestem dla ciebie. Bardzo wygodną guwernantką? Utrzymanką? Dziw...

James ukląkł i zamknął jej usta palcami, potem wargami.

- Moją kobietą - wyszeptał - tylko moją.

Elizabeth zamknęła oczy i westchnęła drżącym głosem,

gdy James odpowiedział na jej gorącą modlitwę. Poczowała pieczenie pod powiekami. Nie mogła powstrzymać łez. Odkąd pozwoliła Jamesowi zanieść się do jego łóżka, obiecała sobie, że nie będzie budować zamków na piasku. Obiecała sobie, że wystarczy jej to, co jej daje, i nie będzie pragnąć niczego więcej. Powtarzała sobie, że nauczy się żyć chwilą, bez żadnych oczekiwań, ale od samego początku wiedziała, że nie będzie w stanie dotrzymać tych obietnic. Po prostu nie była beztroskim lekkoduchem. Całe życie szukała swojego miejsca, ludzi, z którymi mogłaby złączyć swój los. James Craig był pierwszym mężczyzną, który trzymał ją w ramionach. Dzięki niemu poczuła, że i ona ma swoje miejsce na świecie.

James przesunął kciukiem po jej dolnej wardze.

- Moją kobietą - wyszeptał znów z czcią i zachwytem.

Przycisnął Elizabeth do fotela i pocałował ją czule, potem mocniej i namiętniej, aż do utraty tchu.

Kiedy rozluźnił uścisk, Elizabeth otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą jego twarz. Popatrzyła na Jamesa z miłością.

- Jeśli chcesz - zaczął - mam pomysł, jak moglibyśmy spędzić czas, zanim zrobimy się senni.

- Czyżbyś chciał znów zrobić użytek z fotela bujanego? - spytała łobuzersko.

- Nie - James potrząsnął głową. - Myślałem raczej o kanapie i kocu na balkonie pod gwiazdami.

- Gwiazdy - powtórzyła Elizabeth.

- Nic więcej nie mogę ci dać - powiedział łagodnie.

- Nie mogę ci ofiarować całej reszty dopóki... na razie nie mogę. - Przyjrzał się jej uważniej, próbując zgadnąć, o czym myśli.

- Zawsze lubiłam patrzeć na gwiazdy - oznajmiła

Elizabeth. Poza tym niewątpliwie ceniła sobie nowe metody obserwacji gwiazd, jakich nauczył ją James.

- Elizabeth - James nagle spoważniał, ujął jej twarz w dłonie. - Proszę, zrozum, że to, co teraz mamy, musi nam wystarczyć.

- Wystarcza - zapewniła, obiecując sobie, że zrobi wszystko, aby jej to wystarczało.

Tydzień później kątem oka James zauważył postać w purpurowej sukni przebiegającą przed drzwiami jego gabinetu. Elizabeth trzymała w dłoniach dużą papierową torbę, którą przyniósł jej od Kellermana. Podniósł wzrok znad raportów finansowych i ocen próbek.

- Elizabeth? - zawołał ją.

Zatrzymała się w drzwiach.

- Czy to lalki?

Elizabeth wmaszerowała do gabinetu i zatrzymała się przy jego krześle. Oderwała resztki papieru z pakunku, wyciągnęła ze środka jedną z lalek i prawie rzuciła mu nią w twarz.

- Jeśli tę szkaradę w ogóle można nazwać lalką!

- Boże! - przeraził się James i aż cofnął się na widok zabawki. Chociaż miała korpus, dwie porcelanowe ręce, dwie nogi i twarz, a nawet jedwabną brokatową suknię, niewybaczalną przesadą byłoby nazywanie jej lalką. Elizabeth miała rację. Przedmiot, który trzymała w dłoniach, stanowił groteskową karykaturę dziecięcej zabawki. Lalka z twarzą pomalowaną na jaskrawożółty kolor i czarnymi szparkami najprawdopodobniej naśladującymi oczy, nos miała szeroki i płaski, a purpurowe usta wykrzywione w złośliwym uśmiechu. Lalka o podstępny, zły wyrazie twarzy była jeszcze mniej

podobna do Ruby, Garnet i Emeraldy niż europejskie lalki siedzące na półce w pokoju dziecinnym. Tylko gęste czarne włosy przypominały włosy Skarbów. Były kunsztownie splecione i spryskane lakierem, w stylu damy dworu cesarza. James widział na świątyniach rzeźby chińskich psów ładniejsze od tych lalek.

- Kto to wyprodukował? Skąd Kellerman je sprowadził?

- Pan Kellerman zamówił je u dostawcy zabawek w Nowym Jorku - poinformowała go Elizabeth, trzymając lalkę za nogę, żeby odczytać nazwę producenta odcisniętą na karku. - Ale zgodnie z tym, co tu piszą, głowy wyprodukowała Fabryka Porcelany Pearson w Chesterfield w Anglii.

James przetarł zmęczone oczy, zanim spojrzął na Elizabeth.

- Czy ludzie w Chesterfield tak postrzegają moje córki? Czy tak je widzą mieszkańcy Coryville?

Elizabeth widziała jego ból, zakłopotanie i wściekłość.

- Nie znam nikogo w Chesterfield - odpowiedziała szczerze - ale podejrzewam, że mieszka tam sporo osób, którym się wydaje, że tak właśnie wyglądają Chinki. Latami wpajano im strach przed cudzoziemcami, którzy wyglądają inaczej i mówią innym językiem, uczono ich wyśmiewać się z nich. Jeśli zaś chodzi o mieszkańców Coryville, tylko uparci ignoranci bez serca nie umieliby dojrzeć w Skarbach małych dziewczynek.

James przeczesał palcami włosy.

- Ale przecież ludzie wykształceni powinni mieć inne zdanie.

- Nie, jeśli nasłuchali się jakichś przerażających opo-

wieści. Albo jeśli widzieli jedynie te okropne lalki lub równie okropne rysunki i opisy. Albo jeśli nigdy nie mieli do czynienia z Chińczykami. Sam mi to uświadomiłeś.

- Powiedz mi, czy sądzisz, że się mylę? Czy wydaje ci się, że jestem jak Don Kichot walczący z wiatrakami? Czyżbym usiłował jedwabną chusteczkę utkać ze sznurka?

I tak, i nie. Nie mógł zmienić całego świata ani poglądów wszystkich ludzi. Oboje o tym wiedzieli. Ale coś mu się udało na dobry początek. Udało mu się zmienić jej poglądy, ona postara się zmienić poglądy Lois Marlin i pozostałych mieszkańców Coryville. A być może za jakiś czas samym Skarbom uda się odmienić ludzkie serca i umysły. Trudno wyobrazić sobie, by jeden mężczyzna wraz z rodziną mógł dokonać czegoś więcej w tej sprawie. Jeśli to, co robił, było walką z wiatrakami, to nic na świecie nie miało większego sensu niż walka z wiatrakami. Powiedziała więc to, co chciał - i co potrzebował - usłyszeć:

- To nonsens. Wszyscy wiedzą, że najlepszy jedwab pochodzi z Chin.

W tym momencie James zrozumiał, że gdyby jeszcze jej nie kochał, w tej chwili beznadziejnie zakochałby się w niej po uszy.

Elizabeth uśmiechnęła się do niego.

- Czy mógłbyś żyć inaczej? Mógłbyś inaczej czuć?

- Nie - przyznał.

- Więc jak możesz się mylić, skoro idziesz za głosem serca?

- Naprawdę myślisz, że to robię? - spytał, chociaż wiedział, że Elizabeth ma rację.

- Mam nadzieję - odparła łagodnie.

James siedział przez chwilę w milczeniu, podziwia-

jąc kobietę, która poszła za głosem serca i otworzyła je dla niego i jego córek.

- Umiem rozpoznać jedwab - powiedział i otworzył szeroko ramiona, a Elizabeth podeszła do niego.

- Co z nimi zrobisz? - spytał James jakiś czas później, gdy Elizabeth z powrotem zapakowała smoczą piękność, jak określił lalkę, i skierowała się do wyjścia.

- Nie dam tych poczwara dziewczynkom. Wyrzucę je do śmieci.

- A może oddaj je Kellermanowi. Niech ci zwróci pieniądze - zasugerował James.

Elizabeth zdziwiła się.

- Chyba nie chcesz, żeby sprzedał to komuś innemu?

James zachichotał, widząc ogień w jej oczach i słysząc gniew w jej głosie.

- Nie, raczej nie.

- To dobrze, bo nie chciałabym cię rozczarować.

- Pani, Elizabeth Sadler, nigdy nie mogłaby mnie rozczarować.

- Teraz tak mówisz - rzuciła przekornie. - A co powiesz za czterdzieści, pięć... - przerwała nagle i wybiegła z pokoju, zanim James zdążył odpowiedzieć.

29

James znalazł ją kilka godzin później w łazience przy pokoju dziecinnym. Miała na sobie swoją najstarszą koszulę i spodenki przewiązane w pasie ceratą. Ze zdziwieniem patrzył na dużą butelkę indyjskiego atra-

mentu, kawałek szorstkiego materiału, nożyczki, ster-
tę starych ręczników i pudełko farbek. Dwie nagie lal-
ki z mokrymi i obciętymi włosami owinięte w ceratę,
z twarzami dziwacznie pokrytymi grubą warstwą wo-
sku, leżały na ręcznikach. Między nimi walały się po
podłodze rude, brązowe i blond włosy. James patrzył,
jak Elizabeth schyla się nad wanną i zanurza głowę lal-
ki w misce wypełnionej rozrzedzonym atramentem,
po czym ostrożnie wczesuje szczoteczką do zębów
atrament w jej włosy.

- Co ty, u licha, robisz?

- Obiecałam dziewczynkom, że dostaną lalki, i chcę
dotrzymać słowa. I żadna cholerna fabryka porcelany
w Chesterfield nie zmusi mnie do złamania słowa! -
nie przerywając pracy odpowiedziała Elizabeth.

James z trudem powstrzymywał śmiech. Elizabeth
niszczyła właśnie rudą paryską piękność, by zmienić
ją w czarnowłosey ideał chińskiej urody. W gardle na-
rastał mu śmiech, gdy Elizabeth kontynuowała swój
monolog, więc odkaszlnął, żeby to ukryć.

- Najpierw zamierzałam zostawić im długie włosy -
oznajmiła. - Wiem, że Chinki noszą raczej długie wło-
sy, ale chciałam, żeby te lalki wyglądały jak Skarby.
Żadna z nich, wbrew temu co wcześniej usłyszałam
w więzieniu - Elizabeth rzuciła Jamesowi znaczące
spojrzenie - żadna z nich nie ma wystarczająco dłu-
gich włosów, żeby je zaplatać w warkocze.

James przestał udawać, że kaszle. Odrzucił głowę
w tył i wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy? - spytała, odgarniając z czoła
kosmyk włosów grzbietem dłoni.

- Ty - odparł ze śmiechem. - Jak klniesz, zanurzając

tę biedną główkę pokrytą woskiem w atramencie. Ty z pochłapanymi atramentem włosami, twarzą i rękami.

Ręce. Elizabeth spojrzała na nie i nagle zdała sobie sprawę, że chociaż lalki dokładnie zabezpieczyła, zapomniała o swoich dłoniach. Sięgnęła po ręcznik.

- To na nic - James wybuchnął jeszcze donośniej-
szym śmiechem. - Indyjski atrament jest niezmywalny.

- Wiem! - warknęła Elizabeth, ostrożnie wykręcając
włosy lalki i owijając je ręcznikiem. - Jak myślisz, dla-
czego posmarowałam im twarze woskiem?

- Skąd mam to wiedzieć? - wykrztusił James, śmie-
jąc się tak bardzo, że rozboleł go brzuch.

- Przestań! - zganiła go Elizabeth, celując w niego
czarnym palcem. Ale jego śmiech był tak zaraźliwy, że
zanim wstała i podeszła do niego, sama śmiała się do łez.

James trzymał się za brzuch, pokazywał ją palcem
i wciąż krztusił ze śmiechu.

- To wcale nie jest śmieszne! - oznajmiła, śmiejąc się
razem z nim.

- Zależy, jak na to spojrzeć. - James złapał ją za ra-
miona i odwrócił, żeby mogła przejrzeć się w lusterku.

Na prawym policzku miała atramentowy półksiężyc.
Była naprawdę przerażona. A on uważał, że to śmieszne!
Mężczyzna, którego kochała, uważał, że atramentowy
półksiężyc na policzku kilka dni przed planowanym przy-
jęciem dla kobiet z Coryville jest powodem do śmiechu.

- Cholera jasna! - zakląła, posługując się ulubionym
przekleństwem Jamesa.

- To zjedzie - uspokoił ją - kiedyś.

- Nie zdążę przed przyjęciem!

James zagryzł wargi, żeby powstrzymać kolejny wy-
buch śmiechu. Przypomniał sobie, że Elizabeth prosi-

ła o pozwolenie na urządzenie przyjęcia. Było to jakiś tydzień temu, ale zupełnie o tym zapomniał.

- To nie wygląda tak źle, kochanie - spróbował ją pocieszyć, zanim wybuchnie płaczem. - Jesteś piękna bez względu na wszystko. A to - dotknął atramentowego półksiężycyca - najprawdopodobniej zapoczątkuje nową tendencję w modzie. Wszystkie damy będą chciały mieć coś takiego.

- Czyżby? - Elizabeth odwróciła się do niego i uniosła poplamione dłonie. - A co powinnam zrobić z tym?

- Załóż rękawiczki - wykrztusił i wybuchnął śmiechem.

- Dobrze, świetnie - oznajmiła Elizabeth, klepiąc go po policzkach. - Ja założę rękawiczki i rozpocznę nową tendencję. A ciekawe, co ty zrobisz?

James spojrział w lustro. Otworzył usta na widok odcisków dłoni na obu policzkach. Nawet ktoś mało rozgarnięty domyślił się, że te odciski są zbyt duże, żeby mogły je zostawić jego córki, i za małe, żeby mógł sam je sobie zrobić.

- Nie zniosę tego dłużej - oznajmił Will, jedząc z nimi śniadanie następnego ranka. Policzki Jamesa były poplamione, Elizabeth też miała na twarzy czarny półksiężyc. A na dłoniach rękawiczki. Do śniadania. - Co się tu, u diabła, dzieje?

James popatrzył na Willa.

- Czemu miałyby się coś dziać? - spytał z powagą.

- Niech to licho, Jamie - zaklął rozdrażniony Will, wyrzucając w górę ręce. - Nie jestem ślepy ani głupi. Widzę, co jest między wami - odwrócił się i uśmiechnął do Elizabeth. - Nie chcę cię zawstydząć, Beth - powiedział, kiedy się zaczerwieniła. - Po prostu chciałbym, żebyście wiedzieli, że dobrze wam życzę. Obojgu. - Po-

patrzył na swojego najlepszego przyjaciela. - Natomiast nie rozumiem, dlaczego my mamy dziś na śniadanie stek z jajkami, a Skarby wcinają swoją papkę. Nie rozumiem też, dlaczego Beth jest tego ranka troszkę jakby zbyt oficjalna.

- Doprawdy? - spytał James. - Nie zauważyłem.

Will utkwiał wzrok w Jamesie.

- Daj spokój, Jamie, nawet twoja matka, najbardziej drażliwa na punkcie etykiety osoba, jaką znam, zdejmuję rękawiczki do posiłków. - Zmarszczył brwi, gdy Elizabeth nie udało się powstrzymać uśmiechu. - I co wy, u licha, macie na twarzach?

Elizabeth zachichotała.

- Skończyłeś? - spytał James, rzucając Elizabeth krótkie spojrzenie. - Martwię się o ciebie, Will - ciągnął dalej. - Zwykle jesteś bardziej spostrzegawczy.

- Więc wydarzyło się coś jeszcze? - Will zdawał się zdezorientowany.

- Rozejrzyj się. - James wskazał ruchem głowy na dziewczynki, siedzące obok i naprzeciwko Willa.

Will podążył za jego spojrzeniem. Ruby i Garnet spokojnie jadły śniadanie. Obok obu na krzeselkach siedziały nowe lalki.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Will z udawanym przerażeniem. - Koniec wojny domowej. Tu jest naprawdę cicho. A co to ma być? - nachylił się ku Garnet. - Nowe lalki?

Garnet podniosła głowę znad talerza z owsianką i uśmiechnęła się szeroko.

- Dzidzia.

Will przyjrzał się uważnie lalkom. Ich lśniące czarne włosy były krótko ostrzyżone, a lalce, którą trzymała

Garnet, obcięto grzywkę do połowy czoła, zupełnie jak jej samej. Zabawki miały oczy w kolorze ciepłego brązu, a czarne obramowanie nadawało im kształt migdałów. Willa zaskoczyło ich podobieństwo do Skarbów.

- Gdzie znaleźliście te lalki? - spytał. - Są prześliczne.

- Na półce w pokoju dzieciennym - odparł z dumą James.

Will zmarszczył brwi. Wiele razy był w pokoju dzieciennym i nie przypominał sobie, żeby je tam kiedyś widział. Dwie albo trzy francuskie lalki, ale nie... Przyjrzał się bliżej ich ubraniom - suknie skrojone według najnowszej paryskiej mody.

- Elizabeth trochę je przerobiła wczoraj wieczorem.

- Ty to zrobiłaś? - Will był pod wrażeniem. - Jak?

Elizabeth zdjęła rękawiczki i uniosła dłonie, żeby zobaczyć czarne plamy.

- Atrament indyjski.

Will wybuchnął śmiechem, odwrócił się do Jamesa i nagle zrozumiał, że ślady na jego twarzy to odciski dłoni. Najwyraźniej dłoni Elizabeth.

- Pomagałem - dodał James, uśmiechając się szeroko.

- Nie wierzę! - chichotał Will. - Szkoda, że mnie tu nie było. Nieźle musieliście się bawić, przerabiając te lalki.

- Jamie - zaczął Will, gdy James wrócił z pokoju dzieciennego. - Mamy kłopoty. W obozach.

James wzruszył ramionami.

- W obozach zawsze są kłopoty.

- Tym razem sprawa jest naprawdę poważna - odparł Will. - Jamie, górnicy walczą ze sobą z taką zaciekłością jak Ruby i Garnet. Obawiam się, że sytuacja może się jeszcze bardziej zaostrzyć.

James spojrział na Willa i dopiero teraz zrozumiał powagę sytuacji.

- Nie wydaje mi się, żeby nowe lalki pozwoliły zażegnać te konflikty.

- Kto wie, może i tak. Już i tak płacimy więcej niż inne firmy. Wprowadziliśmy pięciodniowy tydzień pracy zamiast sześciodniowego. Płacimy nadgodziny i dajemy płatne urlopy. Nie mam pojęcia, co jeszcze mielibyśmy zrobić. Ale sytuacja wygląda naprawdę groźnie. Jeszcze nigdy nie była tak niestabilna. Wyjątkowo wzmożyły się nastroje antychińskie. Jeśli nie zareagujemy dość szybko, może dojść do rozlewu krwi.

- Co według ciebie powinniśmy zrobić?

Will potrząsnął głową.

- Próbowałem się z nimi dogadać, ale w ogóle nie chcą mnie słuchać. Ty jesteś właścicielem Craig Capital. Może sam powinieneś z nimi porozmawiać.

- Może moglibyśmy im zaoferować pakiety akcji?

Will zastanowił się.

- Mogłoby się udać, gdybyśmy obaj się z nimi spotkali i osobiście próbowali przekonać ich do tego.

James pokręcił głową, spacerując po jadalni.

- Nie mogę jechać, Will. Będziesz musiał sam to załatwić.

- Już próbowałem, Jamie. Właśnie staram się wytłumaczyć ci, że to na nic. Nie chcą rozmawiać z zastępcą. Chcą się spotkać z tobą.

- Jeśli pojedę - zaczął James - jeśli pojedziemy, kto zaopiekuje się Elizabeth i dziewczynkami? Zostawiłbyś je same, nie wiedząc, czy ludzie Lo Penga nie kręcą się w pobliżu?

- Cholera - zaklął Will. - Nie pomyślałem o tym.

- A ja tak. - James zacisnął pięści. Pozostawanie w Coryville było ryzykowne z uwagi na firmę i zatrudnionych w niej ludzi, wyjazd oznaczał narażenie na niebezpieczeństwo własnej rodziny.

- To weź je ze sobą - poradził Will.

- Moje córki są Chinkami, Will. To bez sensu zabierać je tam, gdzie właśnie wybuchają nastroje antychińskie.

- Chyba nie mamy innego wyjścia, Jamie. Poza tym ta niechęć nie dotyczy ciebie osobiście. Im chodzi o pracę. I pieniądze. Nie sądzę, żeby którykolwiek z twoich pracowników chciał walczyć z dziećmi. Wiesz dobrze, że nie sugerowałbym takiego rozwiązania, gdybym podejrzewał, że Skarbom coś grozi. Uważam nawet, że to dobry pomysł, żebyśmy je zabrali. Większość górników jest z dala od swoich rodzin. Trzeba im przypomnieć, dla kogo pracują. Poza tym - dodał po chwili zastanowienia - tam obaj będziemy je chronić.

- Masz rację. Lepiej zabrać je ze sobą, niż zostawiać tutaj - zgodził się James. - W każdym razie warto spróbować.

- Czyli to ustalone. Zabierz ze sobą Elizabeth, Skarby, Delię, panią Glenross, każdego, kogo będziesz potrzebował. Zamieszkacie w domku.

- A ty?

- Ja się zakwateruję w biurze.

- W porządku. Kiedy wyjeżdżamy?

- Kiedy tylko się da - powiedział Will. - Chciałbym być tam jak najszybciej, żeby zapobiec dalszym kłopotom. Jutro, jeśli to możliwe.

- To niemożliwe, James - odparła Elizabeth. - Nie zdążę przygotować wszystkich do jutra.

- Spakuj tylko najpotrzebniejsze rzeczy - uspokoił

ją James. - Jeśli czegoś będziemy potrzebowali, zatelegrafujemy do pani Glenross. Prześle nam resztę ekspresem prosto do obozu.

- Miałyśmy przygotować herbatkę dla pań z Coryville na przyszły piątek - przypomniała Elizabeth.

- Pani Glenross poradzi sobie bez ciebie. Poza tym - dodał z szelmowskim uśmiechem - jeśli pojedziesz ze mną, nie będziesz musiała się bać, że ktoś zobaczy twoje ręce.

30

Rodzina Jamesa Camerona Craiga wzbudziła powszechne zainteresowanie, kiedy nazajutrz, późnym popołudniem po trzygodzinnej podróży, wysiadła z ekspresu Craig Capital Limited. Kilkunastu pracowników Craig Capital przystanęło, żeby popatrzeć, gdy na peronie pojawił się właściciel firmy, jego cztery córki, ich guwernantka i pokojówka oraz walizy z ubraniami i dwa dziecięce wózki. Pochód zamykał Will Keegan. Po raz pierwszy pracownicy Craig Capital mieli okazję zobaczyć Jamesa razem z rodziną.

Wraz z pojawieniem się Elizabeth, Delii i Skarbów zniknęły niepokoje narastające w obozie w ciągu ostatnich kilku tygodni. Dla pracowników firmy obecność rodziny Jamesa była sygnałem, że właściciel jest gotów do negocjacji. Wszyscy słyszeli o tym, jak oddanym ojcem jest James dla swoich małych, teraz mieli okazję przekonać się o tym na własne oczy. W obozie wszyscy wiedzieli, że córki Jamesa właściwie nie są jego córkami. Pomi-

mo plotek prawda o pochodzeniu dziewczynek wyszła na jaw. Do chińskiej części obozu dotarły już wieści z San Francisco, jakoby Lo Peng pozwalał na oddawanie Jamesowi Craigowi niechcianych dziewczynek. Chińczycy pragnęli przekonać się, jak je traktuje. Snuto domysły, dlaczego człowiek, mający tak wielką władzę i pieniądze, przeznaczają je na wychowywanie bezwartościowych przecież córek. Dlaczego nie woli łożyć na wychowanie synów. Większość Irlandczyków, Walijszczyków i Kornwalijszczyków w firmie również wiedziała, że Skarby to przybrane dzieci Jamesa. Dotarły do nich plotki z londyńskich i edynburskich filii Craig Capital, że James Craig to dziwak, który adoptuje niechciane chińskie dziewczynki zamiast ożenić się i mieć własne dzieci. W Londynie i Edynburgu zastanawiano się nawet, komu James zamierza zapisać fortunę, skoro nie ma synów.

Skarby spały w czasie podróży, więc teraz rwały się do zabawy. Nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie będą mogły obejrzeć obóz. Zbyt długo miały ograniczoną swobodę ruchów. Przyzwyczyły się, że mogą biegać, gdzie chcą, a w pociągu musiały siedzieć spokojnie. Elizabeth widziała, jak są ożywione, wędrując za Willem do przygotowanego dla nich domku.

Domek, choć przestronny, był mniejszy od pokoju dziecinnego. Elizabeth rozejrzała się po największym z pokoi. Był wygodnie umeblowany, znajdował się w nim piec. Na zewnątrz prowadziło dwoje drzwi.

- Są dwie sypialnie - poinformował Will. - W łazience jest wanna i umywalka. Obawiam się, że wyposażenie nie należy do najbardziej wyszukanych. Nie ma bieżącej wody, ale na tylnym ganku jest pompa, a ubikacja też stoi całkiem niedaleko.

- Z pewnością nam to wystarczy - powiedziała Elizabeth. Zerknęła na zegarek przypięty do sukni. - Czas na zabawę w parku - przypomniała Jamesowi. - Czy wciąż obowiązuje ich normalny program, czy wolałbyś, żebym pomogła Delii rozpakować rzeczy?

James potrząsnął głową.

- Wyjmij tylko to, co ci jest najbardziej potrzebne. - Sięgnął do ogromnej torby skórzanej, do której Elizabeth włożyła pieluchy, puder, ubranka, kilkanaście puszek mleka i dwie butelki Diamond. Wyjął butelkę i puszkę mleka. Zaniósł puszkę na stół, scyzorykiem zrobił dwie dziury w pokrywce, zdjął smoczek z butelki i nalał do niej mleka. - Proszę - nałożył smoczek na butelkę i włożył do torby, którą założył Elizabeth na ramię. - To na wypadek, gdyby Diamond zgłodniała - wyjaśnił.

- Dokąd idziemy? - zainteresowała się Elizabeth.

- Na spacer ze Skarbami. Jakies pół kilometra stąd, pod lasem, jest łąka. - James przyniósł z sypialni złożony koc. Spojrzał na Willa, oczekując potwierdzenia. Will kiwnął głową. - Dziewczynki mogą się tam spokojnie bawić. Musicie tylko uważać, żeby nie zbliżały się do szybów i nie wchodziły do lasu.

- A ty gdzie będziesz? - chciała wiedzieć Elizabeth.

- W biurze przy wejściu do kopalni. To ten budynek naprzeciwko peronu - odparł James. - Przyślę tu kogoś, żeby zaniósł walizy do sypialni i przygotował posłania dla dziewczynek. Niech Delia, Ruby i Garnet śpią w jednej, a ty, Emerald a i Diamond w drugiej.

- A ty gdzie będziesz spał? - łągodnie spytała Elizabeth.

- W biurze z Willem - równie łągodnie odpowiedział James.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Tylko przez parę dni - cicho powiedział James, tak żeby tylko ona go usłyszała.

- Dla mnie to będzie wieczność - szepnęła Elizabeth.

- Dla mnie też - odparł, po czym głośniejszym głosem dodał: - Pakuj dziewczynki do wózków. Zaprowadzę was na łąkę.

Łąka o powierzchni mniej więcej akra właśnie zaczynała rozkwitać wczesnymi wiosennymi kwiatami i trawami. Elizabeth pchała wózek z Diamond. James przyprowadził spacerówkę Garnet i Emeraldy do cienia pod osiką rosnącą samotnie na skraju lasu. Elizabeth podeszła do niego. James wyjął z wózka dziewczynki, na ziemi rozłożył koc. Wyciągnął z wózka lalki dziewczynek i drewniane klocki, którymi bawiły się podczas podróży. Ułożył to wszystko na środku koca i posadził na nim Emeraldę. Delia puściła rękę Ruby i dziewczynka natychmiast rzuciła się w pogoń za motylem. Delia ruszyła za nią, a w niewielkiej odległości za nimi dreptała Garnet.

James i Elizabeth patrzyli, jak dziewczynki, wrzeszcząc z całych sił, biegały po łące za barwnymi plamkami, umykającymi z kwiatka na kwiatek.

- Tutaj Skarby mogą się wybiegać i wykrzyczeć do woli - oznajmił James. - Tylko nie pozwól im zbliżyć się do lasu - wyciągnął rękę w kierunku sterty kamieni. - Niech te kamienie wyznaczają granicę. Na łące dziewczynkom nic nie grozi, ale przy stawie jest kilka nie używanych szybów wentylacyjnych. Nie zostawiacie tu dłużej niż do czwartej. - James wyciągnął z kieszeni zegarek. Było wpół do trzeciej. Zwykle Skarby bawiły się w parku dwie godziny, od drugiej do czwar-

tej, ale James nie chciał ryzykować. Spojrzał w niebo, oceniając, ile czasu pozostało do zachodu słońca. - W górach zmierzch zapada szybciej.

Elizabeth przytaknęła.

- Jeśli coś się wydarzy, krzyknij. Będę w pobliżu.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go Elizabeth.

- Spotkamy się w domku przed czwartą.

- Mogę nie zdążyć przed czwartą - powiedział James

- ale na pewno zdążę pomóc ci wykapać dziewczynki i położyć je spać, dobrze? - James chciał ją pocałować na pożegnanie. Cały dzień marzył o tym, żeby ją pocałować, ale przez cały czas w pobliżu była Delia i Skarby, więc tylko wyciągnął rękę i ukradkiem ścisnął dłoń Elizabeth. - Chciałbym ci ukraść całusa albo dwa dziś wieczorem, kiedy Delia i Skarby się położą. Nie zasypiaj, dopóki nie wrócę - poprosił.

- Nie zasnę - obiecała Elizabeth. - A teraz idź już, bo się spóźnisz na spotkanie.

- Baw się dobrze. I zaopiekuj się dla mnie dziewczynkami.

- Możesz mi zaufać.

James popatrzył na nią poważnie.

- Gdybym ci nie ufał, nie zostawiłbym cię ze Skarbami. - Rozejrzał się, żeby się upewnić, czy Delia i dziewczynki nie patrzą i delikatnie przesunął palcem wzdłuż półksiężycy na prawym policzku Elizabeth.

- Za dobrze cię znam, Jamesie Cameronie Craigu - drażniła się z nim. - Rozpaczliwe warunki wymagają rozpaczliwych środków. Wolałbyś sam zająć się Skarbami. Zostawiasz mnie z nimi tylko dlatego, że nie masz innej guwernantki.

- Nie chcę żadnej innej guwernantki - odpowiedział

niskim głosem, pod którego wpływem jej serce zaczęło walić jak oszalałe.

- Idź - ponagliła go Elizabeth. - Im szybciej zaczniesz rozmowy, tym szybciej skończysz.

James uśmiechnął się do niej.

- Mylisz się, kochana - wyszeptał, dotykając ustami ucha Elizabeth i łaskocząc brodę Diamond. - Ufam ci. Powierzam ci swoje dzieci. Ich życie jest w twoich rękach.

Wyprostował się i pomachał dzieciom na pożegnanie. Skierował się do obozu, gdzie czekali na niego niezadowoleni pracownicy.

Diamond obudziła się i zaczęła marudzić. Elizabeth wyjęła ją z wózka i ułożyła na kocu, żeby zmienić jej pieluchę i nakarmić. Emeraldą przypełzła do nich, rozrzucając wokół klocki. Zbudowała trzy wieże na spódnicy guwernantki, kiedy ta oparta o pień osiki karmiła niemowlę.

Elizabeth nuciła pod nosem i z zadowoleniem obserwowowała zabawę Emeraldy. Odszukała wzrokiem Delię i starsze dziewczynki. Bawiły się w kółeczku na łące. Sielankowy pejzaż rozciągający się przed jej oczami wart był pędzla Thomasa Gainsborougha.

- Nie podchodźcie do lasu! - krzyknęła do Delii. - Nie spuszczaaj z oka dziewczynek.

Delia kiwnęła głową i rzuciła się na trawę, gdzie bawiły się Ruby i Garnet.

Elizabeth roześmiała się, widząc perkalowe spódniczki i białe fartuszki falujące wśród trawy. Delia świetnie radziła sobie z dziećmi. Była posłuszna, pracowita i przede wszystkim lubiła Skarby i zabawę z nimi. Wiele czternastoletnich dziewcząt uznałoby, że są za duże, żeby ciągle bawić się z maluchami, ale Delia nigdy się nie skarżyła.

Diamond skończyła jeść, więc Elizabeth czekała, aż

się jej odbije. Potem ukołysała ją do snu. Emeraldą wciąż spokojnie układała coś z klocków, a Ruby głośno i piskliwie domagała się, żeby Delia pobawiła się z nią w chowanego na łące.

Elizabeth ułożyła Diamond tuż przy sobie w wygodnym miejscu na kocu i zaczęła bawić się z Emeraldą. Słuchała pisków i chichotów dziewczynek bawiących się w chowanego, co jakiś czas spoglądając w ich stronę. Teraz Garnet miała odnaleźć Ruby i Delię. Elizabeth czujnym okiem śledziła poszukiwania, widziała, jak Garnet odnalazła Delię i wesoło biegała po łące w poszukiwaniu Ruby. Elizabeth pomachała im i wróciła do układania klocków z Emeraldą.

Kilka minut później do zabawy wkradł się niepokój. Garnet bezskutecznie nawoływała siostrę.

Do poszukiwań włączyła się Delia.

- Panienko Ruby! Można już wyjść! Teraz ja szukam!

Elizabeth zerwała się na równe nogi i rozejrzała po łące. Widziała Garnet i Delię, ale Ruby jakby zapadła się pod ziemię.

- Delio? Znalazłaś ją?

- Jeszcze nie, proszę pani - Delia potrząsnęła głową.

- Nigdzie jej nie ma! Wszędzie szukałam.

- Nigdzie już nie chodź! - zarządziła Elizabeth. - Nie ruszaj się z miejsca! Już idę!

Schyliła się i wzięła na ręce śpiącą Diamond. Ostrożnie włożyła dziecko do wózka, potem wyciągnęła Emeraldę spomiędzy klocków i wzięła ją na ręce. Następnie chwyciła rączkę wózka i ciągnęła go za sobą przez wysoką trawę do miejsca, gdzie czekały na nią Delia i Garnet.

- Nie mogę jej znaleźć, proszę pani! - oznajmiła

przeżona Delia i łzy pociekły jej po twarzy. - Nie chciałam jej zgubić.

- Myślisz, że mogła iść do lasu? - spytała Elizabeth.

- Na pewno nie - odparła Delia. - Powiedziałam im, że nie wolno zbliżać się do lasu. Wiem, że panienska Ruby zrozumiała zakaz. Na pewno nie schowała się w lesie. Cały czas byłyśmy na łące - Delia przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, i rozszlochała się na dobre. - My tylko bawiłyśmy się w chowanego, jak zawsze.

- Już dobrze, Delio - uspokajała ją Elizabeth. - Nie martw się. Znajdziemy ją. - Oddała dziewczynie Emeraldę. - Zostań tu z dziewczynkami. Ja spróbuję znaleźć Ruby.

Elizabeth przeszukała łąkę, ale Ruby jakby rozplynęła się w powietrzu. Jeszcze raz, dokładnie, metr po metrze *sprawiła, teren, na którym dziewczynki bawiły się w chowanego.*

- Ruby! To ja, Elizabeth! Wyjdź już. Czas wracać do domu - krzyczała wielokrotnie, ale bezskutecznie. - Proszę, wyjdź już, Ruby!

Jednak dziewczynka nie dawała znaku życia. Elizabeth zaczęła martwić się nie na żarty. Zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta i słońce zaczęło już chować się za drzewa. Elizabeth jeszcze raz przeszukała całą łąkę, ale nie znalazła Ruby. Zaczęła trząść się z przerażenia. Jeśli Ruby nie było na łące, musiała schować się w lesie, a zapadał już zmrok. Nie mogła dłużej czekać, musiała iść po pomoc. Powinna odnaleźć Jamesa.

Elizabeth gorączkowo analizowała sytuację. Chciała wysłać Delię z dziewczynkami do obozu, ale z drugiej strony nie chciała, aby to Delia przekazała wiadomość Jamesowi. I bez tego biedna dziewczyna czuła się

fatalnie. Poza tym to ona, nie Delia, była guwernantką. To ona nie upilnowała Ruby, dlatego sama musiała powiadomić o tym Jamesa. Ale żeby wrócić do obozu, trzeba było włożyć do wózka Emeraldę i Garnet, a Diamond nieść na rękach. A przecież Delia powinna zostać na łące, na wypadek gdyby odnalazła się Ruby. Poza tym należało się spieszyć, a z wózkiem i dzieckiem na rękach byłoby to trudne.

Odwróciła się do Delii i podała jej niemowlę. Posadziła Garnet w wózku obok siostry.

- Zostań tu z Diamond na wypadek, gdyby pojawiła się Ruby. Zabiorę Garnet i Emeraldę i pójdę sprowadzić pomoc.

- Proszę pani, to moja wina! Przepraszam... - płakała Delia.

- Cicho, cicho - przytuliła ją mocno Elizabeth. - To niczyja wina. Nic jej nie będzie, zobaczysz. Ale robi się ciemno. Same sobie nie poradzimy. Zostań tutaj, wrócę najszybciej jak się da. Wołaj ją cały czas.

Elizabeth odwróciła wózek i ruszyła przed siebie szybkim krokiem. Kiedy dotarła do twardej ścieżki, podciągnęła spódnicę i zaczęła biec ku uciesze Emeraldy i Garnet, zachwyconych zawrotną prędkością wózka.

Kiedy dotarła do obozu, nie zostawiła wózka przed budynkiem biura. Po prostu otworzyła drzwi i wepchnęła go do środka.

- Proszę pani - ktoś próbował ją zatrzymać. - Nie może tam pani wejść. Pan Craig ma ważne spotkanie.

- Wiem o tym - odparła Elizabeth. - Ale muszę się z nim zobaczyć. Natychmiast - z trudem opanowała panikę w głosie, sztywnym krokiem podchodząc do drzwi dzielących ją od Jamesa. Zapukała i otworzyła je.

Zdenerwowany James wpatrywał się w przywódców różnych frakcji, jakie utworzyli jego pracownicy. Cały wysiłek poszedł na marne. Ci ludzie nie byli w stanie dostrzec sensu jego polityki. Nie widzieli wspólnego dobra, na każdą propozycję odpowiadali pytaniem: A co my będziemy z tego mieli? Co będą z tego mieli Walijszczy? Co Irlandczycy? Co Kornwalijczycy? A co Chińczycy? Nie byli w stanie pojąć, że on chce dobra ich wszystkich, nie tylko jednej z grup. Zaciśnął zęby i głęboko odetchnął. To spotkanie było stratą czasu. Ci ludzie nie byli gotowi do negocjacji, bo nie chcieli słuchać głosu rozsądku. On jednak doprowadzi swoje dzieło do końca. Im szybciej przekona ich do swojej propozycji, tym szybciej będzie mógł wrócić z rodziną do domu. Do diabła z nimi. Jak chcą odejść, niech odejdą. Zatrudni innych. Albo zamknie kopalnię.

James przerwał w pół zdania, marszcząc brwi na dźwięk otwieranych drzwi. Co znowu?

- Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać...

- Przepraszam - powiedziała Elizabeth - ale to nagły wypadek.

James odwrócił głowę. Szeroko otwarte oczy dziewczyny błyszczały od łez. Była przerażona. Krew odpłynęła jej z twarzy, a głos drżał, chociaż starała się zachować spokój. Żołądek skurczył mu się ze strachu, a na czole pojawiły się kropelki potu.

- O co chodzi? Co się stało?!

Elizabeth precyzyjnie się w drzwiach obok wózka, zapominając o siedzących na sali ludziach, zapominając o całym świecie. Pragnęła jedynie rzucić się Jamesowi w ramiona i pozostać w nich, dopóki nie podzieli się z nim tą straszną wiadomością.

Ale James zatrzymał ją.

- Co się stało? - powtarzał.

Po twarzy Elizabeth popłynęły łzy.

- Ruby - wykrztusiła.

James podszedł do niej, chwycił ją za ramiona i wpatrywał się w jej twarz, pragnąc odgadnąć, co się wydarzyło.

- Co się stało Ruby?

- Zniknęła! - Elizabeth chciała się do niego przytulić. - Ona zniknęła!

- Boże, nie! Znowu! - James puścił Elizabeth i odepchnął, niejako instynktownie odsuwając się od posłańca przynoszącego złe wieści. Cofnął się, jakby dziewczyna ugodziła go w serce najostrzejszym z noży. Jego twarz pobladła, ugięły się pod nim kolana. Zdawało mu się, że cały świat runął w gruzy, gdy słuchał słów, których miał nadzieję nie usłyszeć nigdy więcej. Ale znów je słyszał, a wraz z nimi napłynęły wspomnienia i wściekłość - potworna, bo bezradna wściekłość. Popatrzył na Elizabeth, jakby jej nie poznawał. Złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Na miłość boską, Mei Ling, co zrobiłaś mojemu dziecku? - wrzasnął.

- Nnnie jestem Mmei Ling - zaprotestowała drżącym głosem. - Jestem Elizabeth. Mam na imię Elizabeth - powtórzyła zdenerwowana, ale zdecydowanym tonem. - I nic nie zrobiłam twojemu dziecku. Ruby bawiła się z Delią i Garnet w chowanego na łące. Powinnam pilnować ich uważniej, ale... Nie mogę jej znaleźć. Nie chce się pokazać. Nie odpowiada.

James popatrzył na nią, potem na Willa.

- Boże, dopomóż. Musimy ją odnaleźć. Musimy ją odnaleźć, zanim... Jest taka malutka. Będzie się bardzo bała. - Odwrócił się do Elizabeth. - Miałaś ich pilnować! Powiedziałaś, że będziesz ich pilnować. Zaufałem ci! Bo-

że! Zaufałem ci! - Potrząsnął głową. - Wiedziałem, że nie powinienem ich zostawiać z niedoświadczoną guwernantką... - przerwał. - Jeśli coś się stanie Ruby...

Elizabeth zachwiała się.

- Powinienem był wiedzieć, że nie dasz sobie rady. Powinienem był wiedzieć, że to dla ciebie zbyt wiele - wybuchnął. - Powinienem był się domyślić, widząc, jak zareagowałaś, kiedy ją zobaczyłaś po raz- pierwszy. Boże! O czym ja myślałem? Czym myślałem? Nawet nie umiałaś zmienić pieluchy, a ja cię zatrudniłem jako ich guwernantkę. Delia lepiej się nimi opiekuje.

- James, ja... - Elizabeth spojrzała mu w oczy. - To wszystko moja wina. Tak mi przykro. Ja...

- Przykro ci? Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? Idę jej szukać i modłę się, żeby...

- Ja też, James - powiedziała. - Modłę się, żeby nic się jej nie stało. I chcę iść z tobą, żeby się upewnić, że tak jest.

- Nie - zabronił. - Zostaniesz tutaj. Mam dość problemów. Muszę się skupić na odnalezieniu dziecka. Jeśli cokolwiek się jej stanie, nigdy tego sobie nie wybaczę - popatrzył Elizabeth prosto w oczy. -I nigdy nie wybaczę tobie.

Złapał rączkę wózka Garnet i Emeraldy, ominął Elizabeth i wyszedł z pokoju, skrzykując mężczyzn do poszukiwań.

31

- On wcale tak nie myśli, Beth - odezwał się Will. Podszedł do Elizabeth i mocno ją objął. Stała w mil-

czeniu na środku pokoju, a po jej policzkach płynęły łzy. - Jest przerażony i wściekły na los, który kolejny raz stawia go w tej samej sytuacji.

Elizabeth spojrzała w górę na Willa.

- Powinieneś iść pomóc mu szukać Ruby.

- I zostawić cię samą, żebyś winiła się za coś, czego nie zrobiłaś? Nie ma mowy. - Will potrząsnął głową. - Kilka lat temu popełniłem ten błąd. Wtedy chodziło o Jamesa. Powinieneś być pomóc mu zrozumieć, co się właściwie stało. A ja pozwoliłem mu, żeby się zadreczę, winiąc się za tragedię, której nie mógł zapobiec. Nie powinieneś być czekać aż cztery lata, żeby naprawić swój błąd.

Elizabeth mocno przytuliła się do Willa i odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Nazwał mnie Mei Ling.

- To jego żona - przytaknął Will.

Elizabeth zadrżała.

- Kobieta, która zagłodziła się na śmierć, bo James nie potrafił jej wybaczyć.

- Jamie ci to powiedział? - zdziwił się Will.

Elizabeth przytaknęła.

- A powiedział ci, dlaczego to zrobiła? - spytał Will.

- Czy Jamie powiedział ci, dlaczego nie umiał jej wybaczyć? Czy powiedział ci, co zrobiła Mei Ling?

- Nie - wyszeptała Elizabeth. - Nie powiedział.

- Zabiła jego dziecko. Poczekala, aż Jamie wyjedzie w delegację na kilka dni do Macao, i oddała ich sześciomiesięczną córkę starej kobiecie z naprzeciwka, żeby ją wykapała.

Zaskoczona Elizabeth potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem.

- Kapanie niemowlęcia to chiński eufemizm ozna-

czający utopienie dziecka. Tak się robi z niechcianymi dziećmi, zwłaszcza z dziewczynkami.

- Nie wierzę, że dziecko Jamesa mogło być niechciane - zaprotestowała zszokowana Elizabeth.

- Właśnie - zgodził się Will. - Dlatego Mei Ling oczekiwała, żeby James wyjechał w delegację. Wiedziała, że kochał córkę. Wiedziała, że pragnął córki i nigdy nie pozwoliłby zabić jej tylko dlatego, że nie jest chłopcem - synem i dziedzicem. Stara kobieta z naprzeciwka była położną Mei Ling. James zabronił jej wchodzić do domu po urodzeniu dziecka. Chciał zapobiec uduszeniu Cory.

- Cory - ledwo dosłyszalnie powtórzyła Elizabeth.

- Tak, Cory - potwierdził Will. - Została ochrzczona jako Julia Coral, ale James nazywał ją Cory. Mei Ling oddała ją położnej, a ta zabrała dziecko i utopiła je w pobliskim stawie. Jamie wrócił z Macao, chciał zobaczyć córkę, ale kołyska była pusta. Zrozumiał, co się stało, gdy na jego pytania Mei Ling odpowiadała jedynie, że Cory zniknęła. Jamie przeszukał okolicę i w końcu znalazł ciało córki. Odnalezienie jej szczątków zajęło mu kilka dni, bo dzikie zwierzęta wyciągnęły ją ze stawu. Niewiele z niej zostało. Nie mógł być pewien, że to była Cory, ale... - Will przerwał i dwukrotnie głośno przełknął ślinę. - Dlatego właśnie James niewiele śpi. Ciągłe ma koszmary. Bóg wie, że nigdy nie zapomnę, jak spojrział na Mei Ling, gdy wrócił ze szczątkami Cory.

- Coryville. - Oczy piekły Elizabeth, gdy popatrzyła na Willa pytająco. - Zbudował to miasto i nazwał je na cześć córki.

- Tak. Wymarzył sobie doskonałe miasto, w którym wszystkie dzieci mogłyby bezpiecznie dorastać. Miał

to być hold złożony Cory. Za to, że musiała umrzeć. Że nie umiał jej ocalić.

- A Mei Ling? - Elizabeth znała odpowiedź, ale musiała o to zapytać. - Co z nią się stało?

- Błagała Jamesa o przebaczenie. Bardzo się starał. Z całego serca. Ale nie wszystko można wybaczyć. Mei Ling nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Schroniła się w swoim pokoju z pokojówką i powoli umierała. Kiedy James uporał się z bólem po śmierci Cory i zrozumiał, co się dzieje, było za późno.

- A Ruby? - spytała Elizabeth. - Kto jest jej matką?

- Nic nie wiemy o jej matce - wyjaśnił Will. - Jamie znalazł Ruby po śmierci Mei Ling. Ktoś porzucił ją na skałach przy brzegu, żeby porwał ją przypływ. Jamie przedarł się przez wodę i uratował ją - uśmiechnął się na to wspomnienie. - Potem zjawił się w biurze z mokrą, nagą i piszczącą dziewczynką, cały przemoczony i uśmiechnięty od ucha do ucha. Nie rozstaje się z Ruby od tamtej pory. Zabrał ją ze sobą z Hongkongu do Coryville. Pozostałe dziewczynki, Garnet, Emeraldę i Diamond, też znalazł. Wszystkie by zginęły, gdyby ich nie przygarnął. Jamie kocha je wszystkie, ale Ruby... - Will odsunął się od Elizabeth i zaczął chodzić po pokoju. Przeczesał palcami włosy i potrząsnął głową, burząc fryzurę. - Właściwie nie wiem, czy to on ocalił Ruby, czy ona jego. Wiem tylko, że Ruby jest jego ulubienicą, oczkiem w głowie. Nie mam pojęcia, co by zrobił, gdyby coś się jej stało...

- A ja wiem - powiedziała Elizabeth, patrząc w oczy Willowi i starając się wytrzymać jego spojrzenie. Potem głośno wyraziła myśli ich obojga: - Będzie przeklinał samego siebie za to, że zatrudnił mnie jako ich guwernantkę. I nigdy tego nie wybaczy ani sobie, ani mnie.

To było najdłuższe popołudnie w jego życia Wszystko wskazywało na to, że noc będzie taka sama. Nad łąką zapadł zmrok. Pracownicy kopalni zapalili pochodnie i po raz setny przeczesywali teren. Zatrzymali się na skraju lasu i nawoływali Ruby. Było zbyt ciemno, żeby szukać w lesie, nawet z pochodniami i latarniami. Zbyt ciemno, żeby udało się ominąć i w porę dostrzec wszystkie szyby wentylacyjne pozostałe po wyeksploatowanych kopalniach. Chociaż jego ludzie byli gotowi zaryzykować, James na to nie pozwolił. Uznał, że trzeba poczekać do rana i wznowić poszukiwania, kiedy się rozjaśni. Nie mógł pozwolić, żeby zatarli ślady, które zostawiła Ruby. Przechesali łąkę i nie znaleźli jej, musiała więc być w lesie. James nie chciał pozwolić, żeby w ciemnościach przeoczyli jakiś ślad, coś ważnego, co mogliby dostrzec w świetle dnia. Odetchnął głęboko, powoli wypuszczając powietrze z płuc. Chociaż jego ojcowski instykt buntował się przeciwko takiej decyzji, postanowił odłożyć poszukiwania do rana.

Podszedł do kręgu z kamieni, wewnątrz którego rozpalono ognisko.

- Dziękuję wam wszystkim - powiedział głosem ochrypłym od nawoływań i z trudem powstrzymywanych łez, które odbierały mu oddech. - Dziękuję bardzo za waszą ciężką pracę i oddanie - uśmiechnął się z wysiłkiem, patrząc na przedstawicieli dwóch różnych kultur, Wschodu i Zachodu, stojących przy nim ramie w ramie. - Wiedziałem, że potraficie pracować w zespole. Szkoda tylko, że dopiero zniknięcie mojej córki pozwoliło wam się o tym przekonać - głos mu się załamał, więc przerwał, żeby się uspokoić. - Jest już zbyt ciemno, pracowaliście cały dzień. Wracajcie do swoich do-

mów i prześpijcie się. Będę tu o świcie, gdyby któryś z was zechciał mi pomóc w poszukiwaniach. Jeśli nie, macie wolne. Pozostańcie w łózkach. Odpocznijcie. Wszystko jedno. Jedźcie odwiedzić żony. I dzieci. - James uniósł dłoń i zakrył nią oczy. - Modłę się, żebym i ja mógł zobaczyć wszystkie moje córki. - Ruchem ręki pokazał ludziom, by się rozeszli. Potem podszedł do koca rozłożonego pod drzewem i osunął się na ziemię.

- Panie Craig?

James otworzył oczy i zobaczył przed sobą Delię, trzymającą w ramionach Diamond. Wózek z Garnet i Emeraldą stał nieopodal.

- Panie Craig, Skarby, to znaczy panienka Garnet i Emeraldą, już śpią, a panienkę Diamond trzeba przewinąć i nakarmić. - Zaczęła kołysać niemowlę, żeby się uspokoiło. - Pomyślałam, że mogłabym wrócić do obozu razem ze wszystkimi, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Wiem, że wolałby pan zostać z dziewczynkami, ale one są naprawdę zmęczone i głodne. Zwykle o tej porze już śpią.

James ukrył twarz w dłoniach. Owszem, chciał, żeby Skarby zostały z nim, ale trzymanie ich na dworze przez całą noc nie miało sensu. Wprawdzie sam zamierzał czuwać na łące, ale Delia miała rację, że dziewczynki powinny odpocząć w domu.

- Zabierz je, Delio. I sama odpocznij. Dobrze się dziś wieczorem spisałaś, opiekując się Skarbami. Jestem z ciebie dumny.

- Dziękuję, proszę pana - odparła Delia. - Sprawdzę też, jak się czuje panna Elizabeth. Pamiętam, jak mówił pan, że była zbyt roztrzęsiona, żeby tu wrócić i szukać, ale chciałabym do niej pójść, jeśli pan pozwoli. Wiem, że strasznie się martwi o panienkę Ruby.

Przeszukała każdy centymetr łąki, kiedy powiedziałam jej, że zgubiłam Ruby.

James podniósł głowę.

- Ty ją zgubiłaś?

Delia zadrżała pod spojrzeniem swego chlebodawcy, ale dzielnie je wytrzymała.

- Tak, proszę pana. Bawiłam się w chowanego z panienką Ruby i Garnet i wtedy właśnie ją zgubiłam. Schowała się naprawdę dobrze. Nie mogłam jej znaleźć.

- A gdzie była wtedy panna Elizabeth?

- Siedziała tu na kocu, zajmując się panienką Diamond i Emeraldą.

- Dlaczego nie ty zajmowałaś się Emeraldą i niemowlęciem? Dlaczego panna Elizabeth nie pilnowała starszych dziewczynek? - spytał, chociaż dobrze znał powód.

- Bo panienka Ruby nie chce się bawić, jeśli pilnuje jej panna Elizabeth. Wścieka się i awanturuje i po prostu siedzi na ziemi. Więc panna Elizabeth obserwuje nas z bezpiecznej odległości, żeby panienka Ruby nie zauważyła, bo przecież dziewczynki powinny sobie pobiegać.

James zacisnął oczy. Z udręką przypomniał sobie scenę w parku, którą obserwował z okna w biurze. Ruby nie pozwalała Elizabeth dołączyć do zabawy i nie słuchała jej. „Panna Elizabeth obserwuje nas z bezpiecznej odległości, tak żeby panienka Ruby nie zauważyła”. Przypomniał sobie wszystkie gorzkie słowa, które powiedział jej w biurze w obecności tylu świadków. „Delia lepiej się nimi opiekuje”. I to była zaledwie część brutalnych oskarżeń, które wysunął przeciwko niej. Boże! Winił Elizabeth za zbrodnię, którą popełniła Mei Ling, myląc te dwie sprawy. Myślał, że

przypadkowa chwila nieuwagi i świadome przyzwolenie na morderstwo to to samo. Odwrócił się do Delii.

- Dziękuję, że mi to wyjaśniłaś - odezwał się wreszcie. - Byłbym ci wdzięczny, gdybyś odprowadziła dziewczynki do domu i zajrzała do panny Elizabeth przed snem. I powiedz jej, że... - urwał i potrząsnął głową. Chciał poprosić: Powiedz jej, że ją kocham, ale wiedział, że powinna to usłyszeć od niego. Po tym, co zaszło między nimi, Elizabeth zasłużyła, żeby usłyszeć te słowa od niego, nie od Delii.

- Proszę pana?

James spojrział na nią i uświadomił sobie, że dziewczyna czeka, aby dokończył zdanie.

- Nieważne - odparł miękko. - Sam jej to powiem.

Kilka godzin później Elizabeth znalazła go tam, gdzie spodziewała się go znaleźć - siedzącego na kocu, opartego o drzewo. Ogień wypalił się, na palenisku zarzyły się kłody, chwilami rozbłyskując płomieniem, to znów gasnąc. Pomyślała, że wyczerpany zasnął i ostrożnie postawiła latarnię na ziemi, żeby go nie obudzić. Na próżno. James usłyszał jej kroki.

- Powinnaś już spać.

- Myślisz, że mogłabym zasnąć po tym, co się stało? Myślisz, że mogłabym zasnąć, wiedząc, że Ruby zaginęła przeze mnie? - spytała. - Masz o mnie coraz gorsze zdanie, James.

- To wszystko nieprawda, co ci powiedziałem dziś po południu - przyznał. - Pomyliłem to, co wydarzyło się dziś, z czymś, co miało miejsce dawno temu.

- Pomyliłeś mnie ze swoją żoną, Mei Ling - odparła Elizabeth. - Oskarżyłeś mnie o lekceważenie obo-

wiązków. Może i byłam nieuważna, ale nie zgubiłam Ruby świadomie. Nie pozbyłam się Ruby, tak jak Mei Ling pozbyła się Cory.

James odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

Elizabeth widziała zaskoczenie na jego twarzy, błysk łez w oczach i ślady wcześniejszych łez na policzkach.

- Will mi powiedział.

James kiwnął głową.

- Więc wiesz już wszystko.

- Tak.

- Więc powiedz mi, czy już zepsułem to, co jest między nami?

- Nie wiem - odparła szczerze, stając przy nim na tyle blisko, żeby móc go dotknąć, nie dotykając. - Zimno tu - zadrżała, przesuwając dłońmi po ramionach, żeby się rozgrzać. - Powinieneś zawinąć się w ten koc, a nie siedzieć na nim.

- Nie mogę - odrzekł po prostu. - Ruby jest gdzieś tam bez koca. Jak mógłbym się nim okryć, skoro wiem, że ona marznie?

- Nie możesz - przyznała Elizabeth. - Ja też nie mogę.

James spojrzał na nią i zauważył, że ma na sobie tę samą lekką suknię co po południu. Opuścił wzrok na latarnię.

- Odnalazłem moją najstarszą córkę - odezwał się po dłuższej chwili. - A właściwie odnalazłem jej szczątki.

- Wiem. - Elizabeth uklękła przy nim i położyła mu rękę na ramieniu. - Dlatego tu jestem. Wiedziałam, że nie wrócisz, dopóki Ruby się nie znajdzie. Kiedy Will powiedział mi, co się stało z Cory, wiedziałam, że bę-

dziesz tu siedział i rozpamiętywał przeszłość, zastanawiając się, czy los może być aż tak okrutny, żeby po raz drugi kazać ci przeżywać tamten koszmar.

James odwrócił się do niej, objął ją w pasie i przytrzymał do siebie.

- Czasem wspomnienia nie pozwalają mi zasnąć. Boże, Elizabeth, nie zniosę tego znowu. Nie zniosę zastanawiania się nad tym, co znajduję. - Ukrył twarz w jej sukni. Elizabeth tuliła go, gdy szlochał.

- Kocham cię, Jamesie Cameronie Craigu - wyznała, trzymając go w ramionach. - Kocham cię.

Pocałował ją namiętnie, a potem tak delikatnie, że zaparło jej dech w piersiach.

- Ja... ja... - zająknął się. - Chcę to powiedzieć. Naprawdę chcę, ale boję się. Jeśli nie znajdziemy Ruby żywej... *Jeśli nie znajdziemy Ruby...* - *Spojrzał w twarz dziewczyny, szukając w niej zrozumienia.* - Nie wiem, czy będę w stanie...

- Wybacz mi? - spytała, znając odpowiedź.

- Nie potrafiłem wybaczyć Mei Ling, nawet gdy umierała.

Elizabeth uśmiechnęła się do niego ze łzami w oczach.

- Więc już dostałam odpowiedź.

- Elizabeth - wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się i zaczęła strzepywać suknię. - Ja...

Zamknęła mu usta palcami.

- Nie. Nie teraz. Poczekaaj z tym, dopóki Ruby nie wróci do nas cała i zdrowa.

- Zostań - poprosił, kiedy wstała i zbierała się do odejścia. - Zostań ze mną. Pomóż mi odpędzić duchy.

- Nie mogę. Diamond niedługo obudzi się głodna.

- Delia tam jest. Może ją nakarmić.

„Delia lepiej się nimi opiekuje”, zabrzmiały w jej uszach słowa Jamesa.

- Nie - potrząsnęła głową. - Ja to zrobię. Chcę to zrobić. Może nie będę... - przerwała w pół zdania, wstrzymała oddech, żeby się nie rozpłakać, i pobiegła w stronę obozu.

Głośno szlochając, dotarła do domu.

- Idź do niego - błagała Willa, który otworzył jej drzwi. - Idź do niego. Niech nie zostaje sam.

32

Następnego ranka z niespokojnej drzemki obudziły ją głosy wiwatujących mężczyzn. Will wpadł do domku, skierował się prosto do Elizabeth i podniósł ją z krzesła, w którym spędziła noc. Zakołysał nią w ramionach.

- Znaleźli ją! - oznajmił. - Dzięki Bogu, znaleźli ją.

- Czy jest,..? - spytała Elizabeth, kiedy postawił ją na ziemi.

- Żywa. Zmarznięta, przerażona i głodna, ale chyba nic jej się nie stało - odparł Will.

- Gdzie jest? Kiedy będę mogła ją zobaczyć? - spytała Elizabeth, narzucając szal i biegnąc do drzwi.

- No - Will odchrząknął - z tym będzie kłopot. Bo widzisz, jeszcze jej nie wyciągnęli.

Elizabeth stanęła jak wryta.

- Nie wyciągnęli? Skąd?

- Z szybu wentylacyjnego.

- Ruby wpadła do szybu? W lesie?

Will potrząsnął głową.

- Na łące. Leży tam taka sterta kamieni przykrywająca zejście do jednego z szybów.

Elizabeth przyłożyła dłoń do szyi.

- Ale James powiedział, że na łące jest bezpiecznie.

- Tak myślał - odparł Will. - Jamie nie zdawało sobie sprawy, że jeden z szybów jest aż tak daleko za lasem. Nikt z nas o tym nie wiedział.

- Ale przecież przeszukałam całą łąkę - zaprotestowała Elizabeth. - Byłam też przy tych kamieniach.

- Nie mogłaś jej zobaczyć. Najprawdopodobniej wczołgała się między dwa największe głazy nad wejściem i sturlała się do środka, kiedy osunęła się ziemia.

- Jak ją znaleźli?

- Jamie usłyszał jej płacz tuż przed świtem i przeczłogał się wzdłuż łąki, nasłuchując, aż dotarł do kamieni. Nawet wtedy nie był w stanie jej zobaczyć. Dopiero kiedy wzeszło słońce, zobaczył otwór między skalami, którego nie zauważył po południu.

- Gdzie jest teraz?

- Na łące. Przysłał mnie po ciebie.

- A gdzie Delia i dziewczynki? - spytała Elizabeth, wiedząc, że James chciałby mieć przy sobie wszystkie córki, kiedy wydostanie Ruby.

- Wrócę po nie. On cię teraz potrzebuje. Tylko ty możesz pomóc. Wyjaśnię ci wszystko po drodze - złapał Elizabeth za rękę. - Szybko!

- Nie! Nie! Tata! Tata! - Przerażone krzyki i błagalne wołania Ruby odbijały się echem od ścian szybu. James leżał płasko na brzuchu przy otworze. Przytrzymał sznur, na którym do środka spuścili jednego

z mężczyzną, na tyle drobnego, że zmieścił się w wąskim szybie i mógł wyciągnąć dziewczynkę. Ale Ruby szamotała się z nim, uniemożliwiając jakąkolwiek pomoc. Zdenerwowany James zaklął pod nosem.

- Wszystko w porządku, guziczku. Ten miły pan chce ci pomóc - krzyczał do niej, próbując ją uspokoić. Ale Ruby płakała coraz rozpaczliwiej i szarpafa się mocniej. James słyszał, jak do szybu osuwa się ziemia i gruz.

Szyb został częściowo zasypany i bardzo się zwęził, odkąd przestano go używać. James nie mógłby zmieścić się w nim, a Ruby bała się Chińczyka, który próbował ją wyciągnąć. James słyszał, jak mężczyzna ją uspokaja, mówiąc do niej po chińsku, ale Ruby nie znała tego języka. James obawiał się, że Ruby bała się, bo ostatni raz słyszała Chińczyka mówiącego po chińsku wtedy, kiedy porzucono ją na przybrzeżnych skałach. Mężczyzna bezskutecznie spróbował ją uspokoić. W odpowiedzi słyhać było tylko krzyk i odgłosy szamotaniny.

- Nie! Nie! Tato!

James nie mógł tego dłużej znieść. Nie chciał ryzykować zaważenia szybu. Krzyknął do Chińczyka w jego języku i kiwnął na mężczyzn, kierujących zaprzęgniętymi do lin wołami, żeby go wyciągnęli.

- Przeprowadziłem ją, Jamie, jest tutaj. - Ostrożnie omijając teren nad szybem, Will wskazał drogę Elizabeth i ukląkł na ziemi przy Jamesie. Wziął go za ramię, żeby zwrócić uwagę przyjaciela. Z głębin szybu wyłaniał się właśnie Chińczyk.

James zrozumiał, że sytuacja przedstawia się gorzej, niż sądził. Uwolnił mężczyznę z siodłka, które dla niego przygotował. Ruby stała na niewielkim występie skalnym, mocno wystraszona.

James odwrócił się i zobaczył Willa z Elizabeth.

- Dzięki Bogu - wykrztusił. - Jestem za duży, żeby zejść do szybu. Tak samo większość mężczyzn tutaj. Nie chcę ryzykować kopania tunelu, szyb jest wąski, piaszczysty, w każdej chwili może się zawalić. Boję się, że kiedy ruszymy ziemię w pobliżu, zawali się całkowicie. - Przerwał i zmierzył Elizabeth wzrokiem. - Chciałbym, żebyś porozmawiała z nią, kiedy będziemy spuszczać kogoś jeszcze raz - powiedział. - Spróbuj ją uspokoić. Mnie w ogóle nie słucha. Ciągłe tylko mnie woła i błaga, żebym zszedł i ją stamtąd zabrał.

Elizabeth odetchnęła głęboko.

- A jeśli tylko pogorszę sytuację? Ona mnie nie lubi, James. Wiesz o tym.

- Wiem - odparł - ale musimy spróbować.

Kiwnął na innego Chińczyka, który wszedł na siodło. Popatrzył na Elizabeth.

- Mów do niej. Powiedz jej, że ten miły pan ją stamtąd zabierze.

Leżąc na brzuchu na ziemi obok Jamesa, przemawiała do Ruby, kiedy spuszczano drugiego mężczyznę, a potem trzeciego. Ruby jednak nie chciała słuchać. Wołała Jamesa i szamotała się z całych sił, uniemożliwiając ratunek.

Wreszcie Elizabeth straciła cierpliwość i odwróciła się do Jamesa.

- Wyciągnijcie go - zarządziła, wstając. - Wyciągnijcie go. Ruby się go boi. Nie rozumie ani słowa.

- Wiem - rzucił James.

- Dlatego ja tam zejdę.

- Nie mogę na to pozwolić - odparł James. - Nie mogę narażać i twojego życia.

- Spróbuj mnie powstrzymać - sprzeciwiła się. Nie

zważając na tłum mężczyzn, którzy zebrali się, by pomóc albo tylko popatrzeć, rozpięta suknię, ściągnęła ją z bioder, zdjęła halki i koszulę, pozostając tylko w staniku i majtkach. Wspięła się na siodełko.

- Przywiąż mnie - przykazała Jamesowi. - I to szybko, zanim się rozmyślę.

Odetchnęła głęboko, gdy James obwiązywał ją w pasie sznurem.

Pozostawiona w szybie Ruby zaczęła płakać.

- Wszystko będzie dobrze, Ruby - mówiła Eliza, beth, gdy James zaczął spuszczać ją w głąb ciemnego tunelu. - Nie ruszaj się i nie płacz, kochanie. Zaraz będę przy tobie. Już po ciebie idę.

- Tata! - płakała Ruby.

Kiedy Elizabeth powoli opuszczała się w dół, posypały się za nią piasek i gruz, wzbijając w powietrzu kłęby kurzu. Szczypały ją oczy, kręciło w nosie i piekło w gardle. Kawałki korzeni, odłamki skał i drewniane drzazgi kaleczyły jej ramiona i nogi. O mało nie krzyknęła ze strachu, kiedy bryłka ziemi oderwała się od ściany i odbiła od jej ramienia.

- Bądź grzeczną dziewczynką - prosiła Ruby, kiedy dotknęła stopami półki skalnej. Spojrzała w dół i dostrzegła Ruby skuloną za złamaną belką. - Nie dosięgnę - krzyknęła do Jamesa, żeby zacisnął węzeł na sznurze. - Chodź, kochanie, chodź do mnie, zabiorę cię stąd.

- Chcę do taty - odezwała się Ruby.

- Więc chodź ze mną - namawiała Elizabeth. - Tata czeka na ciebie przy zejściu do tej okropnej dziury.

Po chwili zastanowienia Ruby rzuciła się do przodu prosto w ramiona Elizabeth. Siodełko zakolysało

się gwałtownie. Odbijało się od ścian, wzniecając kłęby kurzu i odrywając kawałki skał, które z hukiem spadały w dół. Elizabeth jednak mocno złapała dziewczynkę i nie puszczała. Przytuliła Ruby do siebie i zanurzyła twarz w jej włosach. Obfite łzy popłynęły po jej ubrudzonej twarzy, zostawiając na niej jasne nieregularne smugi.

- Mam ją! - krzyknęła do Jamesa. - Wyciągnijcie nas.

Wszyscy zaczęli wiwatować, gdy tylko Elizabeth i Ruby pojawiły się na powierzchni. Zamieszanie trwało kilka godzin. James ogłosił dzień wolny i kazał kucharzom otworzyć wszystkie beczułki piwa. Jednak dla Elizabeth święto skończyło się w momencie, gdy Ruby wyrwała się z jej ramion i pobiegła do Jamesa. Dziewczyna wiedziała, że nigdy nie zapomni wdzięczności malującej się na twarzy Jamesa, gdy, upadłszy na kolana, tulił Ruby w ramionach i całował jej twarzyczkę. Na zawsze zapamięta też ukłucie, jakie poczuła, gdy i ją chciał objąć, ale Ruby ją odepchnęła.

James chciał coś powiedzieć, ale trudno mu było znaleźć odpowiednie słowa. Był zakłopotany, że choć Ruby pozwoliła Elizabeth się uratować, nie zamierzała dzielić się z nią jego miłością. Wziął Ruby na ręce i próbując ukryć zażenowanie, zawołał lekarza.

Elizabeth stała z boku. Jej serce przepełniała bezgraniczna miłość do Jamesa i Ruby, którzy znów mogli być razem. Ruby czuła się bezpiecznie w ramionach ojca. Była bezpieczna, bo świadoma miłości Jamesa. On też wiedział, że udało mu się uniknąć strasznego losu, że dostał jeszcze jedną szansę opieki nad dzieckiem, które wypełniło miłością jego puste serce po

śmierci Cory. James i Ruby znów byli razem. Byli rodziną, tak jak im to zostało przeznaczone. Elizabeth wypełniła swój obowiązek i naprawiła wielki błąd. Teraz musiała odejść. Schyliła się, podniosła swoje ubrania i powoli ruszyła przed siebie.

- Poczekaj! - zawołał ją James. - Dokąd idziesz?

Elizabeth uniosła do góry ubrania.

- Powinien cię obejrzeć lekarz.

- Nic mi nie jest - odparła. - Nie potrzebuję lekarza.

Ruby zaczęła się wiercić w ramionach ojca, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Na pewno? - spytał głosem pełnym troski.

Elizabeth uśmiechnęła się ze łzami w oczach.

- Na pewno. Lekarz nic nie poradzi na złamane serce.

Kiedy James wrócił do obozu, żeby położyć spać Ruby, Elizabeth już nie było.

- Gdzie ona jest? - chciał wiedzieć James, gdy nie znalazł jej w sypialni. Natknął się na Willa stojącego w drzwiach.

- Odeszła - odparł Will. - Wyjechała ekspresem, kiedy byłeś z Ruby. Pożyczyłem jej trochę pieniędzy i odesłałem z nią Delię, Garnet i Emeraldę. Delia i dziewczynki *wysiądą* w Coryville. Elizabeth prawdopodobnie nie.

- Skąd wiesz?

- Prosiła, żebym odesłał jej rzeczy.

Zaskoczony James osunął się na łóżko.

- Nie pożegnała się. Nie pożegnała się ze mną.

- Myślę, że zrobiła to wystarczająco wyraźnie wczorajszej nocy.

- Już wczoraj wiedziałeś, że wyjeżdża?

- Podejrzywałem, że zamierza nas opuścić, kiedy

wróciła z płaczem wczoraj w nocy po tym, jak kochała się z tobą.

James zdziwiony uniósł brwi.

Will parsknął z dezaprobatą.

- W przeciwieństwie do niektórych osób w tym pokoju nie jestem głupcem. Wystarczyło jej powiedzieć, że ją kochasz, i poprosić, żeby została.

- Nie mogłem. Ruby...

- Ruby jest dzieckiem. Zazdrosną, zepsutą dziewczynką, która chce mieć tatusia tylko dla siebie - brutalnie dokończył Will.

- Ruby przeżyła koszmar. Jest tylko małą dziewczynką. To rozumiałe, że chce mnie tylko dla siebie. Co w tym złego?

- Nic, Jamie - odparł Will. - Tylko że Ruby nie zawsze będzie małą dziewczynką. Dorośnie, spotka kogoś, zakocha się i cię zostawi. Tak samo będzie z Garnet, Emeraldą i Diamond i innymi, które przygarniesz. A co będzie z tobą? - Nie czekając na odpowiedź, dodał: - Zostaniesz sam, tak samo jak teraz. A wszystko dlatego, że pozwalasz Ruby decydować o swoim życiu.

- Coś Ruby obiecałem, kiedy znalazłem ją na skałach. Obiecałem jej, że dopóki żyję, nie będzie musiała martwić się, że ma wokół siebie ludzi, którzy jej nie kochają.

- Ależ dotrzymałeś tej obietnicy! - zagrmiał Will. - Czyżbyś naprawdę myślał, że Ruby cierpiała pod opieką Elizabeth? Czy sądzisz, że kobieta, która spędziła całą noc, przerabiając dla niej lalkę, jej nie kocha? Na miłość boską, Jamie, obudź się! Elizabeth ryzykowała życie dla Ruby, po tym jak ty ją odrzuciłeś. Zrobiła to z własnej woli, bo kocha ciebie i twoje dzieci. Jak dłu-

go będziesz się karał za coś, czego nie zrobiłeś? Jak długo nie pozwolisz sobie pokochać kogoś - i żeby ktoś ciebie pokochał? Boże, Jamie, jak możesz pozwolić, by Mei Ling zrujnowała ci resztę życia? Jak możesz pozwolić Elizabeth odejść? - zdenerwowany Will machnął ręką. - Gdybym wierzył, że mogłaby mnie pokochać, sam bym za nią pospieszył.

- Dokąd? - spytał James.

- Nie wiem - odparł Will. - Ale poprosiła, żebym odesłał jej rzeczy do Samuela Wrighta w Cincinnati.

James nie chciał słyszeć nic więcej.

- Przygotuj nas do podróży - przykazał, wychodząc z pokoju.

- Dokąd idziesz? - spytał Will z uśmiechem.

- Powiedzieć Elizabeth, że ją kocham. Chcę powstrzymać ją przed popełnieniem błędu!

Brakowało jej w Coryville. Pani Glenross była wściekła, a cały dom stanął na głowie.

- Co pan zrobił tej dziewczynie? - wypytywała gospodyni. - Wyszła stąd, płacząc, jakby jej serce pękło.

- Odnajdę ją - ponuro odpowiedział James. - Pociąg już tu jest. Mam tylko minutę, żeby zostawić Ruby i pożegnać się z dziewczynkami.

Oddał Ruby gospodyni, ale dziewczynka zaczęła się wiercić i wyrwać, więc pani Glenross postawiła ją na podłodze. Mała przebiegła hall, wpadła do gabinetu Jamesa, potem rzuciła się na schody, ściskając coś w ramię i krzycząc wniebogłosy. Wreszcie zniknęła w sypialni Jamesa.

- Niech pan lepiej idzie za nią - poradziła gospodyni.

- Dobrze.

- Miałam na myśli Ruby - wyjaśniła.
- A ja Elizabeth. Przez jakiś czas sama będzie musiała pani zająć się Ruby.
- A co pan zrobi, jak już ją pan znajdzie? - krzyknęła gospodyni, kiedy James wbiegał po schodach.
- Ożenię się z nią - odrzyknął. - I pomogę jej znaleźć guwernantkę.
- Dzięki Bogu - odetchnęła pani Glenross.
- Pociąg dawał sygnał do odjazdu, kiedy James całował Skarby na pożegnanie. Wychodził właśnie z pokoju, kiedy Ruby podbiegła do niego i objęła go, płacząc.
- Nie, Ruby - powiedział zdecydowanie. - Tata musi odnaleźć Elizabeth.
- Ruby popatrzyła na niego.
- Libeth - oznajmiła wyraźnie, złapała Jamesa za rękę i pociągnęła go w stronę sypialni.
- Co z Elizabeth? - spytał.
- Libeth - Ruby wskazała na poduszki ułożone na łóżku Jamesa. Siedziała na nich Portia, z rozczochranymi włosami i pomiętym ubraniem. Wreszcie znalazła się na swoim miejscu.
- James przytulił córkę.
- Już dobrze, chochliku. Znajdziemy Libeth. Zostanie twoją mamusią.

33

Elizabeth stała na cmentarzu przed marmurowym pomnikiem ustawionym na środkowym z trzech gro-

bów w rzędzie. *Owen Sadler, ukochany brat Elizabeth. Urodzony 3 sierpnia 1852 roku. Zmarł w lutym 1873 roku. To dla nas ogromna strata.* Elizabeth zapiekły oczy. Była u kamieniarza, żeby zapłacić ostatnią ratę, a dowiedziała się, że pomnik już stoi i należności zostały uregulowane. Dawno temu.

- Wiedziałem, że w końcu tu przyjdiesz - powiedział James, stając tuż za nią. - Czekam tu i obserwuję cmentarz od wielu dni.

- Czyżby?

- San Francisco to duże miasto. Sprawdziłem w Russ House i Pensjonacie Bender's i wszędzie, gdzie się dało, zanim tu dotarłem.

- Najwyraźniej przeoczyłeś więzienie.

- Tam właśnie byłaś?

- Miejsce dobre jak każde inne, żeby zapomnieć o tym, że cię straciłam. Poszłam do więzienia, żeby odsiedzieć trzy dni, które mi wyznaczono, i sierżant Darnell zabrał mnie do siebie. Zbyt długo jednak korzystałam z gościnności jego rodziny. Najwyższy czas pożegnać się z Owenem i wyjechać z San Francisco.

- A ja? - spytał James.

- 2 tobą pożegnałam się cztery noce temu.

- Nie jestem gotowy do pożegnania. Nie byłem wtedy, nie jestem teraz. Nigdy nie będę.

- James - błagała Elizabeth. - Nie utrudniaj. Pozwól mi odejść.

- Nie - zaprotestował, odwracając ją do siebie i całując. - Nie pozwolę ci odejść. Zapomniałaś, że zaprosiłaś wszystkie kobiety z Coryville na herbatę? Sam mam sobie z nimi poradzić?

- Sam mówiłeś, że pani Glenross da sobie z tym radę. Ty też je zniesiesz przez jedno popołudnie.

- A co z resztą mojego życia? Jak mam znieść życie bez ciebie? A ty? Co z twoim życiem? Dasz radę żyć samotnie? Albo, co gorsza, z Samuelem Wrightem?

- Nie wiem - przyznała. - Nie wiem, jak sobie poradzę.

Skłamała. Świetnie wiedziała. Jej życie będzie wyglądało dokładnie tak jak ostatnie cztery dni. Była na w pół żywa, nie czuła nawet bicia swojego serca.

- Ale jakoś sobie poradzę. Ty też - dodała.

- Nie chcę być sam - powiedział James. - Nie chcę tylko egzystować. Chcę być z tobą.

- Przykro mi - miękko odrzekła Elizabeth.

- Czy możesz z ręką na sercu przysiąc, że mnie nie chcesz? Że nie chcesz zostać ze mną i z dziewczynkami?

- To Ruby mnie nie chce.

- Jesteś pewna? - spytał. - Może to ty jej nie chcesz? Albo pozostałych dziewczynek. Albo mnie.

- Nie bądź śmieszny! - warknęła Elizabeth. - Kocham Ruby. Kocham Garnet, Emeraldę i Diamond.

- A mnie? - spytał z nadzieją w głosie.

- Ciebie kocham najbardziej.

- A więc dobrze - oznajmił, biorąc ją w ramiona. Potem, zanim zdążyła zaprotestować, zaniósł ją do powozu stojącego na ulicy przy kościele. - Bo mamy dla ciebie niespodziankę.

Na ulicę wysypały się Delia i Skarby. Wszystkie dziewczynki ubrane były odświętnie, a trzy najstarsze miały ze sobą lalki, które zrobiła dla nich Elizabeth. Dołączyły do nich pani Glenross i Annie. I one wystroiły się w swoje najlepsze suknie.

- Will czeka przy wejściu z ojcem Paulem. Jest druž-
bą. A pani Glenross będzie druhną.

- Czyją? - nie rozumiała Elizabeth.

James klęknął na chodniku.

- Kocham cię, Elizabeth. Chcę się z tobą ożenić.
Chcę, żebyś została moją żoną i matką tych dzieci.
Wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście - odparła Elizabeth. - Ale co z Ruby?

James uśmiechnął się.

- Myślę, że ona nie ma nic przeciwko temu. Przy-
niosła ci prezent ślubny. - Sięgnął do środka powozu
wręczył Elisabeth Portię. - Znalazłem ją na swoim
łóżku w dniu, kiedy wyjechałaś. Ruby uważa, że tam
jest jej miejsce.

Nachylił się i pocałował Elizabeth z całą miłością
namiętnością, jaka nagromadziła się w nim od chwi-
li jej zniknięcia.

- Ja myślę, że to twoje miejsce.

- Ruby? - spytała Elizabeth. - Jesteś pewien?

- Sama ją spytaj.

Elizabeth uklękła na chodniku.

- Ruby? - spytała z wahaniem, a w jej głosie słychać
było miłość, nadzieję i ból.

Ruby podeszła do Elizabeth i wpatrywała się
w nią.

- Chciałaś coś powiedzieć Elizabeth? - ponaglił ją
James.

Ruby nachyliła się i objęła Elizabeth za szyję.

- Kiedy włócisz do domu, Libeth? - spytała.

- Chcesz, żebym wróciła?

Ruby przytaknęła.

- Kocham cię, Libeth. Będiesz moją mamą?

Elizabeth nie mogła dłużej wstrzymywać łez. Przcisnęła do siebie dziewczynkę.

- Już niedługo, kochanie. Jak tylko twój tata i ja powiemy: tak - odparła Elizabeth, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Znów mogła spokojnie oddychać i żyć, wiedząc, że James i Ruby ją akceptują i że wszystko się ułoży.

Ruby odwróciła się do ojca.

- Powiedz tak, tato - przykazała. - Teraz.

- Tak - czule powiedział James do Elizabeth. - Teraz i zawsze.

Od autorki

James Cameron Craig jest postacią fikcyjną. Kiedy pisałam tę powieść, wyobrażałam sobie, że mężczyźni tacy jak on istnieją naprawdę. Wierzyłam, że są ludzie, którzy nie zgadzają się, aby rodzice porzucali albo mordowali nowo narodzone dziewczynki. Bardzo się ucieszyłam, gdy zbierając materiały do książki dowiedziałam się, że żył przynajmniej jeden taki człowiek. Miał na imię Yu Chih i w 1843 roku założył Towarzystwo Obrony Noworodków w swojej rodzinnej wiosce w hrabstwie Wu-hsi w prowincji Kiangsu. Do 1853 roku Towarzystwo zajmowało się około sześćdziesięcioma do stu noworodkami rocznie. Większość stanowiły dziewczynki. Aby zdobyć poparcie społeczeństwa i przybliżyć mu istotę problemu, Yu Chih wygłaszał odczyty na temat zwyczaju topienia noworodków i opisywał tragiczną walkę dzieci o życie.

Powołując do życia Jamesa Camerona Craiga, chciałam pokazać, co powodowało Yu Chihem, kiedy zakładał Towarzystwo.

Dziękuję pani profesor Patricii Buckley Ebrey z Uniwersytetu w Illinois za jej książkę „Cywilizacja i społeczeństwo Chin - teksty źródłowe” i Foxowi Butterfieldowi za jego dzieło „Chiny - żywa w morzu gorzkości”, dzięki którym poznałam dzieje Yu Chiha oraz inne aspekty chińskiej historii i kultury...

Rebecca Hagan Lee